

Meredith Goldstein

# Single

Cudze wesele

może zmienić

twoje życie





Meredith Goldstein

# Single

WYDAWNICTWO   
Kraków

Tytuł oryginału:  
*The Singles*

Przekład:  
Agnieszka Kisiel

Redaktor prowadzący:  
Magdalena Moskal

Redakcja:  
Anna Milewska

Korekta:  
Barbara Turnau

Łamanie:  
Edycja

Copyright © Meredith Goldstein, 2012

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo M, Kraków 2012

Copyright © for the translation by Agnieszka Kisiel 2012

ISBN 978-83-7595-570-5

Wydawnictwo M  
ul. Kanonicza 11, 31-002 Kraków  
tel. 12-431-25-50; fax 12-431-25-75  
e-mail: mwydawnictwo@mwydawnictwo.pl  
www.mwydawnictwo.pl  
www.ksiegarniakatolicka.pl

Publikację elektroniczną przygotował



*Dla Lorraine Goldstein, mola książkowego*

Dwudziestodzieciolatnia panna młoda, Beth Eleanor Evans, szczupła, piegowata, rudawa blondynka, którą przyjaciele — z racji inicjałów — nazywali Bee, stała przed białą tablicą, świeżo zakupioną w sklepie sieci Target przy drodze nr 103.

Takiej białej tablicy można by się raczej spodziewać w sali wykładowej lub na ścianie sali konferencyjnej udostępnionej przez hotel Hampton. Ale w ten parny późnowrzesniowy poranek w historycznym Ellicott City w Maryland, w domu swoich rodziców, Bee używała tablicy i markerów, by ostatecznie dopieścić plan swojego wesela — najbardziej kosztownego wydarzenia, jakie miał tej jesieni oglądać Tower Gardens Country Club.

Bee spędziła ponad godzinę na zarysowywaniu powierzchni tablicy mozaiką kół, kwadratów, nazwisk i liczb. W rezultacie powstało coś, co przypominało rozrysowaną taktykę meczu piłki nożnej albo równanie zostawione dla Matta Damona w *Buntowniku z wyboru*; był to jednak diagram obrazujący sposób usadzenia gości — ostatnie zadanie dla Bee, zanim jej dalsza rodzina zjedzie na wesele, do którego zostało już mniej niż czterdzieści osiem godzin.

Bee zatknęła za ucho niesforny kosmyk włosów i pochyliła się z troską nad tablicą. Widniało na niej trzydzieści okręgów, każdy oznaczony numerem. Od środka okręgu, niczym szprychy koła, rozchodziły się niebieskie linie, na których zapisała nazwiska zaproszonych par.

„Kuzyn Wesley i jego żona Katie” — głosiła jedna linia. „Pan Barocas, od taty z pracy, z żoną Yvonne” — widniało na następnej. „Jimmy Fee i osoba towarzysząca”. „Pan i pani Rodman (sąsiedzi)”. „Ed i Elaine Ryanowie (księgowi)”. „Dr Weihong Zheng z mężem (pediatra)”.

W prawym górnym rogu tablicy dużymi czerwonymi literami wypisane były nazwiska: Hannah Martin, Rob Nutley, Nancy MacGowan, Vicki Clifford, Joe Evans.

Nad nimi tymi samymi krwistymi literami Bee napisała: „SINGLE”.

Byli oni jedynymi gośćmi na jej przyjęciu weselnym, którzy nie zapowiedzieli się z osobą towarzyszącą, a teraz jedynymi, którzy nie zostali jeszcze naniesieni na diagram.

Ostatecznie Bee mogłaby zaprosić singli pojedynczo, ale chciała, by każdy gość miał możliwość przyprowadzenia osoby towarzyszącej. A jednak single postanowili przyjść samotnie i tego Bee po prostu nie potrafiła zrozumieć.

Kiedy sama była singielką, miała żal do koleżanek, które przewidywały dla niej pojedyncze zaproszenie tylko dlatego, że nie miała stałego partnera. Bee

przyrzekła sobie, że gdy sama będzie wychodzić za mąż, wszystkim da podwójne zaproszenia. Nikt nie będzie musiał przychodzić sam.

I prawie wszyscy goście z tego skorzystali. Oprócz tych singli, którzy zdaniem Bee byli niedopasowani nie tylko do schematu na jej tablicy, ale także do życia. Dwoje z nich było osobami konfliktowymi, dwojgu następnym zdarzyło się ją publicznie skompromitować, ostatnia zaś była kobietą zupełnie Bee nieznaną — przyjaciółką rodziny pana młodego, powszechnie uważaną za odludka.

Zatrudniona przez Bee organizatorka wesel, która wślawiła się urządzeniem ekstrawaganckiego przyjęcia dla córki byłego prezydenta, powiedziała od razu, gdy spojrzała na listę:

— Wszystko jedno, kogo zaprosisz, zawsze będą single. Musisz przewidzieć nieparzystą liczbę. Wszystko jedno, co zaplanujesz, single zawsze namieszają.

Bee przeciągnęła dłonią po brwiach — jak zawsze, gdy była zdenerwowana — i przyjrzała się okręgom i liniom przypominającym jej zadania, jakie lata temu rozwiązywała na egzaminie do szkoły prawniczej. Miała pięcioro nieposadzonych gości, z których każdy musiał gdzieś siedzieć. Jednak każdy miał też zestaw wymagań wykluczających posadzenie go przy większości stołów. Jedna singielka na przykład absolutnie nie mogła znajdować się w pobliżu swojego byłego. Inna osoba potrafiła być napastliwa i nie można jej było posadzić ze sztywnymi gośćmi — w tym z własną rodziną Bee.

Bee po raz kolejny analizowała w myślach wszelkie nazwiska i wykresy, kiedy usłyszała, że do pokoju wchodzi jej matka.

— Ciągłe męczysz się z tą piątką? — Matka Bee, Donna Evans, westchnęła głęboko, podchodząc do córki, siedzącej przy stole jadalnym.

Donna miała na sobie szary top na ramiączkach z napisem „breathe” — „b” i „e” układały się dokładnie na jej sterczących sutkach. Spodnie fitness, pod kolor, kończyły się tuż za kolanem, a jej włosy, farbowane na odcień dokładnie ten sam, co córki, zebrane były w ciasny kok.

— Posadź ich po prostu na wolnych miejscach i już — powiedziała Donna, widząc bezradne spojrzenie córki i jej smętnie opuszczone ręce. — Słonko, przecież oni i tak spędzą więcej czasu na parkiecie niż przy stole.

Donna prychnęła gniewnie i podeszła bliżej, by przyjrzeć się liście singli. Patrzyła na nią przez chwilę, po czym złapała ze stołu marker i zaczęła pisać po tablicy. Wpisała Vicki Clifford i Roba Nutleya na wolnych miejscach przy braciach i kuzynach pana młodego. Potem, małymi literami, dopisała nazwisko Hannah Martin do stołu, przy którym wraz z małżonkami siedzieli przyjaciele Bee ze studiów prawniczych.

— Dołożymy jedno krzesło — powiedziała, zanim Bee zdążyła zaprotestować. — Dadzą przecież radę zmieścić dziewięć osób przy stole na osiem.



Po czym przesunęła się na drugą stronę tablicy i wpisała ostatnie dwa nazwiska, Joego Evansa i Nancy MacGowan, na wolnych miejscach przy stole z prawnikami — partnerami ojca Bee i ich małżonkami.

W tym momencie ojciec Bee, Richard Evans, odezwał się z drugiego pokoju:

— Jeśli za pięć minut zobaczę was przy tej tablicy, to przysięgam, wyrzucę ją z domu i każdy usiadzie, tam gdzie będzie chciał!

Bee odwróciła się od tablicy, pokonana.

— Dobrze — powiedziała do matki, która zdążyła już odłożyć marker i wrócić do kuchni; jej trampki wydawały piskliwy odgłos w zetknięciu z drewnianą podłogą. — Mamo?

— No?

— Jestem głodna — powiedziała Bee tak cicho, że matka ledwo dosłyszała.

— Zjedz coś lekkiego — zawołała Donna z drugiego pokoju. — Bez sodu.

W tej sukience nie ma ani trochę luzu, słonko.

Bee rzuciła ostatnie spojrzenie na tablicę, szczęśliwa, że ma Matta i nigdy już nie znajdzie się nigdzie bez partnera. Przez chwilę zastanawiała się, czy jej single kiedykolwiek zmienią swoje życie — czy Hannah, Rob, Nancy, Vicki i Joe staną się kiedyś elementami łatwo rozmieszczalnymi na stołowym diagramie.

Zmarszczyła czoło, myśląc o kolejnym posiłku bez soli, po czym wyciągnęła rękę i starła z tablicy listę singli.

## *Hannah*

— Mogę być z tobą szczerą? — Dawn zadała to pytanie głośnym szeptem; w prawej ręce trzymała dogorywającego papierosa, a w lewej paczkę wsuwek do włosów.

Hannah wiedziała dobrze, że to nie jest prawdziwe pytanie.

Spędziwszy kilka dni w towarzystwie pierwszej drużyny, Hannah zorientowała się, że Dawn prawie każde zdanie zaczyna od słów: „czy mogę być z tobą szczerą?”, wypowiedzianych teatralnym szeptem.

Dalsza część wypowiedzi rzadko miała związek z tym wstępem. Dawn zaś rzadko bywała zainteresowana szczerością.

— To nic złego — ciągnęła Dawn, zauważając ostrożne spojrzenie Hannah i przeciągając słowo „złego”, jakby miało co najmniej trzy sylaby. — Po prostu myślę, że mogłabyś się zastanowić nad mocniejszym makijażem na dzisiaj. My wszystkie użyłyśmy konturówki. — Na potwierdzenie swoich słów szeroko otworzyła oczy. — Zauważyłam, że ty nigdy tego nie robisz, a nie wiem, czy widzisz, ale my wszystkie... no, oczy od tego praktycznie wyłażą na wierzch. Na zdjęciach też. Nie chciałabym, żebyś na fotografiach zeszła na drugi plan, kochana.

Mimo dzielącej je odległości Hannah wyczuwała ostry oddech Dawn: nikotyna i sałatka Cezar. Skrzywiła się, gdy tamta wypuściła kolejną porcję koszmarnej mieszanki parmezanu i papierosów. Hannah nie była przyzwyczajona do ich zapachu — większość jej przyjaciół rzuciła je lata temu, kiedy w Nowym Jorku przegłosowano zakaz palenia. Znała paru niedzielnych palaczy, ludzi, którzy czasami, latem, puszczali dymka na tarasach i dachach Brooklynu. Ale od listopada palenie na dworze stawało się mocno uciążliwe. Teraz, spędziwszy tyle czasu ze znajomymi Bee z południa, Hannah zdała sobie sprawę, jak dobrze jej było w mieście, w którym izolowano palaczy, jak tylko to możliwe. Wszyscy ci ludzie z Raleigh i Durham, którzy już niedługo mieli stać się rodziną Bee, palili nieustannie i bezwstydnie. Niektórzy nawet pracowali dla Phillipa Morrisa.

Zdziwiło ją trochę, że taka perfekcjonistka jak Dawn nie martwi się zapachem, jakim może przesiąknąć jej sukienka. Ale przecież jeśli wszystko cuchnęło dymem, nie miało to znaczenia. Dym papierosowy był aromatem uniwersalnym i najwyraźniej tylko Hannah to przeszkadzało.

Dawn pociągnęła papierosa po raz ostatni i Hannah odsunęła się, oczekując nowej chmury dymu. Nawet w tym wysokim pomieszczeniu opary produkowane przez Dawn wydawały się wszechobecne — dryfowały w niewielkich chmurach pod lampami.

Ostatnie piętro należącej do klubu wieży, gdzie Hannah, Dawn i reszta orszaku Bee szykowała się właśnie do ślubu, składało się z dwóch obszernych,

połączonych sal. Ceremonia miała mieć miejsce na dworze, na trawniku, gdzie rozstawiono już biały namiot na przyjęcie. Na wypadek deszczu przewidziano plan B, skróconą ceremonię w sali restauracyjnej klubu, ale niepotrzebnie: był piękny wrześnieowy dzień, tak ciepły, że nie trzeba było nawet zakładać marynarki.

Historyczny zamek z brązowej cegły był najstarszą budowlą należącą do Country Clubu — instytucji otwartej jedynie dla członków i zajmującej ponad sto akrów ziemi wzdłuż zatoki Chesapeake, gdzie grano w golfa, strzelano do celu i co tam jeszcze bogaci ludzie lubią robić w weekendy. Neogotycka wieża, od której Tower Gardens Country Club wziął swoją nazwę, wydawała się Hannah żywcem wyjęta z bajki — wysoki biały walec z witrażowymi oknami i widokiem na wypielęgnowany trawnik, na który zaraz zaczną schodzić się goście, sprawił, że poczuła się jak Roszpunka. I słusznie, pomyślała Hannah, ponieważ ona też była w pułapce. Gdyby to był film, rozważała dalej z wprawą naturalną w przypadku specjalisty od castingów, taką uwięzioną druhnę grałaby niedoskonała, ale sympatyczna wschodząca gwiazdka. Albo, jeszcze lepiej, ktoś z czołówki, ale znany z solidnej, ponurej miny. Kristen Stewart, stwierdziła Hannah, kiedy po raz pierwszy wyjrzała przez okno swojego więzienia. Potem zmieniła zdanie: Emily Blunt. Musiała przyznać, że w wieku dwudziestu dziewięciu lat ta pierwsza była już za stara na gwiazdę *Zmierzchu*.

Pierwszą druhnę, Dawn, grałaby oczywiście Reese Witherspoon. Bez dwóch zdań. Jej twarz cherubinka okalała chmura blond włosów, a w głosie miała solidny południowy akcent, zauważalny zwłaszcza wtedy, gdy wydawała polecenia. Przez chwilę Hannah zastanawiała się, czy Reese Witherspoon zgodziłaby się palić przed kamerą.

Takie rozdawanie ról w ramach wymyślanego budżetu było ulubioną zabawą Hannah. W życiu miała do czynienia jedynie z niszowymi filmami, które nie przekraczały nigdy dwustu tysięcy dolarów. Mały budżet wymagał od niej kreatywności i otwartości na nowe talenty, ale Hannah marzyła, żeby mieć okazję zatrudnić kiedyś wszystkie te gwiazdy, w których przez lata zdążyła się zakochać, i taka szansa właśnie miała się nadarzyć.

Przez cały rano bezustannie sprawdzała telefon, gdyż czekała na jakąkolwiek wiadomość od agenta Natalie Portman, który trzymał dziś w rękach całą zawodową przyszłość Hannah. Od jakiegoś czasu Hannah zabiegała bowiem o udział gwiazdy w niezależnym filmie, którego marny budżet rekompensowany był przez scenariusz, zdaniem Hannah — godny Oscara. Udział Natalie Portman w projekcie zmieniłby karierę Hannah: film, a zatem i ona, stałby się przedmiotem międzynarodowego zainteresowania, znaleźliby się inwestorzy gotowi zapewnić tak potrzebną gotówkę, a Portman byłaby w stanie zrobić z tego filmu drugą *Małą Miss* — dobry, niedrogi film, który przyniósłby ogromny zysk.

W dodatku istniała realna szansa, że gwiazda się zgodzi. Agent wyrażał się

przychylnie: Natalie przeczytała scenariusz, podobał jej się, podobało jej się też, że reżyserować będzie kobieta. W mailu, który agent przekazał Hannah, gwiazda nawet nazwała scenariusz „czarującym”. Problem stanowił jednak kalendarz. „Całe cztery miesiące mamy zarezerwowane na ten sequel”, powiedziała jej asystentka agenta, zanim Hannah wyruszyła do Baltimore na wesele Bee. Młoda asystentka odbierała natrętne telefony od Hannah i stała się wręcz jej szpiegiem, jako że wysyłała SMS-y za każdym razem, gdy szef wspominał o sprawie.

— Wystarczy mi dwadzieścia dni — błagała Hannah, jakby asystentka miała cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie. — Przez cztery miesiące musi się znaleźć dwadzieścia wolnych dni. Przecież przez pół filmu jej postać jest na innej planecie. Nie będzie miała żadnego przestoju? — Wielkobudżetowa produkcja o superbohaterach wydawała się Hannah słabym filmem, a teraz nie dość, że miała sequel, to jeszcze dławiała jej niezależne, artystyczne przedsięwzięcie.

— Słuchaj, ona naprawdę chce to zrobić i wiem, że nad tym pracują — powiedziała asystentka.

— A kiedy mogę liczyć na jakąś konkretną odpowiedź? — Hannah zwinęła cztery pary majtek i spakowała do kieszeni w walizce.

— Ostatecznie dowiesz się dopiero w przyszłym tygodniu, ale w sobotę powinnam coś wiedzieć. W domu szefa odbędzie się wielka impreza i jeśli Natalie zgodzi się na ten film, szef będzie się wszystkim chwalił. Jak coś usłyszę, napiszę do ciebie.

— Dzięki, dzięki, dzięki! W sobotę jadę na wesele i jeśli uda mi się zaangażować Natalie Portman do mojego filmu, chcę o tym opowiedzieć wszystkim przyjaciółom. I paru byłym.

— Absolutnie cię rozumiem — powiedziała asystentka z głębokim przekonaniem.

A teraz było późne sobotnie popołudnie i nikt się nie odzywał. Nawet Vicki, najlepsza przyjaciółka Hannah, która obiecała dać znać, gdy tylko dotrze do Annapolis.

Organizatorka wesel wynajęta przez Bee — w tej roli Hannah obsadziła w myślach Bonnie Hunt z *Jerry'ego Maguire'a* i *Fałszywej dwunastki* — oznajmiła stanowczo, że kiedy już Bee i drużyna przebiorą się w suknie, będą musiały zostać w wieży aż do rozpoczęcia wesela. — W większej sali stoi telewizor oraz komplet welurowych mebli w szaroniebieskim kolorze i jest wydzielona obszerna łazienka z dwoma wielkimi lustrami, więc nie ma powodu, by wychodzić — ciągnęła organizatorka, patrząc na Hannah, jakby czytała w jej myślach.

Potem wyjaśniła, że kiedy zegar wybije piątą, a goście usiądą, każda z nich ma zejść po spiralnych schodach i wziąć pod rękę drużbę lub — w przypadku Bee — ojca. Do ołtarza prowadzi kręta, kamienna ścieżka, równie historyczna i

nieskazitelnie utrzymana jak reszta ogrodu.

Została im zatem jeszcze godzina, ale Dawn już rozstawiała w większej sali swoje kosmetyki. Jej metodyczna precyzja kojarzyła się Hannah z działaniami pomocy dentystycznej w gabinecie stomatologa: Dawn układała kosmetyki od najmniejszego do największego, od wąskiej kredki do oczu, przez tusz do rzęs i pudełko z pudrem, po paletę cieni do powiek.

Hannah zastanawiała się, czy da radę odwlec całe to malowanie i pęsetowanie chociaż o pół godziny. Wcisnęła się już w sukienkę, ale chciała jak najdalej odsunąć w czasie moment, kiedy zostanie wyfiokowana jak królowa balu maturalnego. Podeszła do okna, przeciągając ręką po karku tak mocno, że perły wbiły jej się w skórę. Potem szarpnęła za przezroczysty pasek biustonosza, niewygodnie wrzynający się w szyję. Był to najbardziej skomplikowany element bielizny, jaki kiedykolwiek miała na sobie: watowana uprząż robiona na zamówienie dla każdej drużyny. Wszystkie pozostałe poradziły z nim sobie bez pomocy, ale Hannah nie miała pojęcia, jak się w to ubrać, i gdy tylko weszły do wieży, Bee i Dawn opadły ją, by omotać jej ciało długimi pasami tego ustrojstwa — dwa razy wokół talii — i spiąć metalową klamrą gdzieś w okolicach krzyża.

— Czy to musi być takie ciasne? — narzekała Hannah. Dawn odparła, zanim Bee zdążyła się odezwać:

— Jak poluzujesz, wszystko wypadnie ci z sukienki, kochana — oznajmiła twardo, spoglądając z dezaprobatą na biust Hannah. — I tak ci się będzie wylewać.

Już dwa razy Hannah dzwoniła do Roba ze swojego tymczasowego więzienia, w nadziei, że uspokoi ją jakoś w kwestii stanika, przejścia do ołtarza i Natalie Portman, w związku z którą z każdą godziną spodziewała się coraz mniej pomyślnych wieści. Rob Nutley miał się pojawić na weselu, powiedział Bee, że z przyjemnością będzie jej towarzyszył, ale teraz swoją nieobecnością potwierdzał opinię o sobie jako nieodpowiedzialnym lekkoduchu. Hannah liczyła na jego wsparcie w ten weekend, a teraz została jej tylko Vicki, która ostatnio nie nadawała się na wsparcie dla kogokolwiek.

Hannah spojrzała na telefon, który ścisnęła w ręce, i zobaczyła nieodebrane połączenie. Rob.

Oddzwoniła do niego i poczuła lekki ucisk w żołądku, kiedy po drugiej stronie rozległ się jego głos — śmiał się, odbierając telefon.

— Nie śmiej się. Jesteś mi potrzebny — szepnęła Hannah, inkasując srogie spojrzenie Dawn. — Błagam. Tu są kobiety, które atakują mnie eye-linerem. Naprawdę nie możesz przylecieć na ostatnią chwilę? Zdasz przed końcem przyjęcia. Zapłacę połowę.

— Uwielbiam, kiedy błagasz, ale niestety. Muszę zostać w Austin. — Rob zawahał się na chwilę. — Nie chodzi o pieniądze, po prostu Liz jest jakaś dziwna. Nie mogę zostawić jej samej w domu.

— Dobrze. Może zadzwonię później — odparła Hannah i się rozłączyła. Ręce jej opadły.

Odeszła od okna i wróciła do Dawn, która właśnie pokryła twarz pudrem dwa tony ciemniejszym niż skóra. Hannah usiadła obok, nerwowo gładząc klawisze telefonu, na którym wciąż wypatrywała wiadomości od Roba lub asystentki agenta Natalie Portman.

Kątem oka widziała, jak w drugiej sali Bee wygląda suknię, wciąż jeszcze na wieszaku. Obcisła, idealnie biała suknia bez ramion, z gorsetem w łuskowaty wzór i małym trenem, otwierającym się jak wachlarz, kojarzyła się Hannah z ciałem syreny. Parę miesięcy temu Bee powiedziała jej, że miała nadzieję założyć suknię ślubną swojej matki — prostą, szyfonową kreację o linii litery A, starannie przechowywaną w szafie Donny prawie trzy dekady — ale nie mogła jej na sobie dopiąć. Donna zawsze nosiła rozmiar trzydzieści osiem i choć Bee przez całe studia starała się nie przytyć, teraz satysfakcjonowała ją figura w rozmiarze czterdzieści.

Chwilowo miała więc na sobie jedynie białą koronkową bieliznę, stanik bez ramiączek i wyszczuplające rajstopy, sięgające wysoko nad talię i ściskające jej ciało o jakiś cal. Włosy miała zebrane w kok, upleciony z warkoczy, który Hannah wydawał się bardzo niewygodny i przesadnie surowy. Hannah uwielbiała rudawe loki Bee, zwłaszcza rozpuszczone swobodnie na ramiona. Nie mogła zrozumieć, dlaczego panny młode zawsze spinają włosy w ciasne, skomplikowane konstrukcje. Kojarzyło jej się to ze zmarłymi ułożonymi w trumnie: przesadnie ustrojeni, stawali się nierozpoznawalni dla tych, którzy znali ich najlepiej.

Z Bee stały dwie drużny, Jackie i Lisa, również ubrane już w długie, czarne suknie, z włosami wygładzonymi prostownicą. Dyskutowały właśnie, jak ubrać pannę młodą, tak aby nie zniszczyć ani sukni, ani królewskiej fryzury.

— Może ubierzemy ją od dołu — zaproponowała Lisa, ta łagodna.

— Nie — odparła Jackie, ta agresywna. — Mogłaby podeptać suknię, albo ubrudzić. Trzeba wciągnąć ją przez głowę.

— Krawcowa poleciła, żeby wkładać od dołu — powiedziała niepewnie Bee. — A podłoga wygląda na idealnie czystą. Ale niech będzie. Jackie ma rację, wciągamy przez głowę, tylko powoli.

Podczas gdy Bee była ubierana — do czego potrzebowała pomocy dwóch osób — Hannah postanowiła zostać z Dawn. Przypuszczała bowiem, że ona też będzie wymagała pomocnicy.

Suknia Dawn różniła się od ubrań pozostałych druzhen. Owszem, była tak samo spięta na szyi, z głębokim dekoltem i talią w stylu empire, ale miała też ozdobną kokardę w talii i niewielki tren. Hannah nie widziała nigdy, by pierwsza drużna była inaczej ubrana, i zastanawiała się, czy to południowy zwyczaj, czy też jakaś nowa moda. Ponieważ nie miała nic do roboty, zdecydowała się zapytać.

— Nie wiedziałam, że pierwsza drużna ubiera się inaczej. Czy tak się robi na południu? Nigdy się z tym nie spotkałam — powiedziała.

— Tam, skąd pochodzę — odparła Dawn, wzmacniając swój południowy akcent — zachęca się drużny, by różniły się od siebie.

— A skąd pochodzisz? — spytała nerwowo Hannah.

— Z Roanoke.

— Gdzie to jest? — spytała jeszcze Hannah i natychmiast tego pożałowała. Takie pytanie zawsze zostaje poczytane za obelgę.

— W Virginii, jakieś dwie godziny od Richmond. Wagarowałaś na geografii, kochana? — Dawn zaprezentowała swój uśmiech debutantki.

— Jestem słaba z geografii — Hannah użyła najłagodniejszego, najdelikatniejszego tonu, na jaki było ją stać. Raz jeszcze spojrzała na telefon, sprawdzając jednocześnie wiadomości i godzinę. Do ślubu zostało trzydzieści minut. Westchnęła i znowu spojrzała na Dawn. — Je... jestem też słaba z makijażu, więc jeśli chcesz mnie umalować, to proszę bardzo. Ty jesteś specjalistką.

— Nie jestem byle specjalistką, kochana. Jestem najlepszą specjalistką — Dawn poprawiła cielisty gorset, który ścisnął ją od połowy uda aż do stanika. Chwilowo miała na nim jedynie koszulkę z napisem *Lady Tar Heel*. — Kiedy z tobą skończę, Tom padnie na kolana i będzie błagał o przebaczenie.

Hannah skrzywiła się, słysząc to imię.

— Nie chcę Toma na kolanach — odpowiedziała, ale nieprzekonywająco. — Nie chcę, żeby do mnie wracał i nie obchodzi mnie, co myśli. Bee robi za dużo szumu wokół całej sprawy.

Było to kłamstwem jedynie częściowo. Kiedy Hannah myślała o weselu Bee, na którym spotka Toma po raz pierwszy od ich rozstania dwa i pół roku temu, nie brała pod uwagę, że wróćą do siebie; w każdym razie nie od razu.

Przez pierwszy rok, czy coś koło tego, Hannah rzeczywiście pragnęła, by Tom do niej wrócił. Potem to marzenie ewoluowało w fantazję na temat zemsty i odrzucenia, która — kiedy okazało się, że spotkają się na ślubie Bee — stała się niemal możliwa do zrealizowania.

Hannah układała w myślach scenariusz: jest piękna i elegancka, pewna siebie i otoczona wspólnymi przyjaciółmi, którzy pamiętają ich jako parę. Wyobrażała sobie, jak Tom zauważa ją w tłumie podczas przyjęcia i ciągnie go do niej tak samo jak wtedy, gdy poznali się na studiach. Dostrzega, że Hannah przestała rozjaśniać włosy i ich czekoladowy brąz wreszcie pasuje do brwi. Zauważa też, że zgubiła te dziesięć kilo, które przytyła po studiach i które — była tego pewna — stanowiły prawdziwy powód jego odejścia, pomimo solennego zaprzeczania. Jest zdumiony jej pewnością siebie, zauroczony sposobem bycia i dowiaduje się, że przestała obgryzać paznokcie — to nawyk, który najbardziej go u niej denerwował. Bee albo Vicki wspomina mu, że Hannah została zatrudniona

przez znaną agencję castingową, zajmującą się reklamami o krajowym zasięgu i prawdziwymi, dojrzałymi filmami; koniec z niskobudżetowym teatrem, koniec z poszukiwaniem aktorów, którzy zgodziliby się zagrać w filmach instruktażowych dla diabetyków.

Krótko przed zerwaniem Tom powiedział Hannah, że sprzedaje się, biorąc te korporacyjne zlecenia, i że nie ma sensu robić castingów do projektów, które nie służą nawet rozrywce.

— Nie jesteś szczęśliwa — powiedział podczas tej czterodniowej kłótni, która zakończyła ich związek. — Sama tak powiedziałaś. To bezmózga robota.

Tyle że po latach ta robota się opłacała. Młodzi reżyserzy, ci, którzy zaczynali w fatalnych teatrach od musicali o Scooby Doo, ci, dzięki którym zarobiła pierwsze pieniądze, produkując dla firm materiały informacyjne o molestowaniu seksualnym w miejscu pracy, robili teraz prawdziwe filmy. I pamiętali o niej, i zatrudniali ją, kierując się lojalnością, tak jak obiecywali lata temu przy pierwszym spotkaniu.

Właśnie w taki sposób Hannah trafiła na nowy projekt, ten, który miała uświetnić Natalie Portman. Reżyserka tego filmu pracowała z nią kiedyś przy regionalnej reklamie bezmarkowych samochodów, a teraz kręciła film z sześciomilionowym budżetem.

Tom się mylił — te bezmózgie roboty ustawiły Hannah dokładnie tam, gdzie chciała teraz być. To Rob miał rację; to Rob wysyłał jej motywujące maile, radząc, by została w Nowym Jorku i stawiała wszystkiemu czoła. Kiedy zobaczył jej pierwszą ogólnokrajową reklamę z aktorami z Gildii Aktorów Ekranowych, przysłał jej nawet zabawną wiadomość: „Doskonały wybór, jeśli chodzi o reklamę tamponów. Naprawdę uwierzyłem, że ta kobieta obawia się wycieku. Boję się o nią. Poważnie. Gratulacje”.

W fantazjach Hannah na temat wesela ona i Tom nie rozmawiają podczas przyjęcia. Patrzą jedynie na siebie przez salę, jasno okazując, że zauważyli się nawzajem. Ale nie nawiązują kontaktu; dopiero po przyjęciu Tom przychodzi do jej pokoju i prosi o wybaczenie. Odwołuje wszystko, co powiedział podczas wyprawki — że ona nigdy nie mogłaby zostać niczyją żoną. Mówi, że opuszczenie Nowego Jorku było błędem, że mieszkanie blisko rodziny w Bostonie nie wydaje mu się już takie ważne. Mówi, że Nowa Anglia jest za ciasna i zbyt purytańska i że brakuje mu kolacji w pretensjonalnych restauracjach oraz wizyt w niszowych teatrach Broadwayu, w których występują przyjaciele Hannah; kiedy byli razem, Tom zawsze narzekał na te eskapady.

Mówi, że ta najgorsza noc w jej życiu — noc, kiedy odszedł — była także najgorszą nocą w jego życiu i że kiedy tylko jego siostra przygnała z Bostonu, by załadować jego rzeczy do swojego auta, zrozumiał, że stracił oparcie w życiu i najlepszą przyjaciółkę. Mówi, że myślał o niej codziennie, zwłaszcza wieczorem,



kiedy zasypiał.

W tym wyimaginowanym filmie postać Toma gra Paul Rudd. Co prawda jest jakieś dziesięć lat starszy od Toma, ale wciąż może uchodzić za dwudziestoparolatka. Zresztą obsadzenie go w tej roli przyciągnęłoby do kin wszystkie kobiety, które tak jak ja stanowiły nastoletnią widownię *Słodkich zmartwień* — myślała Hannah, podliczając w myślach ewentualne zyski z produkcji.

Potem Tom — albo Paul Rudd, zależnie od wersji — wsuwa głowę przez półotwarte drzwi, żeby ją pocałować, ale Hannah go zatrzymuje.

— Za późno — mówi stanowczo Hannah. Albo Emily Blunt, albo Kristen Stewart.

— Nie mów tak — jęczy Tom. Albo Paul Rudd.

Jeśli miała dobry dzień, Hannah kończyła opowieść w tym miejscu, zamykając Tomowi przed nosem hotelowe drzwi. Czasem nawet wyobrażała sobie nowego partnera, który czeka na nią w fikcyjnym hotelowym łóżku. Co ciekawe, tego nowego partnera też zazwyczaj grał Paul Rudd — nad tym Hannah musiała się jeszcze zastanowić.

Czasem oczywiście trudno było utrzymać w ryzach swoje fantazje. Czasem nie kończyło się na bezpiecznym, zwyczajnym odrzuceniu chłopaka ze studiów, który zostawił ją z niczym. Czasem ta scena kończyła się wciągnięciem Toma do pokoju i namiętym seksem na hotelowym łóżku, z jękami i szarpaniem poduszek... W tych chwilach Tom zazwyczaj był sobą — Paul Rudd nie wydawał się typem faceta, który jęczy i szarpie.

Obydwa zakończenia ją satysfakcjonowały; wizualizowanie jednego lub drugiego pomagało Hannah zasnąć w ostatnich miesiącach. Pomagało też trzymać się diety i ćwiczeń w ramach przygotowań do ślubu.

Oczywiście nawet po miesiącach diety i z nową, słono przeplaconą fryzurą oraz fachowym manikiurem Hannah czuła się niechlujnie, kiedy stała obok pierwszej druhny, wyszykowanej pod kamerę. W zasadzie Dawn była tylko żoną kolegi ze studiów Bee, ale należała do paczki, która od tychże studiów tworzyła drugą rodzinę Bee.

A Bee była teraz prawniczką. I obywatelką Południa. Najpilniejsza, najcichsza ze znajomych Hannah na Syracuse University, dotrzymała niepisanej obietnicy złożonej rodzinie: została prawnikiem, tak jak ojciec, i wyszła za mąż przed trzydziestką. Jedynym zaskoczeniem był dla rodziny wybranek Bee, w przeciwieństwie do nich — hałaśliwy, niesforny, niedoskonały i dość emocjonalny.

Bee zakochała się w Matcie Fee już na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie Północnej Karoliny w Chapel Hill. Zamierzała zostać specjalistką

od nieruchomości, on zaś zaraz po egzaminach miał objąć posadę prawnika w rodzinnej firmie. Po wyjściu za niego za mąż i zmianie nazwiska — a zamierzała je zmienić — będzie się nazywała Bee Fee. Jakoś nie wydawało się, by ją to martwiło.

— Przecież ja nie mam na imię Bee — powiedziała Bee do Hannah krótko po ogłoszeniu zaręczyn. — Może pamiętasz, że mam na imię Beth? Teraz będę się nazywała Beth Fee.

— Nikt nie mówi do ciebie Beth, Bee — odparła Hannah sucho. — Bee Fee? Kto wynajmie prawnika z takim nazwiskiem? Bee Fee? Brzmi jak nazwa proszku do prania. Proszę cię, zostań przy panińskim nazwisku.

— Zostawię je sobie. Beth Evans Fee. W ten sposób ciągle będzie Bee, tylko Evans zamiast Eleanor.

— Ale to tak głupio brzmi. „Szanowna Pani Bee Fee”.

— Hannah, naprawdę chcesz mi wszystko zepsuć?

— No dobrze, dobrze — poddała się w końcu Hannah, mruczając pod nosem: „Bee Fee”.

W ciągu ostatniego roku Bee wspominała o Dawn tylko kilka razy, więc Hannah była dość zaskoczona, że bardzo młoda żona jakiegoś kolegi ze studiów błyskawicznie wskoczyła na stanowisko pierwszej drużyny. Bee wyczuła chyba przez telefon jej wątpliwości, bo starała się wytłumaczyć.

— To nie jest tak naprawdę kwestia przyjaźni, Hannah. Przecież wiesz, że jesteś dla mnie bardzo ważna. Ale tutaj potrzebny jest ktoś, kto pomoże w organizacji tego wszystkiego, tych zakupów i spotkań. Ty przecież tego nie znosisz, a Dawn to kocha. Dla tego żyje.

— Mnie to nie przeszkadza, Bee. Nie muszę być pierwszą drużyną i owszem, szczerze nienawidzę takich rzeczy. Ale co z Jackie? Znasz ją od urodzenia, czy ona nie poczuje się dotknięta?

— Jackie też tego nie cierpi, a w każdym razie teraz, kiedy jest sama. Nie mogłabym prosić jej o zajmowanie się moim weselem, to by było takie... nieczule. Zmuszać ją, żeby siadła i planowała czyjeś święto, po tym jak sama przeżyła taki wielki zawód... Zresztą zobaczysz, Dawn jest w tym świetna. Na tym polega jej praca.

I Hannah przekonała się niebawem, że sukienki, eye-liner oraz szczegóły ceremonii istotnie były elementami zawodu Dawn. Dumna dwudziestotrzyletnia obywatelka Roanoke pracowała jako trener konkursowy: przygotowywała dziewczyny do występów w konkursach piękności. Rodzice, którzy chcieli zwiększyć szanse swych córek, płacili Dawn tysiące dolarów, by mogła uczyć dziewczyny pielęgnować urodę i odpowiednio się przechadzać. Pomagała im wybierać ubrania, od wieczorowych sukien po gustowne, ale wiele odsłaniające kostiumy kąpielowe. Opracowywała materiały na pokaz talentów, nawet jeśli nie

miały żadnych talentów. Egzaminowała je z marzeń i planów, bo wiedziała, że będą o to pytane.

— Żadnej polityki — radziła. — Żadnego pokoju na świecie. Znajdź sobie jedną prawdziwą sprawę i trzymaj się jej, najlepiej coś związanego ze zwierzętami albo rodzinami weteranów, zwłaszcza tu, w Virginii.

Dawn nigdy nie skończyła żadnych studiów. Zaczęła swój jednoosobowy biznes, gdy tylko stała się za stara, by sama startować w tego rodzaju konkursach. W wieku lat dwudziestu stać ją już było na kremowego forda expedition ze spersonalizowaną tablicą rejestracyjną: „PIEKNO”.

— Mogę być z tobą szczerą? — zaczęła Dawn, gdy tylko się poznały, dwa miesiące temu, na wieczorze panieńskim Bee.

Bee i jej drużyny zjechały właśnie ze swoich domów na wschodnim wybrzeżu i zebrały się w barze Hiltona w Atlantic City, gdzie miały spędzić noc. Hannah, która nie przestawała myśleć o zawodzie Dawn, odkąd pierwszy raz o niej usłyszała, nie mogła się powstrzymać. Zapytała, dlaczego występy w konkursach piękności miałyby wymagać profesjonalnej pomocy — to znaczy pomocy innej niż psychiatryczna.

— To nie jest tak jak myślisz — odparła Dawn, udając, że nie rozumie aluzji. — Jesteś z tymi dziewczynami cały czas, miesiącami, od początku do końca. Poważnie, jesteś dla nich jak matka. Planujesz. Pomagasz w zakupach, chudnięciu, z obcasami i włosami. Uczysz je, jak mówić. Jesteś jak wróżka chrzestna, poważnie. A potem, kiedy wygrają, nie chcą nic więcej, tylko rzucić ci się na szyję.

— Znaczący jesteś wróżką chrzestną, która żąda, żeby chudły? — Hannah czuła w głowie dwa kieliszki rieslinga, a na sobie ostrzegawcze spojrzenie Bee.

— Nie żądam, żeby chudły — odpowiedziała spokojnie Dawn, biorąc łyk fluorescencyjnego martini. — Większość dziewczyn chce wyglądać jak najlepiej. Niektóre nie muszą w tym celu chudnąć. A niektóre muszą.

Hannah skinęła tylko głową i spojrzała na drzwi. Niecierpliwie czekała na Jackie, najlepszą przyjaciółkę Bee ze szkoły średniej w Maryland.

Nie żeby tak świetnie się znały. Po prostu odkąd pierwszy raz spojrzała na Dawn, nieznaną jej wcześniej pierwszą drużnę, która była tak bardzo blond, tak bardzo z Południa i tak bardzo wypacykowana cieniami i różami, Hannah pragnęła popatrzeć na ciemne loki i bladą twarz Jackie.

Po raz ostatni widziała ją na dwudziestych piątym urodzinach Bee i większość czasu spędziły, robiąc sobie żarty ze wszystkich w barze. Towarzystwo Jackie, przynajmniej wtedy, kiedy miały pod dostatkiem alkoholu, bardzo Hannah odpowiadało. W jej roli obsadziłaby Julię Stiles — choć była blondynką, miała ten sam szelmowski uśmiech i aksamitny głos.

Bee i Jackie znały się od małego. Dzieliły piętrowe łóżko na koloniach w Maine przez sześć kolejnych lat, grały razem debła w liceum, poszły na bal

maturalny z bliźniakami Chrisem i Edem Shanahanami i pierwsze, co zrobiła jedna, kiedy na studiach przeżyła swój pierwszy raz, był telefon do tej drugiej. Ale z czasem zaczęły się od siebie odsuwać i w końcu Jackie nie została nawet pierwszą druzną. Jej długoletni partner, Kevin, pozwolił sobie na kilka ostentacyjnych skoków w bok, a w zeszłym roku odszedł na dobre. Wtedy Jackie zamknęła się w sobie i czasami zdarzało jej się być przykrą dla przyjaciół — dla Bee — którzy mieli szczęście w miłości.

Tamtego wieczoru, w barze w Atlantic City, Bee opowiedziała drużnom o Jackie i Kevinie, by wiedziały, czego się spodziewać po tej najstarszej, najbliższej, lecz nieco odsuniętej przyjaciółce, która miała dopiero przyjść.

Jackie była specjalistką od finansów i obecnie zajmowała się przypadkami defraudacji środków firmowych. Jej firma, z siedzibą w finansowym centrum Nowego Jorku, sprawdzała dla klientów, czy pracownicy nie używają służbowych kart kredytowych do celów prywatnych; dzięki Jackie prezesi oszczędzali miliony dolarów, gdyż wykrywała biznesmenów, którzy używali służbowych kart, by płacić za naprawy swoich samochodów i drogie obiady. Raz przyłapała dyrektora na pobieraniu ogromnych sum w gotówce, którą opłacał chesne w prywatnej szkole swojego dziecka — trzydzieści tysięcy dolarów.

Kevin był partnerem Jackie jeszcze ze studiów, przeprowadził się z nią do Nowego Jorku i byli bardzo szczęśliwi, z widokiem na ślub. Do momentu kiedy okazało się, że Kevin nie tylko zdradzał ją z koleżanką z pracy, ale też za plecami Jackie założył na jej nazwisko kartę kredytową.

Bee mówiła, że Jackie wciąż spłaca gigantyczny dług, jaki zaciągnął Kevin, aby spłacić studenckie pożyczki, kupować sobie bezsensowne gadżety i zabierać kochankę na kolacje. Dowiedziała się o nim w najprostszy możliwy sposób — kiedy pracownik banku, z którym zresztą często współpracowała, zadzwonił, by poinformować ją, że spóźnia się ze spłatą. Wyjaśniła, że nie zakładała u nich konta i że to musi być pomyłka. Pracownik odczytał jej datę urodzenia i numer ubezpieczenia, po czym podał szczegóły olbrzymiego długu; Jackie była przekonana, że ma do czynienia z kradzieżą tożsamości... dopóki urzędnik nie przeczytał jej listy dokonanych zakupów. W tym Xboxa, który leżał na podłodze w dużym pokoju, i zielonych, „aerodynamicznych” trampek, które Kevin nabył w zeszłym miesiącu.

Zmuszony do wyjaśnień, Kevin wytłumaczył, że depresja doprowadziła go do zakupoholizmu, i obiecał udać się na terapię. Wszystko, co złe, mówił, jest kwestią wrodzonego rozchwiania hormonalnego, wszyscy w jego rodzinie to mają.

Po szóstym spotkaniu z terapeutą Kevin wpadł do domu i oznajmił, że Jackie — przez pobłażanie — jest współwinna jego uzależnienia oraz że dla dobra własnej psychiki musi się wyprowadzić. Obiecał spłacić dług na karcie kredytowej, ale nigdy tego nie zrobił. Nie zadał sobie nawet trudu, by poinformować pocztę o

zmianie adresu. Jackie zdecydowała się wziąć spłatę na siebie i nie kontaktowała się z nim, wychodząc z założenia, że skoro sama padła ofiarą zachowania, które zawodowo ścigała, wypadaloby ponieść konsekwencje.

Rok po tych wydarzeniach Jackie była jeszcze bardziej zdystansowana i cyniczna, twierdziła Bee. W hotelowym barze Bee snuła tę historię jak opowieść o duchach, dramatycznym szeptem i z szeroko otwartymi oczami. Hannah wyobrażała sobie, że Bee trzyma pod brodą latarkę, przerażająco oświetlającą jej twarz.

Potem Bee dodała jeszcze, że Jackie zgodziła się zostać druhną po długim namyśle i że cała ta sprawa chyba znieczuliła ją na cudze szczęście.

— A może zebranie się po takiej stracie, takiej zdradzie, zabiera więcej niż kilka miesięcy — syknęła Hannah. — Coś takiego potrafi naprawdę zniszczyć — dodała, być może odsłaniając się za bardzo przed pozostałymi druhami, które wszystkie były albo zamężne, albo zaręczone.

Dlatego też Hannah była pewna, że ona i Jackie będą się trzymały razem podczas weekendu panieńskiego i wesela, jako jedyne singielki i kobiety z Nowego Jorku. Jackie jednak wyraźnie nie miała ochoty na towarzystwo Hannah i na funkcję drużny jako taką. Kiedy tylko pojawiła się w drzwiach, poinformowała obecnych, że spotyka się z laryngologiem o imieniu Will. Bee pisnęła podekscytowana, Jackie zaś tylko wzruszyła ramionami.

Parę godzin później, kiedy Bee przewracała się już w knajpie zwanej Smile Club, a Dawn żądała, by zostać jeszcze z godzinkę, Hannah szukała wsparcia u Jackie, by zaprowadzić towarzystwo do hotelu, dać pannie młodej spokojnie zwymiotować i się przespać. Ale zanim zdążyła ją poprosić, by we dwie stawily czoła Dawn, Jackie oznajmiła, że boli ją głowa i idzie się położyć.

— Ale wy zostańcie — powiedziała, unikając zszokowanego spojrzenia Hannah. — Siedźcie sobie i bawcie się dobrze.

Hannah tylko odrzuciła głowę do tyłu, rozgniewana tą cichą zdradą. Dawn przewlokła umęczoną grupę przez kolejne dwa bary; flirtowała tam z facetami w bejsbolówkach, a spitą Bee zostawiała pod opieką Hannah. Bee zaś potrafiła jedynie mamrotać: „Myślisz, że Matt się ze mną rozwiedzie?” albo „Myślisz, że będzie mnie zdradzał?”.

Hannah próbowała dyskutować z Dawn, która nie wydawała się ani odrobinę bardziej zmęczona niż pięć godzin wcześniej.

— Dawn — mówiła najgrzeczniej, jak umiała — myślę, że Bee za chwilę będzie wymiotować. Powinnyśmy ją zabrać do hotelu.

— Kochana — Dawn klasnęła w dłonie przed wędnącem wzrokiem Bee — musisz się zebrać w sobie! Mogę być z tobą szczerą? — zawołała, tym razem w stronę Hannah. — To są jej ostatnie chwile wolności. Nie będzie szczęśliwa, kiedy

się dowie, że była w łóżku przed północą!

I tak Dawn przetrzymała je jeszcze godzinę, zanim wróciły do hotelu, a i to tylko dlatego, że Bee zwymiotowała na siebie w barze. Więc w sobie owszem, ale o zbieraniu nie było mowy. Gdy tylko Bee zaczęła robić z siebie widowisko, Dawn pognęła do taksówki, odwracając się jedynie po to, by zawołać: „Jest twoja! Powodzenia!”. Za nią zniknęła Lisa, nieśmiała druha. Dwadzieścia minut zajęło Hannah jako takie posprzątanie po Bee i wyprowadzenie jej z baru. Na ulicy trzymała ją w talii i uciskała jej plecy, kiedy Bee wymiotowała do studzienki w Atlantic City, aż wreszcie opróżniła żołądek i mogły wsiąść do taksówki.

Kierowca spojrzął na Bee we wstecznym lusterku i potrząsnął głową.

— Lepiej niech nie rzyga — oznajmił. — Jak się zerzyga, dopłacacie dwieście dolców.

— Nie ma obawy — odparła Hannah, a Bee się skrzywiła.

Ledwie dotarli na miejsce i Bee wysiadła z taksówki, puściła kolejnego pawia na buty Hannah. Potem pochyliła się, by ją przytulić, a Hannah trzymała ją mocno, ignorując cały bałagan. Wreszcie poprowadziła ją do hotelowego holu, który po północy wciąż był dziwnie zatłoczony, nawet jak na miasto znane z kasyn.

W lewej ręce Hannah trzymała zarzygany sweter Bee, kaszmirowy i pewnie dość drogi, więc nie chciała go zgubić, prawą ręką zaś prowadziła przyjaciółkę przez recepcję i do windy. Po kilku krokach bluzka bez ramiączek, którą Bee miała na sobie, zsunęła jej się z ramion.

Pewnie była za luźna, pomyślała Hannah, bo Bee odchudzała się na wesele. Zgrzytnęła zębami, rzuciwszy okiem na gapiących się ludzi — Bee nie założyła stanika i stała teraz półnaga, z topem wokół pasa. Trzech mężczyzn w wieku studenckim gapiło się na nią z otwartymi ustami.

— Ożeż w mordę — powiedział jeden z szerokim uśmiechem.

Drugi z nich, w koszulce Rutgersów, wyciągnął nawet telefon, żeby zrobić zdjęcie. Hannah spiorunowała go wzrokiem.

— Jeśli zrobisz jej zdjęcie, to przysięgam, że wezmę ten telefon i wepchnę ci do dupy — oznajmiła, upuszczając trochę pary, która przeznaczona była dla tak po prawdzie apodyktycznej Dawn i zdradzieckiej Jackie. Chłopak opuścił telefon, a jego koledzy wybuchnęli pijackim śmiechem.

Bee spojrzała na siebie i zachichotała razem z nimi.

— Hannah, jestem rozebrana — powiedziała.

— Wiem, Bee — odparła Hannah łagodnie.

— Moje sutki — mówiła Bee, podchodząc do windy.

— Owszem, dwa. Wszystko się zgadza.

W windzie jechali z nimi dwaj mężczyźni w garniturach, pewnie w podróży służbowej. Hannah znowu usiłowała naciągnąć bluzkę Bee na piersi, bezskutecznie.

— Miły wieczór — powiedziała, uśmiechając się smętnie do towarzyszy.

— Tak — wyższy mężczyzna nie odwracał wzroku od piersi Bee. — Nie za chłodny. — Potem obaj się zaczerwienili.

Kiedy wreszcie udało jej się zaprowadzić Bee do pokoju, Dawn i Lisa siedziały już w piżamach, oglądając program Davida Lettermana. Kipiąc z gniewu, Hannah przeprowadziła Bee do łazienki i trzasnęła drzwiami. Parę dobrych chwil trzymała głowę Bee nad muszlą, zanim usłyszała ciche pukanie do drzwi.

— Hannah, potrzebujesz czegoś? — zapytała Lisa, cicha koleżanka ze studiów prawniczych. — Mamy ciastka i chrupki, jest też oranżada i woda.

— Nie — warknęła Hannah i natychmiast tego pożałowała. Złościła się na Dawn i Jackie, nie na nieśmiałą Lisę. Bierna i nieskuteczna, była zapewne fatalnym prawnikiem, ale miłą osobą. Hannah zdecydowała, że grałaby ją Katie Holmes.

Odczekała jeszcze dwie serie torsji i wsadziła Bee do wanny, rzuciwszy resztę jej ubrań — drogie jeansy i białą bieliznę — w kącie za toaletą, po czym odkręciła zimną wodę. Bee wrzasnęła.

— Czekaj spokojnie, zaraz się zagrzeje.

— Nie musisz tego robić — mruknęła Bee. Trzeźwiła, jej spojrzenie nie było już takie szkliste.

— Muszę — Hannah usiadła na podłodze. — Ty zrobiłaś to dla mnie.

— Naprawdę?

— Dwa razy. Raz na drugim roku, na domówce u Matta Dorfmana. Puściłam pawia na własne kolana i chyba był jeszcze bardziej obrzydliwy niż twój teraz, jeśli to możliwe. A potem drugi raz, kiedy rozeszłam się z Tomem.

— Nie pamiętam, żebyś puszczała pawia, kiedy odszedł Tom.

— Puszczałam emocjonalnego pawia — mruknęła Hannah, wspominając ten moment. — Zadzwoiłam do ciebie, kiedy Tom i jego siostra pojechali, a ty przyjechałaś od rodziców, aż z Maryland. Sprzątałaś moje mieszkanie, kiedy ryczałam, oglądając z marszu cały sezon *Zagubionych*. I mieszkałaś u mnie przez tydzień, do czasu aż mogłam spać sama.

Bee uśmiechnęła się, myjąc ręce ciepłą wodą.

— Jasne, że tak — powiedziała dumnie, powstrzymując beknięcie. — Podasz pastę do zębów?

— Masz — Hannah sięgnęła do kosmetyczki Bee po małą tubkę.

— Hannah? — Bee wycisnęła na palec małą zieloną kulkę i wsadziła palec do ust. — Myślisz, że Matt jest porządnym facetem? Znaczący, myślisz, że będziemy szczęśliwi?

— Bee, to nie jest twój tata — Hannah uśmiechnęła się spokojnie. — A ty nie jesteś swoją mamą. To kompletnie inne małżeństwo; twoje, nie ich.

Kiedy Bee ubrała się wreszcie w świeżą piżamę, była druga w nocy. Pozostałe druhny spały mocno — Jackie i Dawn rozwalone na podwójnych

łózkach, przez co Lisa musiała się położyć na podłodze pod telewizorem. Hannah zauważyła też składane łóżko, zapewne przygotowane dla wymiotującej panny młodej. Będę miłsza dla Katie Holmes, postanowiła Hannah, patrząc, jak Lisa kuli się na dywanie bez koca.

Położyła Bee na składanym łóżku, a sama zajęła miejsce obok Lisy, która na chwilę otworzyła oczy.

— Przepraszam, że na ciebie nawarczałam — powiedziała Hannah — ale siedziałam po kolana w rzygach. — Uśmiechnęły się do siebie.

Parę minut trzęsły się bez przykrycia, aż w końcu zdecydowały się do siebie przytulić. Przez chwilę Hannah myślała o Tomie, co zdarzało się często przed zaśnięciem. Wyobraziła sobie, że to on leży obok niej zamiast tej praktycznie nieznamym dziewczyny — próbowała w myślach zastąpić kobiecą sylwetkę Lisy szerokimi ramionami Toma. W końcu westchnęła tylko, zamykając oczy.

Następnego ranka Hannah postanowiła pójść za przykładem Lisy. Dawn była samolubną, płytką specjalistką od konkursów piękności, ale w kontekście wesela lepiej było działać z nią niż przeciw niej. Jackie była sensowniejszą liderką, kimś, z kim w normalnych okolicznościach Hannah mogłaby się zaprzyjaźnić, ale Jackie nie oferowała niczego w zamian. Chciała tylko, by zostawić ją w spokoju, w związku z czym była dla Hannah bezużyteczna.

Mimo że nie znosiła Dawn, Hannah musiała przyznać, że jest w niej coś znajomego. Tego ranka po wieczorze panieńskim, patrząc, jak Dawn starannie szykuje się przed wyjściem z hotelu, zrozumiała, co to było. W Nowym Jorku Hannah spędzała większość czasu z aktorami — ładnymi ludźmi, którzy potrzebowali uwagi i nie byli prawdziwymi przyjaciółmi. Większość z tych, którzy zapraszali ją na kolacje i dawali jej bilety do teatru, robiła to tylko dlatego, że mieli nadzieję na angaż. Ale Hannah przyzwyczaiła się już do ich obłudnej obecności, która — odkąd odszedł Tom — przynajmniej zajmowała jej czas; miała co robić w weekendy.

Na imprezach Hannah wynajdywała zawsze najgorszego, najbardziej nieprzyzwoicie atrakcyjnego i aroganckiego aktora — najchętniej geja — i trzymała się go. W ten sposób miała zapewnioną rozrywkę i wiedziała, że nie będzie się do niej dobierał. Dawn była najbliższa temu typowi spośród osób, które miały być na weselu Bee.

— W sumie zaczynam ją lubić, gdy myślę o niej jako o *drag queen* — powiedziała Hannah, dzwoniąc do Vicki po imprezie. — Jeśli na nią patrzeć jak na geja, prawie daje się wytrzymać.

— Brzmi to wszystko dość homofobicznie — odparła Vicki. — A ta cała Dawn wydaje mi się straszna. Kiedy będziemy w Annapolis, trzymaj ją ode mnie z daleka, bo ja nie dam rady zapomnieć, że ona jest kobietą. Ani że Bee przyjaźni się



teraz z uczestniczką konkursów piękności.

Kwestia konkursów piękności przestała jednak martwić Hannah, bo jeśli miała zaszokować Toma swoją doskonałością, potrzebowała profesjonalnej pomocy. Pomocy instruktora konkursowego. Teraz, w klubie w Annapolis, Hannah siedziała jak piesek obok Dawn i przyglądała się pastelowemu pudełku, wypełnionemu jeszcze większą ilością kosmetyków. Na boku pudełka przyklejono nalepkę „MRV”.

— Co to znaczy? — spytała Hannah, odgarniając włosy z twarzy, by Dawn mogła się jej lepiej przyjrzeć.

— Miss Roanoke Valley — odparła dumnie Dawn. — Mój tytuł. Byłam też wicemiss stanu Virginia.

— Nieźle — Hannah zadziwiła samą siebie, ale była pod wrażeniem. — A nie było to trochę dziwne? Znaczy, byłaś dzieciakiem i sama chciałaś? Czy mama cię zmuszała? Nie żeby było w tym coś złego — dodała pospiesznie. — Ale to się wydaje sporym stresem dla dzieciaka.

— Mogę być z tobą szczerą? Uwielbiałam to. Szczerze. Wszystko przychodziło mi naturalnie. Wiem, że w mediach to wygląda strasznie, cała ta sprawa JonBenét... ale tak naprawdę tu chodzi o samoocenę i kobiecość. O kochanie siebie.

— Rozumiem — powiedziała cicho Hannah. Postanowiła zmienić temat. — Słuchaj, Dawn. Naprawdę zależy mi, żeby wyglądać dobrze i ufam ci, ale nie chcę wyglądać jak, no wiesz, południowa piękność. To do mnie nie pasuje. Nie zrób ze mną nic... no, wiesz... przesadnego.

— Co to w ogóle znaczy? — Dawn przewróciła oczami.

— To znaczy bez lazurów do powiek. I bez brokatu. Chcę wyglądać dobrze, ale nie tak, jakbym była na debiutanckim balu. Chcę wyglądać jak ja, tylko lepiej.

— Makijaż na bale debiutanckie jest zazwyczaj bardzo subtelny — Dawn wyszczerzyła zęby. — To tak dla informacji. Brokat do ciała jest dla tancerek go-go i prostytutek; nie posiadam go, nie używam i nie popieram. Jasne, kochana?

Hannah westchnęła ciężko i skinęła głową. Weselna rzeczywistość wreszcie do niej dotarła, a ona czuła się zmęczona. Tom był już pewnie w mieście, razem ze swoją partnerką — szkolną psycholog imieniem Jaime.

— Dobrze się czujesz, kochana? — Dawn wyglądała na szczerze zatroskaną.

— Chcę, żeby wrócił — odezwała się Hannah, zdumiona swoim brakiem opanowania. Z jej wciąż niepomalowanych oczu popłynęły łzy.

— Kochana — powiedziała Dawn, przytulając ją do siebie. — Kochana, wróci w mgnieniu oka. Jesteś taka piękna.

*Vicki*

— Grasz?

— Hm? — Vicki podniosła oczy i zobaczyła nastoletniego chłopca, wskazującego palcem futerał na jej plecach.

— Przepraszam. Zaciekawiał mnie instrument, który masz ze sobą. Co to jest?

— Zwyczajna akustyczna. Takamine. Nic specjalnego — powiedziała Vicki, wzruszając ramionami.

— Grasz w zespole?

— Nie. Mam takie hobby, że lubię grać wieczorami. Śpiewam, aż zasnę.

— Fajnie — powiedział chłopak i odszedł w stronę rodziców, którzy kłócili się pod drzwiami hotelu.

Vicki miała już przygotowanych kilka odpowiedzi na pytanie o gitarę, które zawsze ktoś w końcu zadawał. Zazwyczaj były to młode osoby. Kobiety w jej wieku lub starsze zwykle nie zwracały uwagi na futerał albo patrzyły spode łba, jakby chciały powiedzieć, że Vicki jest już grubo za stara na podróżowanie z gitarą. Wyglądało na to, że podróż z instrumentem jest dla nich czymś w rodzaju podróży w ciąży. Obcy ludzie uważali, że mają prawo oceniać i że wszystko wiedzą lepiej, tyle że zamiast pytać: „Który miesiąc?”, pytali: „Grasz w zespole?” albo „Jaką muzykę?”. A człowiek miał obowiązek odpowiadać.

Zesztywniała lekko, kiedy recepcjonista wziął do ręki jej kartę kredytową. Nie miała ochoty tu mieszkać. Robert Johnson House był pięknie odrestaurowanym hotelem w budynku, który, według tablicy na ścianie, należał do rodziny Johnsonów już w 1700 roku. Był też chyba najlepszym miejscem na turystyczny pobyt w stolicy Maryland, tuż przy porcie, ale dla Vicki wiązał się przede wszystkim z ogromną stratą pieniędzy. Firmowe podróże zapewniały jej masę punktów kredytowych w sieci Marriott, jednak Hannah uparła się na Johnson House.

— Jestem druzną i muszę mieszkać z resztą orszaku weselnego — wyjaśniła przez telefon. — Możemy wziąć pokój w Robert Johnson House albo Governor Calvert House. Robert Johnson jest mniejszy i pewnie tańszy. Zresztą oba wyglądają ślicznie. Nie masz już dość tych Marriottów?

— Nie — odparła szczerze Vicki. — Lubię sieciówki. Zawsze czujesz się w nich jak w domu. Zresztą jakaś stara gospoda w Annapolis może nawet nie mieć kablówki.

Na miejscu Vicki przekonała się, że jej ocena była niesprawiedliwa. Robert Johnson House, stojący przy historycznym, brukowanym rynku obok siostrzanej

instytucji, jaką był Governor Calvert House, dysponował płaskimi telewizorami z abonamentem HBO. W kącie świecił dystrybutor coli. Vicki westchnęła z ulgą i pomyślała, że może uda się namówić Hannah, by wrócić wcześniej do pokoju, kupić paczki M&M-sów i pooglądać *Saturday Night Live*.

Z kluczem w ręce Vicki odciągnęła walizkę na kółkach od recepcji, chcąc w pełni wykorzystać ostatnie chwile wolności przed weselem. Nie udało jej się jednak wyjść z holu, zanim znów ją ktoś zatrzymał.

— Gra pani? — zapytał męski głos za jej plecami.

— Tak — warknęła, odwracając się gwałtownie. Uspokoila się jednak, widząc, jak się zmieszał. Pełne policzki i szpakowate włosy nie całkiem pasowały do dziecięcego uśmiechu. Około pięćdziesiątki, był młodszy od jej rodziców, ale niewiele.

— Jest pani muzykiem? Przyjechała pani pewnie na występy w którymś z tutejszych barów? — ciągnął mężczyzna wesoło.

— Nie, to tylko hobby. Przyjechałam na wesele.

— Ach, tak? — zaśmiał się. — Niech zgadnę, chodzi o wesele Evans-Fee?

— Tak — Vicki zeszytniała lekko i futerał na gitarę przesunął jej się na plecach. — Bee jest moją przyjaciółką ze studiów.

Tamten znów zaśmiał się nerwowo i odchrząknął.

— Jestem wujkiem Bee. Joe.

— Och. Wydaje mi się, że Bee wspominała o panu. Jestem Vicki, mieszkaliśmy w jednym pokoju na pierwszym roku w Syracuse. Od tamtego czasu się przyjaźnimy.

Mężczyzna patrzył na nią, jakby powiedziała coś obraźliwego; uśmiech zgasł mu na twarzy i stał tak, milczący, ledwo oddychając, jak urządzenie elektryczne, któremu skończyły się baterie. Poruszał tylko oczami, które analizowały rysy jej twarzy, zatrzymując się w końcu na ustach.

— Cóż, do zobaczenia na przyjęciu — powiedziała Vicki, odwracając się niezręcznie. „Dziwne”, przeszło jej przez głowę, kiedy kierowała się do pokoju.

To pewnie nic takiego, myślała, przekręcając staroświecki metalowy klucz. Hannah ma rację — Vicki zawsze wydawało się, że ktoś ma z nią problem. Może ludzie byli w jej obecności skrępowani, bo robiła coś, co ich krępowało. Może wujek Bee był po prostu zmęczony. Może właśnie miał zawał.

Bezpieczna w hotelowym pokoju, Vicki zdjęła wreszcie z pleców ciężki futerał i położyła go na łóżku bliżej okna. Podczas licznych weekendowych wycieczek, które odbyła z Hannah w czasie studiów, Vicki przekonała się, że Hannah i jej niewielki pęcherz są najszcześliwsi, kiedy śpią blisko łazienki.

Vicki odpięła klamry futerału i otworzyła go. W środku bynajmniej nie było gitary — w futerale znajdowała się lampa, którą Vicki wyjęła ostrożnie i zaczęła

nią manewrować jak misą wrzątku. Postawiła ją na podłodze koło łóżka, podłączyła i usiadła po turecku naprzeciwko. Kiedy lampa się rozgrzała i zaczęła emitować promienie w twarz Vicki, dziewczyna sięgnęła po pilota od telewizora.

Doktor Howard powiedział jej co prawda, żeby tego nie robiła. Nie mógł stwierdzić na pewno, czy światło i dźwięk telewizora ograniczają działanie lampy, ale na pewno nie pomagały.

— Telewizja stanowi część problemu, nie rozwiązania — powiedział doktor Howard ze swoim nowojorskim akcentem. — Oglądasz ją całe doby, to oznaka depresji. Koniec z reality shows. Koniec z programami kryminalnymi. W ogóle koniec z telewizją.

Przypomniawszy sobie jego słowa, Vicki wyłączyła telewizor, zanim zdążyła zauważyć, co w nim nadawano. Odkąd prowadził ją doktor Howard, przyzwyczaiła się w zasadzie do życia bez telewizji. On też namówił ją na zakup lampy do fototerapii. Ironia losu, że ochota na oglądanie telewizji przychodziła jej zazwyczaj właśnie wtedy, kiedy odbywała seans fototerapeutyczny, ale siedzenie i patrzenie w lampę godzinę dziennie było takie nudne. Poza tym ciężko jej było nie myśleć o wszystkim, co ją przygnębiało — a tego właśnie wymagał doktor Howard w ramach terapii kongnitywno-behawioralnej.

Vicki kupiła lampę pół roku temu. Zapłaciła dwieście pięćdziesiąt dolarów w sklepie internetowym, który polecił jej doktor Howard, mówiąc przy tym, że nie ma gwarancji, iż lampa solarna zmieni jej życie. Ale i tak wydawało się to lepszym pomysłem niż zwiększanie po raz trzeci dawki antydepresantów.

Do lampy dołączono stosowny futerał, lekki i wygodny, idealny na częste służbowe podróże. Niestety, na futerał wytłoczona była nazwa produktu — „CAS-Lite”. Wszyscy albo wiedzieli, co Vicki ma ze sobą, albo pytali.

— Co to jest „CAS-Lite”? — spytał kolega z pracy podczas jej pierwszej podróży z lampą.

— Takie coś... do laptopa — powiedziała Vicki, nieprzygotowana. — Podłączasz przez to sieć bezprzewodową.

— To ta lampa na depresję, prawda? — zapytał tamten, ignorując jej słowa. — Szwagier taką ma.

— Nie. Przecież mówię, że to dodatek do komputera.

— Mhm.

Tuż przed kolejnym wyjazdem Vicki przypomniała sobie o gitarze, która leżała w drugim pokoju i osiadał na niej kurz. Kupiła ją na wyjeździe do Ithaki, kiedy jeszcze była z Richem, na studiach. Rich grał w zespole i powiedział, że jeśli Vicki nauczy się grać, będzie mogła się przyłączyć do jakiejś piosenki — jakby to był jakiś honor. Vicki ledwo panowała nad grymasem twarzy, kiedy słuchała, jak zespół Richa wykonuje rockowe covery oraz sześć autorskich piosenek, z których trzy były o rozdzielaniu.

Po wydaniu pięćdziesięciu dolców na gitarę Vicki powiedziała mu, że zamierzają z Hannah założyć konkurencyjny zespół i skorzystać wreszcie ze swojej długiej listy głupich nazw dla zespołów. Ale zawsze miały coś lepszego do roboty i stara gitara latami leżała bezużytecznie. Teraz wreszcie miała się przydać — futerał miał akurat odpowiedni rozmiar, by niepostrzeżenie przewozić lampę. Jak dotąd, nikt nie chciał zobaczyć samego instrumentu, nikt też nie pytał, dlaczego zabiera go na wyjazdy służbowe. Wszyscy sądzili, że tak bardzo wciąga ją nowe hobby.

Nie wiedzieli oczywiście, że Vicki nawet nie wie, jak trzymać gitarę. Nie wiedzieli, że to, co jest w środku, to zakup mający powstrzymać jej upadek w emocjonalną przepaść.

Kiedy rozmawiały przez telefon parę tygodni przed weselem, Vicki powiedziała Hannah o lampie, żeby uniknąć niespodzianek. Hannah zadzwoniła, by porozmawiać o wspólnym pokoju hotelowym i zmniejszeniu kosztów. Vicki nie musiała zmniejszać żadnych kosztów — większość pensji oszczędzała. Miała porządną korporacyjną pensję, co przy życiu w Rochester oznaczało, że była bogata, w odróżnieniu od Hannah, której zarobki pożerał Nowy Jork. A podróżując służbowo, Vicki praktycznie nie wydawała własnych pieniędzy. Posiłki i transport opłacała firma. Rachunki w domu były niskie, bo prawie nigdy tam nie bywała.

Dlatego Vicki zaproponowała Hannah, że zapłaci za ich wspólny pokój, po prostu by oszczędzić zmartwień splukanej przyjaciółce. Hannah już i tak przepłaciła za wymyślną suknię drużyny i pięćdziesięciodolarowy stanik, który, jak się okazało, był obowiązkowy. Vicki miała, co prawda, pewne obawy przed dzieleniem przestrzeni z drugą osobą, tak bardzo przyzwyczała się już do samotnego podróżowania. Ale chciała zobaczyć Hannah, prawdziwą przyjaciółkę, z którą potrafiła się śmiać. W przeciwieństwie do znajomych z Rochester.

W firmie pracowało pewnie kilka ciekawych osób w jej wieku, ale Vicki miała niewielkie szanse, żeby je poznać. Projektowała wnętrza dla Waltona — sieci supermarketów znanej ze snobistycznego działu spożywczego — i dziewięćdziesiąt procent czasu spędzała w podróży, wizytując kolejne sklepy w Nowym Jorku i Pensylwanii, by upewnić się, że szyldy piekarni umieszczono w odpowiedniej odległości od sufitu, a ściany pomalowano na odpowiedni odcień żółci. W ciągu dnia rozmawiała zaledwie z garstką osób, zazwyczaj o sztukaterii i tapetach, nie miała więc wprawy w normalnych rozmowach. Pewnie dlatego tak ciężko było jej rozmawiać z Hannah o CAS-Lite.

— Powinnaś wiedzieć — zaczęła, kiedy ustaliły szczegóły — że zabieram ze sobą lampę.

— Grzejnik lampowy?

— Lampę fototerapeutyczną. Na CAS.

— Masz depresję sezonową? — w głosie Hannah usłyszała sceptycyzm. — Nie zauważyłam przez te wszystkie lata w Syracuse. Pamiętam dobrze, śnieg padał

całe dwa lata i miałaś się świetnie.

— Skąd mam wiedzieć? Jezu, Hannah, nie mam pojęcia, co mi jest. — Vicki zaśmiała się z frustracją. — Coś mi jest, ale nie wiem co.

Nastąpiła pauza. Vicki czekała z zapiętym tchem, by usłyszeć, co Hannah myśli o swojej — kiedyś normalnej — przyjaciółce.

— Mogę też spróbować tej lampy?

— Jasne — Vicki uśmiechnęła się do telefonu.

— Chodzi o Richa?

— Nie! Boże, nie — warknęła Vicki. — Wiesz, nie każdy chce wrócić do partnera ze studiów.

— No dobrze. A może... czy to może być przez to, że spędzasz cały czas w spożywcach? Bo moim zdaniem to możliwe — powiedziała Hannah poważniejszym tonem.

— Nie — odparła pośpiesznie Vicki. — No... chociaż może. Nie wiem. Ale wiem, że ta lampa ma mi pomóc nie skoczyć z mostu.

— Dobra — powiedziała powoli Hannah. — Nieźle. Lampa.

— Taa.

— Można się od niej opalić?

— Kretynka z ciebie.

Hannah zmieniła temat i opowiedziała Vicki o druhnach, które, sądząc po jej opisie wieczoru panieńskiego w Atlantic City, były straszne. Potem przeszła do sprawy Toma, którego miała zobaczyć po raz pierwszy od prawie trzech lat.

— Jestem przerażona — przyznała. — Na samą myśl, że on tam będzie z jakąś kobietą. Nie wiem, czy potrafię to znieść.

Między innymi z tego powodu Vicki tęskniła za Hannah, która nie wstydziła się przyznać, że wciąż wdycha za facetem, chociaż nie widziała go od lat. Vicki zawsze czuła potrzebę, by pozować na silną, a w każdym razie, by nie zdradzać się ze swoimi zmartwieniami, ale Hannah nigdy nie ukrywała emocji. Dzielila się nimi, nawet jeśli było to niestosowne. Mogłaby być świetną aktorką, pomyślała Vicki, słuchając jej zazdrosnego monologu.

— Podobno z nią mieszka — szeptała Hannah. — Podobno wprowadziła się do niego po jakichś dwóch miesiącach i jest całkiem zwyczajna, nic szczególnego. Bee mówi, że sprawdzała w Google'u i że ona wygląda... normalnie, żadna supermodelka. Ale pewnie Bee kłamie, żeby mnie oszczędzić. Ona pewnie jest doskonała.

— A ty sprawdzałaś w Google'u? — spytała Vicki, obawiając się odpowiedzi.

— Nie mogę — odparła żałośnie Hannah. — Bee nie chce mi powiedzieć, jak ona ma na nazwisko. Wpisywałam „Tom Keating” plus „Jaime” plus „psycholog szkolny”, ale nic nie wyskoczyło.

— I dobrze. W takich sytuacjach internet nie jest twoim przyjacielem.

Po tym dialogu rozmawiały jeszcze parę razy, żeby uzgodnić szczegóły podróży. Hannah przyjeżdżała trzy dni wcześniej, bo była druhną; miała spać z orszakiem panny młodej w apartamencie w Governor Calvert House aż do wesela, a potem przenieść się do Vicki. Jako że zostały jakieś dwie godziny do ceremonii, Hannah była już pewnie w klubie i witała przychodzących gości. Lampa wciąż była włączona, a pilot telewizora leżał na miejscu; Vicki sięgnęła więc do torebki i wyciągnęła kieszonkowy format *Słodkiej Audriny*.

Nikomui się do tego nie przyznała, nawet doktorowi Howardowi, ale jakiś rok temu, kiedy depresja stała się nieznośna, Vicki zaczęła kupować w księgarni naprzeciwko swojego apartamentowca książki V.C. Andrews. Nie sądziła, żeby doktor Howard miał jakieś obiekcje co do tego rodzaju lektur, ale Vicki po prostu wstydziła mu się do tego przyznać. Bo były to te same powieści dla dorosłych, które czytała jako nastolatka, kiedy odkryła schowek, jaki jej mama urządziła sobie w piwnicy: około dwudziestu pięciu książek, Andrews i innych autorów, a wszystkie zahipnotyzowały trzynastoletnią Vicki. To była prawdziwa, dosadna erotyka — autorzy opisywali seks bardzo obrazowo, bez pruderii pisząc o różnych częściach ciała i objaśniając szczegółowo to dramatyczne i zmieniające życie wydarzenie, jakim jest stosunek seksualny.

Właśnie z powodu tych książek Vicki była wybitnie rozczarowana, kiedy pod koniec liceum odbyła pierwszy stosunek. V.C. Andrews wmówiła jej na przykład, że kobieta rzeczywiście czuje orgazm mężczyzny. Czytając zdania w stylu: „czuła, jak szczytował w jej ciele”, Vicki doszła do wniosku, że penis jest czymś w rodzaju hydrantu i „odkręcony” wylewa silny strumień; doszła też do wniosku, że cokolwiek to jest, co wylewa, okrywa to wnętrze pochwy czymś miłym i miękkim, jak masło na popcornie. Nie mogła się doczekać, by to poczuć.

Poza tym w książkach V.C. Andrews wszyscy się drapali. Podczas stosunku każdy wbijał paznokcie w ciało partnera, znacząc je zadrapaniami i siniakami — i nie chodziło o przemoc, ale o niepowstrzymaną żądzę. Czasem seks był kazirodczy i Vicki nigdy nikomu by się do tego nie przyznała, ale te sceny lubiła najbardziej. Te najbardziej zakazane, jedno tabu na drugim: gwałt na rodzeństwie. Miłość między kuzynami. Piękne bliźniaczki, które sypiały z tym samym mężczyzną.

Kiedy siedemnastoletnia Vicki przeżyła wreszcie swój pierwszy raz z chłopakiem z liceum — który zupełnie nie był z nią spokrewniony — zaskoczył ją brak iskier, blizn i gejzerów. Nie czuła nic poza lekkim bólem i niezdatnym rytmem. Kiedy było po wszystkim, musiał jej o tym powiedzieć.

Związek z Richem w Syracuse nie pomógł jej na polu seksualnym. Uwielbiali się i tworzyli udany, wierny związek przez ostatnie dwa lata studiów, ale Rich nie wierzył w namiętny seks w stylu V.C. Andrews. Raz Vicki próbowała go podrapać — sprawdzić, czy uda jej się doprowadzić go do szaleństwa godnego

*Kwiatów na poddaszu*. Natychmiast zaprotestował.

— Au! Vicki, co ty, do diabła, robisz? — zawołał, kiedy Vicki, wyobrażając sobie, że jest bohaterką *Płatków na wietrze*, wbiła mu paznokcie w plecy.

— To z podniecenia — powiedziała, zawstydzona.

— Dobrze, ale nie rób tak.

I nigdy nie było gejzera, nawet kiedy przestali używać prezerwatywy. Czasem czuła coś lepszego, ale najwyżej nabierała od tego ochoty na prysznic.

Kiedy odkryła na nowo V.C. Andrews, Vicki sądziła, że będzie to przejściowa faza, ale po miesiącu miała już ponad dwadzieścia książek, zupełnie jak jej matka. Większość z nich czytała więcej niż raz, czasem omijając całe rozdziały w poszukiwaniu scen seksu. Rozważała nawet kupno czytnika elektronicznego, na którym mogłaby zabrać w podróż więcej niż jeden tytuł.

Vicki otworzyła książkę na zagiętej stronie. Uśmiechnęła się, wiedząc, że tylko kilka akapitów dzieli ją od momentu, w którym słodka i zagubiona bohaterka skonsumuje swój związek z użyciem paznokci i hydrantów.

Godzinę później, kiedy przebierała się w odświętny strój, Vicki spojrzała uważniej na ściany hotelowe. Głównym kolorem była mokka, na wykończeniach biały kamień, na suficie księżyc z kości słoniowej. Jej firma używała księżycy z kości słoniowej w swoich biurach. Gdy szła się uczesać, zastanawiała się jeszcze, co też za kolor Robert Johnson House wybrał na swoje łazienki.

Kiedy była już wyszykowana, Vicki spojrzała smętnie na książkę leżącą na łóżku, po czym stanowczym ruchem wsadziła ją do torebki. Wyszła na korytarz, zatrzasnęła drzwi i zaklęła, bo uświadomiła sobie, że zostawiła w środku klucz. Wyrzuciła zawartość torebki na podłogę, by się upewnić, ale klucza nie było. Będzie musiała wieczorem poprosić o zapasowy. Zdążyła zrobić w wysokich czarnych szpilkach parę niepewnych kroków w stronę holu, kiedy usłyszała za sobą znajomy męski głos.



## *Rob*

Rob otworzył torbę i wyciągnął jedną z małych białych pigułek.

Nie był pewien, jak zadziała ona w połączeniu z alkoholem, ale wydawało mu się, że w najgorszym wypadku czekają go nudności, więc było warto. Telefon od Hannah, wprost z wesela, dosyć go zaniepokoił, a biała pigułka mogła coś na to poradzić.

Położył ją na języku i popił belgijskim piwem, które kupił w delikatesach niedaleko; smakowało jak Bud Light, mimo że kosztowało trzy razy tyle.

Rob spojrzął na telefon, który leżał tam, gdzie go zostawił — na źle złożonym stoliku do kawy z Ikei. Wszystkie meble Roba były o jeden wkręt od zawalenia się: Rob nie lubił postępować zgodnie z instrukcją, więc zazwyczaj montował je na oko. Często po fakcie okazywało się, że nie wykorzystał wszystkich gwoździ albo zawiasów załączonych w zestawie. W zeszłym tygodniu stolik przy jego łóżku załamał się pod ciężarem trzech książek, a dwa regały w salonie chwiały się za każdym razem, gdy dokładał nowy tytuł. Kiedy poruszał się po mieszkaniu, robił to ostrożnie, wiedząc, że w każdej chwili wszystko może się rozpaść.

Odebrał dziś już tyle telefonów, że słyszał dzwonek, nawet gdy nie dzwoniło. Zauważył też, że cały czas sprawdza telefon; zastanawiał się nawet, czy go nie wyłączyć. Musiał przyznać, że chciał widzieć, jak mały ekran świeci się na zielono, pokazując znowu numer Hannah. Niekoniecznie chciał odebrać połączenie, ale chciał, żeby ona wciąż próbowała.

Hannah sama mówiła, że Rob lubi czuć, że ktoś go potrzebuje.

Całymi latami Rob myślał o Hannah właśnie w tym kontekście. Minęło prawie dziesięć lat od trzyletnich studiów w Syracuse i później, kiedy zmagał się z życiem w Austin, wydawało mu się czasem, że wszystkie te wspomnienia wymyślił albo zobaczył coś podobnego w telewizji i zaadaptował jako swoje życie. Wydawało mu się niemożliwe, by kiedyś mieszkał w Nowym Jorku i został wyrzucony ze szkoły. Tylko to drugie życie jawiło mu się jako prawdziwe.

Większość znajomych nie wiedziała nawet, że Rob studiował w Syracuse. Dla przyjaciół w Austin był tym gościem, który pracował w bibliotece Uniwersytetu Teksasńskiego, co pozwoliło mu zrobić dyplom za darmo. Gościem, który bez trudu wypracowywał dobrą średnią i zakończył zajęcia z rekomendacjami trzech profesorów. Za parę miesięcy miał zdawać na studia podyplomowe i dorabiał jako freelancer, pisząc recenzje książek dla lokalnych pism alternatywnych.

Jak dotąd, jedyne namacalne dowody na to, że w jego życiu miał miejsce epizod z Syracuse, stanowiły: kredyt studencki i maile od Hannah, dzięki której był

na bieżąco w kwestii starych znajomych, a konkretnie Bee, Vicki i byłego Hannah, Toma — najbliższego kolegi Roba ze studiów.

Zawsze lubił wiadomości, które ich dotyczyły, ale teraz po raz pierwszy naprawdę za nimi zatęsknił. Coś w informacji o ślubie Bee i w spanikowanym głosie Hannah sprawiło, że bardzo chciał ją zobaczyć, popatrzeć, jak Bee idzie do ołtarza, i wypić kilka piw z Vicki, kiedy wszyscy już pójną spać.

Sam był zdziwiony tym, jak bardzo ekscytowały go wiadomości od Hannah. Przychodziły od wczoraj, odkąd rozpoczął się weekend, który w całości miał być poświęcony uroczystościom związanym ze ślubem Bee.

Pierwszy paniczny telefon, z kierunkowym 917, który był mu nieznany, Rob odebrał na kilka godzin przed próbnym obiadem.

— Tu Robert — powiedział, jak zawsze w takich sytuacjach.

— Kiedy przyjeżdżasz? Powiedz, że dzisiaj — wysapał damski głos.

— Kto mówi?

— Rob, to ja, Hannah.

— Nie krzycz na mnie — zaśmiał się Rob. — Chyba z rok nie rozmawialiśmy przez telefon.

— Po pierwsze, najwyżej kilka miesięcy — odparła Hannah, ale zaraz w to zwątpiła. — No dobra, może rok. Po drugie, dlaczego nie zapisałeś sobie mojego numeru? W ten sposób się poznaje, kto dzwoni. Moje imię powinno ci się pokazać. Dlaczego moje imię ci się nie pokazało?

— Nie zapisuję żadnych numerów.

— To skąd wiesz, kto dzwoni?

— Odbieram telefon i osoba po drugiej stronie się przedstawia.

— Matko, Rob.

— Może pamiętasz, Han, że na studiach nie mieliśmy komórek i wszystko było w porządku.

— Wiesz, ostatnio właśnie o tym myślałam — powiedziała Hannah, zamyślona. — Swoją pierwszą komórkę kupiłam dopiero w Nowym Jorku. Jak my się w ogóle wtedy odnajdowaliśmy?

— Gołębie pocztowe, o ile pamiętam. Chociaż nie, przypominam sobie, że dmuchałem w zakrzywioną muszlę, dopóki nie przybiegłaś.

Hannah zamilkła, usiłując wymyślić jakąś replikę. Pauza trwała dość długo, aż w końcu oboje zaczęli chichotać.

— Proszę, powiedz, że niedługo tu będziesz, bo oszaleję.

Rob westchnął ciężko i próbował przygotować się na to, co nastąpi, opierając dłoń na kuchennym blacie.

— Nie będzie mnie — powiedział sztywno.

— Co? Co to znaczy, że cię nie będzie? — krzyknęła Hannah. — Odpowiedziałeś twierdząco! Trzy miesiące temu wysłałeś mi maila, w którym

napisałeś, że przyjedziesz. Bee myśli, że będziesz. Jesteś usadzony przy stole. Koło Vicki.

— Coś mi wypadło. Nie zarezerwowałem samolotu. To długa historia.

— Matko, Rob. Jesteś taki... Uch, jesteś znowu w dwa tysiące pierwszym? Nie możesz się tak zachowywać. Nie możesz olać wesela, po tym jak się zapowiedziałeś. Jedzenie kosztuje. Ludzie podchodzą poważnie do takich spraw.

— Bee nawet nie zauważy — Rob przewrócił oczami. — Oboje wiemy, że pieniędzy ma dosyć.

— Dobrze wiesz, że zauważy. Ciebie będzie szukała w pierwszej kolejności — odparła Hannah, wbijając mu dodatkową szpilkę.

— Przykro mi, Hannah, nic z tego. Jestem w Teksasie. — Usłyszał, jak Hannah coś do siebie mamrocze, ale nie zrozumiał.

— Rob — powiedziała w końcu — to jest nie fair. Ci ludzie są obłąkani — szepnęła, jakby została porwana i potajemnie wzywała pomocy. — Wszyscy zachowują się tak, jakby byli naćpani. Matka Bee jest jak warzywo; przysięgam, ani razu nie widziałam jej bez drinka w ręce. A pierwszym drużbą jest taki typ, który nazywa się Jimmy Fee i jest tak atrakcyjnym idiotą, że za każdym razem, kiedy matka Bee go widzi, mam wrażenie, że zaraz ściągnie majtki. W sumie jej się nie dziwię. Dzięki Bogu, że on ma dziewczynę.

Rob zaśmiał się cicho.

— Więc Donna pije? Jak wygląda?

— Matka Bee? Nie wiem. Jak matka. Słuchaj, potrzebuję cię. Znajdź jakiś lot. Sama nie dam rady.

— Dasz. Tylko rób dużo zdjęć, zwłaszcza jeśli ubiorą cię w coś z dekoltem.

— Ubrały mnie w naszyjnik z pereł. Ja naprawdę nie dam rady.

Rob miał na końcu języka kilka sprośnych żartów na temat perlistego naszyjnika, ale się powstrzymał. Czuł napięcie w głosie Hannah i uznał, że rozmowę należy zakończyć jak najszybciej.

— Wiesz, czym zajmuje się trener konkursowy? Założę się, że nie wiesz — trzepała dalej Hannah. — Spróbuj zgadnąć.

— Spokojnie — Rob zignorował pytanie. — Trzymaj się, niedługo pogadamy. W nagłym wypadku możesz zadzwonić. Weź głęboki oddech i postaraj się nie brać wszystkiego tak poważnie. Za dobę będzie po wszystkim.

— Świetnie — odparła cicho Hannah. Wyobraził sobie, jak się skrzywiła.

— Trzymaj się, mała — powiedział i natychmiast się rozłączył.

Potem spojrział na martwy ekran telefonu i pod wpływem impulsu zapisał jej numer — stworzył w ten sposób swój jedyny kontakt. Wyobraził sobie Hannah skuloną w kącie pokoju hotelowego, albo lepiej salonu fryzjerskiego, desperacko próbującą się do niego dodzwonić. Wyobraził sobie, jak by to było — być tam z nią w Annapolis, szeptać jej żarty do ucha; tak jak wtedy, na studiach.

Niestety, Rob musiał przyznać, że nawet jeśli często ją rozśmieszał, to nigdy nie był w stanie dać jej prawdziwego wsparcia. Sekretny, pasywno-agresywny romans, jaki mieli na ostatnim roku jego studiów w Syracuse, bardzo ją unieszczęśliwił, zwłaszcza że musiała okłamywać najbliższych przyjaciół. Rob nigdy jej nie szanował — potrafił pojawić się u niej i domagać się uwagi o trzeciej w nocy, a ona zawsze się na to zgadzała.

Nigdy nie uprawiali „seksu jako takiego”, jak to nazywała Hannah. Nigdy nie doszło między nimi do penetracji. Zazwyczaj było to coś, co nazywała „wszystkim poza tym”, czyli około godziny namiętnych pieszczot i trzech godzin rozmowy.

Nigdy nie powiedzieli nikomu o swoich nocnych randkach. Hannah twierdziła, że za bardzo zaboląoby to Bee. Bee, która kochała się w Robie, odkąd spotkała go po raz pierwszy w akademiku, była oczywiście urocza, a z punktu widzenia konwencji również ładniejsza od Hannah i każdej innej dziewczyny, z jaką Rob miał do czynienia podczas studiów. Ale była też zbyt porządna, za bardzo oszałamiał ją jego psotny charakter. Widziała w nim niemalże Jamesa Deana i Rob wiedział, że nigdy nie będzie w stanie dorównać jej wyobrażeniom. Kiedyś, w łóżku, Hannah spytała go wprost, dlaczego nie zainteresuje się Bee, i próbował jej to wszystko wytłumaczyć.

— Trochę to dziwne, że pytasz o coś takiego po tym, co właśnie zrobiliśmy — powiedział, gładząc ją po karku. Hannah trzymała głowę na jego ramieniu.

— Daj spokój. Po prostu jestem ciekawa. Bee jest bardzo atrakcyjna, poza tym to najmiłsza osoba, jaką znamy.

— Między innymi o to chodzi — powiedział Rob. — Ona jest jak lalka. Dotykając jej, czułbym się jak obleśny staruch.

— Po pierwsze, nie można być obleśnym staruchem w wieku dwudziestu lat. Po drugie, Bee miała więcej kochanków niż ja.

— Naprawdę? Ilu miała? Ilu ty miałaś?

— Ona miała pięciu, a ja dwóch.

— Dwóch? Tylko dwóch?

— Tylko dwóch.

— Musisz częściej wychodzić — mruknął. Milczał przez chwilę. — Więc ja byłbym szczęśliwą trójką?

— Chyba w snach — powiedziała Hannah i odwróciła się do ściany. Pomalowała ją na miętowozielony kolor na znak rozpoczynającego się semestru wiosennego i ten kolor kojarzył się Robertowi z pastą do zębów. Wolał ciemny fiolet, jaki miała tu jesienią. Nie rozumiał, dlaczego ona i Vicki co pół roku przemalowują swoje pokoje. Hannah wyjaśniła mu, że Vicki, jako przyszły projektant wnętrz, uważa, że każdy semestr trzeba zaczynać w nowej gamie kolorystycznej, co dla niego zupełnie nie miało sensu. Farby kosztowały, a poza

tym ich zapach nigdy na dobre nie znikał z mieszkania; resztki chemicznych oparów sprawiały, że Rob czuł, jak zanikają mu szare komórki. Zwłaszcza wiosną, kiedy Syracuse wciąż zasypane było śniegiem i Hannah szczelnie zamykała okna.

Rob lubił te późne wizyty u Hannah, fizyczną bliskość i wielogodzinne pogaduszki, ale postanowił zakończyć sekretną znajomość. Krótco po tym, jak jej ściany wstąpiły na ścieżkę Colgate, w połowie lutego, Rob przewidywał już, że z końcem roku rzuci studia i przeniesie się do Austin. Zamierzał zostać tam parę miesięcy, aż zdecyduje, co robić dalej. Stwierdził też, że lepiej będzie rozstać się z Hannah wcześniej niż później — spędzał z nią za dużo czasu i za bardzo zaczynało to przypominać związek. Więc w ostatni czwartek miesiąca, który do tej pory w zasadzie zawsze spędzał u niej, po prostu się nie pojawił.

Już w marcu miejsce Hannah u boku Roba zajęła Alexis, dziewczyna z antropologii. Pochodziła z Long Island, miała kolczyk w nosie i nie mówiła zbyt wiele: interesował ją tylko „seks jako taki”.

Hannah szybko zdała sobie sprawę, że została wymieniona na inną. Spotkała Alexis na jakimś występie zespołu Roba i udawała, że wcale nie jest urażona. Do niego odnosiła się zimno, ale nie poruszała tematu, co wcale go nie zdziwiło. Mieli milczące porozumienie, że o jego wizytach nie rozmawiają poza jej mieszkaniem.

Dopiero kiedy latem spakował wszystko przed powrotem do domu, Rob pokazał się w mieszkaniu Hannah i Vicki. Stojąc wśród ścian, na których nowa, tania farba zaczynała już pękać, powiedział jej, że nie wróci jesienią. Krzyczała coś o jego stopniach i przyszłości, ale jej rozedrgane dłonie i drżące usta sugerowały, że nie tylko o to chodzi.

Spędzili razem jeszcze jeden weekend, jako przyjaciele. Tom, właściwie jedyny kolega Roba z tamtego okresu, nie bardzo znał resztę paczki. Zaprosił ich do letniego domku swoich rodziców na Cape Cod. Miała to być impreza pożegnalna dla Roba, ale Hannah ignorowała go; Bee też trzymała go na dystans i zachowywała się tak, jakby pocieszała Hannah — może cały czas wiedziała o ich romansie.

Tego lata, kiedy już mieszkał w małym studio w Austin, dostał list od Hannah, napisany na komputerze, pewnie dlatego, że korzystała z elektronicznego sprawdzania pisowni. Miał nadzieję, że będą to przeprosiny za jej obojętne zachowanie, ale nie zdziwił się, kiedy zobaczył, że jest to seria oskarżeń. Większość zdań zaczynała się od „czuję, że” i kończyła na „bliskość” albo „intymność”, albo „odpowiedzialność”. Hannah nie chciała nic konkretnego, list był tylko upuszczeniem pary. Rob nigdy nie odpowiedział.

Potem zadzwoniła do niego w święta, żeby dowiedzieć się, co słyhać. Nie

wspomniała o liście, spytała za to, jak mu się żyje w Austin, i przekazała wiadomości o reszcie paczki. Przyznała, że zaczęła się spotykać z Tomem, i ucieszyło ją, że Rob się nie złościł, a nawet jej pogratulował. Od tego czasu dzwoniła średnio raz do roku, czasem pisała maile. Opisywała swoją karierę w Nowym Jorku, a Rob oglądał na YouTube nagrania, do których organizowała castingi.

On zadzwonił do niej tylko raz, kilka lat temu, kiedy Bee powiedziała mu, że Tom zostawił Hannah i przeprowadził się do Bostonu, żeby być bliżej swojej rodziny. Bee stwierdziła, że Hannah jest zdruzgotana, a Rob był zdruzgotany, że Hannah tak to przeżyła.

Tom Keating, facet, którego przezywała „nastoletnim wzwodem”, odkąd spotkała go po raz pierwszy. Ale wkrótce stał się częścią paczki i Hannah zapraszała go na wspólne wyjścia do kina i wycieczki z Vicki, Richem i Bee.

Kiedy Rob przerwał studia i wrócił do Teksasu, Tom bez wysiłku zajął jego miejsce w życiu Hannah — najpierw zapraszał ją do kina, potem wpadał na pogaduchy późnym wieczorem, wreszcie na „wszystko poza tym”, też późnym wieczorem. Na ostatnim roku, koło października, został oficjalnie jej chłopakiem, czyli szczęśliwą trójką. Zadzwonił nawet do Roba, prosząc go o „błogosławieństwo”, jakby Hannah była jego własnością; wściekłaby się, gdyby o tym wiedziała.

— Rób, co chcesz, Tom — powiedział mu wtedy, starając się, by jego głos brzmiał obojętnie. Właśnie zakończył przeprowadzkę do Austin i stał wśród kartonowych pudeł, zlany potem, zapalając papierosa. — Nigdy nawet z nią nie byłem.

— Wiem, stary, ale ona naprawdę cię lubiła. I wiem, że ci na niej zależało, powiedziała mi. Powiedziała, że mogło być między wami coś poważnego, gdyby nie to, że Bee się w tobie kochała i że wyleciałeś ze studiów.

Rob był zdumiony tymi wieściami i zaszokowany; Hannah nie tylko myślała o nim poważnie, ale w dodatku rozmawiała o tym z Tomem.

— Czuję się zaszczycony — powiedział pogardliwie. — Cieszę się, że lubiła spędzać ze mną czas, ale poważnie, jestem w Teksasie. Życzę wam dobrej zabawy. Rób, na co masz ochotę.

— Nie chodzi o zabawę. Rob, ona naprawdę mi się podoba.

— Żartuję przecież. Naprawdę. Masz moje błogosławieństwo.

A kiedy się rozłączył, Rob podniósł jedną z książek, które właśnie rozpakowywał — *Los Gusanos* Johna Saylesa — i rzucił nią o ścianę.

Hannah i Tom byli ze sobą na ostatnim roku studiów i po ich zakończeniu. Tom zgodził się przeprowadzić za nią do Nowego Jorku. Z rzadkich maili Hannah Rob wnioskował, że mieszkało im się szczęśliwie, najpierw w Queens, a potem w

Brooklynie. Tom znalazł satysfakcjonującą pracę jako konsultant polityczny w jakiejś firmie niedaleko ratusza i wszystko było dobrze, dopóki nie obrzydło mu miasto i nie zapragnął wrócić do rodziny, do Bostonu. Miał nadzieję ubiegać się kiedyś o mandat poselski ze swojego okręgu i musiał rozpocząć życie w Massachusetts.

Hannah zaś nie miała najmniejszej ochoty opuszczać Nowego Jorku, chyba że dla Los Angeles, i na tym stanęło. Rob nie znał szczegółów — czy Hannah prosiła, by Tom został, albo czy była jakaś szansa na to, by się zeszli — jego jedyny telefon do niej nie trwał długo. Hannah miała już innych przyjaciół, którzy ją wspierali, a on był aż w Teksasie, daleko, zapóźniony i niedoinformowany. Na żywo nie widział się z Hannah od czasu prywatki na Cape Cod, ale rozmowy telefoniczne przypominały mu, że Hannah jest dowcipna i potrafi go rozbawić, a ostatnio śmiał się rzadko.

Teraz, rozważając wszystko, dochodził do wniosku, że zawsze była dobrą przyjaciółką, nawet zanim zblżyli się do siebie fizycznie. Pomagała mu w nauce, zmuszała, by się uczył do testów, które — oboje to wiedzieli — przespałby, gdyby zostawiła go samemu sobie. Wieczorami rozmawiała z nim o jego rodzicach, o ojcu, którego nie znał, i matce, która większość jego dzieciństwa spędziła na podróżach z nowym partnerem. Raz nawet Hannah posprzątała mu mieszkanie, kiedy Rob złapał grypę i nie wychodził z łóżka. Szorowała łazienkę na kolanach, przekonana, że jeśli nie wybije zarazków, to Rob znów się rozchoruje.

Nigdy się jej nie odwdzięczał. Przeciwnie: w dwudzieste urodziny Hannah rozbił jej forda tempo o słupek, krótko po tym, jak powiedziała, że chce wracać wcześniej do domu, na co on nazwał ją przewidywalną. Potem dowodził przed przyjaciółmi, że nie powinna była pozwolić mu prowadzić po czterech piwach i że to również było z jej strony przewidywalne. Nigdy nie pytał o jej rodzinę i nigdy nie tworzył odpowiedniej atmosfery, by mogła powiedzieć, co czuje; nawet kiedy wiedział, że bardzo chce się tym z kimś podzielić.

Zdaniem Roba Hannah po prostu zbyt wiele od niego oczekiwała, w związku z czym potem przeżywała irracjonalnie ciężki zawód, kiedy on po prostu był sobą. To nie było fair — Rob nigdy nie udawał kogoś, kim nie był. Teraz też był tylko gościem, który wysyłał miłe maile i czasem mówił coś śmiesznego do telefonu. Nie był facetem, który zjawiał się, kiedy był potrzebny.

Kiedy dostał informację o ślubie Bee — na zdjęciu ona i narzeczony stali w sadzie pełnym jabłoni — był oczarowany. Czuł się trochę tak, jak czują się dumni rodzice. Bee, ubrana w jeansy i puchową kamizelkę na koszulce z długimi rękawami, uśmiechała się szczerze do obiektywu. Wyglądała na jeszcze bardziej jasnowłosą, jeszcze piękniejszą i pewną siebie. Takiej Bee jeszcze nie widział. Z tyłu, obejmując ją w talii, stał szczęściarz Matt Fee. Hannah wspomniała, że jest

prawnikiem, ale na fotografii wyglądał raczej na gwiazdę futbolu, z jasnymi kręconymi włosami i ramionami szerszymi od ramion Roba jakieś trzy razy. Przed nimi stał korzec jabłek, a podpis pod zdjęciem głosił: „Dobraliśmy się jak w korcu!”.

Zazwyczaj takie żarty go denerwowały, ale ku własnemu zdziwieniu Rob stwierdził, że jest zadowolony. Bee zasługiwała na szczęście. Była miła, dobra i skryta i potrzebowała kogoś, kto będzie dla niej dobry. Na studiach nie miała szczęścia do chłopaków, zwłaszcza że tyle czasu wzdychała za Robem, a poza tym wolała stać w cieniu Hannah. Była piękna, ale dla wielu studentów była też zbyt porządna i wyrafinowana, by chcieli się z nią zabawić — jak rasowy pies. Wiadomo było, że kto zacznie się z nią spotykać, będzie musiał mieć na uwadze małżeństwo, a w każdym razie dochowywać wierności, na co większość chłopaków w tym wieku nie jest przygotowana. Rob wcale nie był zdziwiony, że dopiero prawnicza podyplomówka przyniosła Bee kogoś takiego jak Matt — kogoś gotowego na wierność.

Rob przyjrzał się zdjęciu dokładnie, z patriarchalną obowiązkowością sprawdzając, czy może zaaprobować wybranka koleżanki. Bee trochę przytyła, i bardzo dobrze: zawsze przypuszczał, że głodziła się na studiach, ograniczając się do sucharów i jogurtu bez tłuszczu, wpatrzona w chudą, drobniutką matkę, która była uzależniona od jogi i kolarstwa fitness. Starsza, bardziej dojrzała Bee z tego zdjęcia wydawała się zadowolona, zaś Matt, z kłatą jak drzewo i lekkim zarostem, wyglądał na gościa, który potrafi zadbać o swoją kobietę. Wyglądał jak facet, którego szafa jest pełna wojskowych spodni khaki i czapek bejsbolówek.

Rob nie przepadał za facetami w czapkach, ale cieszył się, że Bee wyjdzie za takiego. Myśl o niej wstępującej w dobry, komfortowy związek tak go uradowała, że mimo odległości i braku pieniędzy postanowił pojechać na wesele. Kiedy przyszło zaproszenie, od razu odpowiedział twierdząco. Pierwszy raz w ogóle odpowiedział na zaproszenie.

Szybko jednak zgasł jego — nietypowy zresztą — entuzjazm dla cudzego szczęścia. Mijały tygodnie, a on nie kupił biletu na samolot. Na początku chodziło o cenę: z informacji na stronie internetowej wynikało, że bilet z Teksasu do Baltimore kosztuje około sześciuset dolarów, i to z kilkoma przesiadkami. Napisał do Hannah: „Czekam, aż ceny spadną, nie martw się”.

Zarabiał nie najgorzej w bibliotece na UT, ale odkąd odeszła od niego Lucy Barber, nie zaoszczędził ani grosza. Kiedy Lucy wprowadziła się do niego dwa lata temu, zgodziła się płacić połowę czynszu i w związku z tym Rob po raz pierwszy w życiu mógł coś zaoszczędzić, a nawet spłacić część kredytu studenckiego.

Niestety Lucy wytrzymała z nim tylko sześć miesięcy. Porażka tego związku nie była dla nich zaskoczeniem, bo jeszcze zanim się wprowadziła, Rob wiedział, że nie można na niej polegać i że nadużywa dość poważnych leków. Ale



był nią oczarowany i chciał zaryzykować — on sam przecież nie był zbyt stabilny i cieszył się, że może kogoś wspierać. Niestety byli do siebie zbyt podobni i po kilku tygodniach Rob częstował się już jej pigułkami — niekończącą się lawiną leków przepisywanych przez lekarzy, którzy sądzą, że tego właśnie jej potrzeba ze względu na wahania nastroju.

Lucy odeszła już ponad rok temu — po czym wprowadziła się do dużo starszego byłego — ale zostawiła mu kanapę za dwa tysiące czterysta i trzy kosmetyczki pełne leków, które lubił. Rob wiedział, że tak jest najlepiej, ale bardzo tęsknił za Lucy, a konkretnie za seksem, który był z nią dużo prostszy niż z kimkolwiek innym. To był po prostu seks, nie nagroda za obietnice, których i tak nie mógł dotrzymać. Żadnych emocjonalnych negocjacji. Przyznawał sam przed sobą — a także przed Lucy, kiedy przyszła po resztę swoich rzeczy — że sprawiedliwie się stało. Zasłużył na to, by znaleźć się po drugiej stronie w takiej sytuacji, ten jeden raz. Tłumaczył sobie, że było to cenne doświadczenie.

Po rozstaniu z Lucy spał z kilkoma kobietami, głównie znajomymi znajomych, ale ostatnio zarzucił te sprawy całkowicie i całe miesiące upłynęły mu bez seksu — to była najdłuższa przerwa w jego życiu. Powodem tego była Liz, choć oczywiście nie miał do niej pretensji.

Krótko po tym, jak Lucy spakowała się i oddała mu klucze, Rob pod wpływem impulsu przygarnął psa z lokalnego schroniska. Nie wiedział, dlaczego to zrobił, bo nigdy w życiu nie miał zwierzęcia. Był czwartek po południu, jechał z zakupami do domu i mijał to samo schronisko, co zawsze — mijał je co najmniej dwa razy dziennie. Nie mając pojęcia dlaczego, zawrócił i zatrzymał się przy nim. Dwie godziny później wyszedł stamtąd z kundelkiem, mającym w sobie trochę goldena, a trochę czegoś innego, może wilczura. Nazwał go Liz, bo kiedy jechali do domu, w radiu grali piosenkę Liz Phair.

Liz miała już pięć lat — w schronisku widział słodkie, młode pieski, ale jej spojrzenie jakoś go przyciągnęło. Czuł się jak Charlie Brown z *Fistaszków* — on był Charliem, a ona była tą malutką, wędną choinką. Rob wiedział, że jeśli jej nie przygarnie, zapewne zostanie uśpiona.

Pierwszy incydent z Liz miał miejsce jakiś miesiąc później: leżała na swoim ulubionym miejscu w jego mikrosalonie, gdy nagle zerwała się i ruszyła przed siebie jak ogar w pogoni. Wbiegła prosto w telewizor, który spadł z hukiem tak straszliwym, że Rob wystraszył się, iż przebijie podłogę. Stolik z Ikei, na którym stał telewizor, jeszcze jedna wadliwie skrzyżowana konstrukcja bez dwóch brakujących wkrętów, rozpadł się na kawałki kilka sekund potem. Liz nie zwróciła jednak na to uwagi — zaczęła się cofać, co przypominało słynny *moonwalk* Jacksona, aż uderzyła ogonem o ścianę. Wtedy upadła na bok, drżąc i skowycząc; oczy miała przerażone i szkliste. Wstrząśnięty Rob ukląkł przy niej i złapał ją za łapy.

— Wracaj, maleńka. Wracaj — powtarzał, sądząc, że pies umiera. Ale po półtorej minuty Liz rozluźniła się i mrugnęła. Wydawała się umęczona i zagubiona, tak jak i jej właściciel. Powoli podniosła się na tylnych łapach i oparła o Roba, by wstać na dobre. Rob podniósł ją i usiadł na kanapie. Głaskał jej futro i całował ją po uszach.

— Wszystko będzie dobrze, maleńka — powiedział drżącym głosem, nieprzekonująco. Po czym położył ją na kanapie i zaczął czekać, aż oddech jej się wyrówna i pies zaśnie. Dopiero wtedy poszedł do kuchni i sprawdził numer pogotowia weterynaryjnego, który dostał, kiedy Liz była szczepiona. Ze złością uderzał w klawisze, wystukując długi numer.

Po drugiej stronie odezwał się mężczyzna.

— Cóż, może pan ją przywieźć, ale jest grubo po północy i w pierwszej kolejności przyjmujemy najpoważniejsze przypadki — powiedział. — Jeśli nie ma już ataku i śpi, sugeruję, żeby poczekał pan do rana.

Rob umówił się w klinice weterynaryjnej na następny dzień i wrócił na kanapę, gdzie Liz drzemała spokojnie. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała powoli. Czuwał nad nią, ignorując przewrócony telewizor, aż zasnął.

W szpitalu powiedzieli mu, że to epilepsja, która nie jest u psów niczym niespotykanym.

— Nie wiedziałem, że psy mogą mieć epilepsję — powiedział Rob do weterynarza, niskiej, okrągłej kobiety w średnim wieku.

— A czemu nie? — odparła, stanowczo zbyt ostro jak na jego zszargane nerwy. Nie okazywała współczucia, a jedynie wyjaśniła mu w prostych słowach, o co chodzi. Liz mogła dostawać lekarstwa łagodzące objawy, co kosztowałyby go jakieś siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie. Z czasem jednak ataki będą się nasilać i psa trzeba będzie uśpić.

— Ile czasu jej zostało? — szepnął Rob, jakby nie chciał, by Liz usłyszała.

— Rok, może dwa. Potem ataki będą już zbyt częste i zbyt bolesne dla zwierzaka — powiedziała lekarka. — To droga i trudna sprawa, a ona nie jest już młoda. Jeśli chce pan, żebyśmy uśpili ją teraz, możemy to zrobić.

Siedząc na tekstylnym krześle, pokrytym psią sierścią, Rob spojrzał na Liz, która przytulała do niego głowę.

— Może powinien pan się nad tym zastanowić przez parę dni — powiedziała weterynarz łagodniej.

Wieczorem, kiedy leżał w łóżku, a Liz spała w jego nogach, Rob policzył wszystko. Tysiąc dwieście rocznie na leki i badania, plus jedzenie. Plus trzysta dolarów, których Lucy nie dorzucała już do czynszu.

— Kurwa mać — oznajmił Rob, budząc Liz, która spojrzała na niego sennie.

Następnego dnia odebrał receptę na leki, które wymieszał z suchą karmą dla

psa, zgodnie z instrukcją. Doradzono mu też, by znalazł większy, bardziej otwarty dom. Dla psa z epilepsją najbezpieczniejszy jest miękki trawnik, żeby podczas ataku nie uderzał w nic twardego i mógł biegać. Dlatego Rob przeprowadził się tu, gdzie mieszkał teraz — do małego domku, który wynajmował za osiemset dolarów miesięcznie, a zatem drożej i w gorszej dzielnicy, ale za to ze sporym ogrodem.

— To dla Liz, żeby mogła mieć te swoje ataki — powiedział Benowi, jednemu z bliższych znajomych, który wpadał czasem na piwo, jeśli nie spędzał czasu z żoną albo na koncertach z zespołem.

— To bardzo romantyczne — powiedział wtedy Ben.

Myśląc o weselu Bee, Rob zastanawiał się, co zrobi z Liz.

Mógł poprosić brata, by przyjechał się nią zająć w weekend: Jeremy mieszkał w Dallas i zawsze chętnie uciekał od rodziny. Ale tak samo jak nie kupił biletu na samolot, tak też nie zadzwonił do brata. Tak jest najlepiej, uznał. Nie mógł być pewny, że Jeremy nie zostawi psiny samej i nie pójdzie się zabawić z kolegami ze studiów.

Rob potrząsnął głową i sięgnął po telefon. Miał rację, że został w Austin, ale może powinien oddzwonić do Hannah, choćby po to, by podnieść ją na duchu i dowiedzieć się, co słychać u reszty. Wybrał jedyny zapisany numer i zadzwonił — ten jeden raz.

## *Phil*

Droga z Baltimore do Annapolis wydawała się dłuższa, niż powinna być. Te dwa miasta w stanie Maryland dzieliło niecałe pięćdziesiąt kilometrów, ale ciepła, jak na wrzesień, pogoda psuła plan podróży. Phil mitrężył czas w każdym miasteczku po drodze, słuchając radiowych wiadomości dla kierowców. Glen Burnie. Severn. Parole, które wyobraził sobie jako miasto zamieszkane przez byłych przestępców. Zapewnie odwiedzał te miejsciny w liceum i grał w nich mecze koszykówki, ale następne lata wymazały je z pamięci.

Phil rzadko opuszczał Baltimore, odkąd wprowadził się tam po studiach. Dwadzieścia minut samochodem dzieliło go od domu, gdzie wciąż mieszkała jego mama w towarzystwie nowofundlandzkiego szczeniaka; szczeniaka, który zastąpił poprzedniego, który też zastępował poprzedniego. Ze swojego apartamentu w szeregowcu — kupionego na trzydzieste drugie urodziny — miał chwilę spacerkiem do pracy w Camden Yards, chociaż i tak nigdy nie chodził pieszo. W tym mieście, z którego pochodził, czuł się mniej bezpiecznie niż w Nowym Jorku, Philly czy każdym innym mieście odwiedzanym przy okazji meczu. Jego sylwetka wcale nie poprawiała sytuacji: Phil miał dwa metry wzrostu i szerokie bary, co przydawało się w pracy — był szefem ochrony na stadionie — ale na ulicy jego budowa drwała raczej czyniła z niego cel. Ludzie zakładali, że jest twardzielem, a nie był nim.

Właśnie zobaczył drogowskaz na Annapolis, co oznaczało, że zdąży na ślub. Co z kolei było chyba dobrą wiadomością, choć Phil bardzo chętnie darowałby sobie ceremonię i zjawił się dopiero na przyjęciu — jechał na ślub tylko dlatego, że jego matka nie mogła. Technicznie rzecz biorąc, nie miał nawet zaproszenia, zaproszenie miała jego matka. Nancy MacGowan była bliską przyjaciółką matki pana młodego: kiedy Phil miał kilkanaście lat, rodzina Fee przemieszkowała dwa lata na przedmieściach Baltimore i rozszerzała wpływy swojej firmy z Karoliny Północnej na Maryland i Virginie; obie panie, obecnie sześćdziesięciolatki, były wtedy nierozłączne. W kolejnych latach starały się utrzymywać kontakt tak częsty, jak to było możliwe, czyli nieczęsty.

Nancy szalała z ekscytacji, oczekując wesela. Nie tylko dlatego, że miała zobaczyć kochaną Barbarę i jej syna Matta, którym opiekowała się czasami, kiedy był mały, ale też dlatego, że rzadko miała okazję wyjechać za miasto, elegancko się ubrać i porozmawiać z nieznanymi. Miesiącami planowała, w co się ubierze. Szczęśliwie Matt zakochał się w dziewczynie z Maryland — inaczej Nancy nigdy nie odpowiedziałaby twierdząco na zaproszenie.

Niestety dwa dni temu coś ją rozłożyło — przeziębienie albo grypa żołądkowa, jak podejrzewał Phil. Ponieważ nie opisała dokładnie, co jej dolega,

zapewne wiązało się to z biegunką. Phil sądził, że w każdym innym wypadku jednak by się wzięła w garść.

— Nic gorszego niż chorować, kiedy jeszcze jest ciepło — powiedziała przez telefon, a on się z tym zgodził.

— Chcesz, żebym przyjechał w sobotę? — zapytał, samolubnie rozważając, że zawsze miło zrobić pranie za darmo i zobaczyć się z psem.

— Dam sobie radę — odparła Nancy. — Ty musisz pojechać do Annapolis na to wesele, kochanie, i mnie zastąpić. Barb powiedziała, że wyszło im prawie dwieście dolarów od osoby, więc moje miejsce nie może się przecież zmarnować. Zadzwoń do niej i powiem, że będziesz nas reprezentował.

— Jezus Maria, przecież ja nawet nie znam tych ludzi — zaprotestował Phil.

— Jak ty się wyrażasz? — napomniała go surowo matka. I Phil wiedział już, że nie ma wyjścia. Cały bezcenny weekend wolny od pracy miał spędzić na weselu dwojga ludzi, których w ogóle nie znał.

A teraz, mimo że jechał tak wolno i nastawił się już, że będzie tą osobą, która wchodzi w połowie ceremonii, Phil jechał wzdłuż lśniącej zatoki w kierunku Tower Gardens Country Club i miał dziesięć minut zapasu. Wsiadł z samochodu i odetchnął głęboko. Doskonały, prawie jesienny dzień; jego ulubiona pora roku na pracę w Camden Yards. Podczas wiosennych rozgrywek było zbyt chłodno, podczas letnich — zbyt parno. Cały sezon Phil oczekiwał tych idealnych dwóch tygodni pod koniec września, najlepszego okresu dla personelu stadionu. Między innymi dlatego, że kończyły się wtedy rozgrywki i jeśli tylko Orioles z Baltimore nie docierały do finałów — co nie zdarzyło im się od lat dziewięćdziesiątych — ostatni, finałowy mecz przypadał na koniec miesiąca. Dobra pogoda oznaczała światło w tunelu.

Za parkingiem Phil zobaczył około dwustu odświętnie ubranych osób, które szukały miejsc wśród rzędów białych krzeseł. Kobiety poruszały się pospiesznie, z powodu butów na obcasach, zapadających się w wilgotną ziemię. Większość mężczyzn miała na sobie czarne garnitury, większość kobiet — krótkie czarne kostiumy lub pastelowe sukienki w kwiaty i metaliczne sandały, które — sądząc po tym, co Phil obserwował podczas meczów — były w tym roku w modzie.

Phil niechętnie przyznał, że miejsce jest piękne. Gdyby nie był zdecydowany na ślub w kościele, wzięłby go właśnie tutaj. Klub wyglądał na miejsce idealne dla dziewiętnastowiecznych oficerów marynarki, zarówno na grę w golfa, jak i na zaślubiny. Trawnik, okolony pięknie utrzymanymi krzewami, lśnił jak sztuczny. Zaraz za drewnianym ogrodzeniem klubu Phil dostrzegł kilka żaglówek.

Skierował się w stronę krzeseł, gdzie dopadł go nastoletni chłopiec.

— Przyjaciel panny młodej czy pana młodego?

— Niczyj — powiedział Phil i zaraz tego pożałował. — Nie, wybacz, stary. Pana młodego. Moja mama jest przyjaciółką mamy pana młodego.

— To moja ciocia, Barbara.

— Właśnie. Barb. Nie widziałem jej, odkąd byłem dzieciakiem. Wspaniała osoba — mamrotał niezręcznie Phil, kiedy chłopiec prowadził go do ostatnich wolnych siedzeń dla gości pana młodego. Po stronie panny młodej było dużo więcej pustych miejsc i Philowi żal się zrobiło tej dziewczyny; rodzina Barb, rubaszna banda, która wyglądała już na zdrowo podchmieloną, sprawiała, że mały klan panny młodej wydawał się sztywny i smętny. Phil zdecydował nagle, że choć trochę wyrówna proporcje, i przesiadł się szybko na drugą stronę, wybierając miejsce w pustym rzędzie — z powodu zapachu.

Phil zawsze pilnował higieny i kąpał się dwa razy dziennie, przed meczem i po nim. Niestety, napięty grafik rozgrywek w sezonie sprawiał, że jego odzież nie była już tak nieskazitelna: rygorystycznie pilnował czystości swoich ciuchów roboczych i codziennych spodni, ale jego ubrania wyjściowe i zimowe rzeczy leżały odłogiem. Kiedy Nancy wysłała go na wesele, Phil pospiesznie zanotował datę i miejsce, po czym ruszył na poszukiwanie swojego jedyne garnituru, zagubionego gdzieś i nieruszanego od lipca, od chrzcina bratanka.

Przez godzinę szukał pod łóżkiem i pod stosami prania, aż w końcu znalazł pogniecioną marynarkę i spodnie w worku: przygotował je, aby zanieść do pralni, ale oczywiście nigdy tego nie zrobił. Kilka minut w suszarce pozwoliło mu wyprostować zagniecenia, ale na zapach niewiele mógł poradzić — garnitur wciąż wydierał woń skrzydełek z kurczaka, które Phil jadł po chrzcinach. Od tego zapachu czuł głód i mdłości jednocześnie.

Teraz zastanawiał się, czy siedząca przed nim para go czuje; chciał ich przeprosić i wyjaśnić, dlaczego śmierdzi kurczakiem, ale jego spojrzenie przykuł program ceremonii, który mu wręczono. Nigdy jeszcze nie był na weselu, na którym żadne nazwisko nic mu nie mówiło. Zazwyczaj jego własne nazwisko było w programie; Phil był drużbą dwanaście razy na ślubach swoich kolegów z drużyny, a pierwszym drużbą — dwa razy. Teraz usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział Matta Fee. Niewiele miał wspomnień związanych z tą rodziną, choć dla jego matki byli tacy ważni. Przypuszczał, że mógł je wyprzeć. Z perspektywy czasu zdawał sobie sprawę, że Barbara była zapewne jedyną odskoczną dla jego matki w ostatnich latach pożycia z ojcem. Phil był jeszcze chłopcem, gdy u ojca zdiagnozowano chorobę, która w końcu go zabiła; chorobę, którą jego brat opisywał jako coś pomiędzy chorobą Parkinsona a Gehriga. Choroba nie była niczym konkretnym, o ile Phil sobie przypominał. Była po prostu jakąś ciemną chmurą, która zasnęła umysł jego ojca, odebrała mu umiejętność pisania, chodzenia, a w końcu oddychania.

Na początku Nancy, Phil i jego brat, Mickey, sądzili, że ojciec — dość zrędlivy i często sarkastyczny — jest po prostu przygnębiony. Frank zrobił się cichy i wycofany, ale przypisano to śmierci jego własnej matki, rok wcześniej. Wreszcie Nancy postanowiła z nim porozmawiać, a jego odpowiedź była przerażająca.

— Myślę, że jestem chory — powiedział tylko, a po jego prawym policzku popłynęła łza. W tym samym tygodniu pojechali do szpitala, a po miesiącu mieli diagnozę.

— To się nazywa otępienie czołowo-skroniowe — powiedziała Nancy do swoich synów, którzy siedzieli na kanapie w kwiatki ze zwieszonymi głowami. Ojciec był przy tym, w swoim ulubionym fotelu: patrzył w okno.

Choroba postępowała powoli, co w głębi serca złościło Phila. Gdyby ojciec odszedł szybko, w ciągu roku, matka nie straciłaby ostatnich lat młodości, zajmując się chorym człowiekiem, który przez sześć długich lat przeszedł od stanu permanentnego gniewu do stanu wegetatywnego. Trwało to niemalże w nieskończoność, a Nancy trzymała go przy sobie, jak długo się dało.

Najbardziej wyraźne wspomnienie, jakie Phil zachował w związku z Barbarą Fee, pochodziło z tych czasów. Pamiętał, jak rozmawiała z jego mamą, kiedy Nancy zdała sobie sprawę, że będzie musiała oddać męża do domu opieki. Phil schodził właśnie do dużego pokoju, by pooglądać telewizję, kiedy usłyszał, jak szepczą, zatrzymał się w ciemnym korytarzu i zaczął podsłuchiwać.

— Nie możesz dłużej się nim zajmować — mówiła łagodnie Barbara. — Jesteś aniołem i zrobiłaś dla niego wszystko, co możliwe. Ale to jest ponad twoje siły, twoje i chłopców. Musisz oddać go pod opiekę fachowców, Nancy.

— Nie, jeszcze nie — protestowała słabo Nancy.

— Nie martw się, pomogę ci.

Phil usłyszał, że jego mama płacze. Zazwyczaj nie wydawała przy tym dźwięków — z oczu płynęły jej łzy, ale mówiła jasno i wyraźnie. A teraz szlochała, pojękując i się dławiąc. Phil siedział cicho, obejmując rękami kolana i starając się powstrzymać łzy. Nie płakał za ojcem, który głośno chrapał w pokoju obok. Już w poprzednim roku Phil pogodził się z tym, że straci ojca, który go wychował. Płakał z powodu mamy, anioła Nancy. Życie powinno być dla niej łaskawsze, ale niestety przypadły jej w udziale przykre przeżycia. W dodatku niedługo Phil miał ją opuścić i zacząć naukę w college'u, a Barbara, obecnie najlepsza przyjaciółka Nancy, przeprowadzała się z powrotem do Raleigh. Nancy miała zostać sama.

Tego wieczoru, kiedy Barbara wyszła, Phil przysięgł sobie, że nie opuści mamy, która — jak teraz rozumiał — już dawno mogła oddać ojca do domu opieki. Płakał nad jej cierpieniem, siedząc samotnie w pokoju, i postanowił, że od teraz to on będzie jej towarzyszem, bez względu na wszystko. Będzie ją odwiedzał tak często, jak tylko to możliwe, i dopóki mama będzie tu mieszkała, nie opuści

Maryland.

Dlatego właśnie teraz siedział tutaj, wśród bandy obcych ludzi na trawniku country clubu. Dla Phila najważniejsze było oddanie i poświęcenie.

Matka podała mu szczegóły dotyczące wesela w jednym długim, chaotycznym zdaniu. Syn Barbary, Matt, poznał pannę młodą na studiach prawniczych w Raleigh: pochodziła z Ellicott City, też w Maryland, jakieś dwadzieścia minut autem od miejsca, w którym Phil się wychował. Jej ojciec też był prawnikiem i była bogata. Fascynujące, pomyślał złośliwie Phil, kiedy Nancy nakreślała mu dalsze tło. Phil nigdy nie rozumiał, jak ludzie pokroju Matta Fee mogą wstawać rano, iść do pracy w kancelariach, bankach i korporacjach i nie dostać depresji. On uwielbiał swoją pracę, choć ludzie tego nie rozumieli. Był szefem ochrony stadionu, a to nie oznaczało tylko tyle, że wywalał ludzi z obiektu albo zakazywał im palić — jego praca była dużo bardziej skomplikowana, ale obcym trudno to było wytłumaczyć.

Jako szef ochrony, Phil dowodził stutrzydziestoosobową ekipą, która z kolei przez cztery emocjonujące godziny nadzorowała do czterdziestu pięciu tysięcy kibiców. Wymagało to koncentracji i koordynacji i z roku na rok stawało się coraz trudniejsze: czasami musiał zająć się jakimś szczególnie ważnym graczem, takim jak Alex Rodriguez, pilnować, by nie wchodziły mu w drogę tłumy fanów lub rywalizujących kibiców. Często też pilnował ważnych osób na widowni — ostatnio, kiedy jako goście grała u nich drużyna Red Soxów, przyjechało z Bostonu kilku sławnych aktorów, których zachwycone reklamą biuro Oriolesów chętnie przyjęło w łoży właściciela. Phil siedział z nimi, pilnując, by nikt im się nie naprzykrzał, i chętnie potem opowiadał, że jeden z gwiazdorów przez całą grę nie zjadł ani kęsa z przygotowanego bufetu.

— Dlatego nie interesuje mnie sława — mówił Phil, klepiąc się po brzuchu. — Podoba mi się życie bez nerwic pokarmowych.

W niektóre wieczory osobiście pilnował strefy rodzinnej, żeby nikt się nie upił i nie robił wulgarnych gestów przy dzieciach. Podczas meczu zawsze działo się coś nieoczekiwanego, coś, co sprawiało, że jego praca przypominała raczej pracę socjologa czy antropologa. Na przykład miesiąc temu ktoś doniósł, że w dużej toalecie koło wyjścia H masturbuje się jakiś zboczeniec. Teoretycznie Phil miał obowiązek natychmiast wezwać gliny, ale poszedł najpierw sprawdzić, czy facet jest niebezpieczny. Zajrzał przez obudowę kabiny i stwierdził, że to nie żaden stary zboczeniec, tylko młody chłopak, właściwie dzieciak. Trzepał się nad muszlą. Phil przewrócił oczami i poszedł do policjantów, którzy stali pod drzwiami, gotowi je rozwalić.

— Panowie — powiedział z lekkim uśmiechem. — Wybaczcie, że was wezwałem. To zwykły dzieciak, żaden zboczeniec ani przestępca.

— Mimo wszystko, dostaliśmy zgłoszenie o obrażaniu moralności



publicznej i mamy obowiązek to sprawdzić — odparł jeden z mundurowych.

— Chłopaki, ja wiem, musicie robić swoje. Ale pozwólcie mi z nim pogadać. Jeśli coś będzie nie tak, przyprowadzę go do was — nalegał Phil. — Boże, jeśli policja naskoczy na niego za walenie konia, chłopak przez resztę życia będzie miał problemy z fiutem.

Policjanci złagodnieli trochę. Jeden się nawet uśmiechnął.

— Dzięki — powiedział Phil. Podszedł do kabiny i delikatnie zapukał. — Młody, otwórz.

Cisza. Wreszcie zdenerwowany, drżący głos zapytał:

— Jakiś problem?

— Wyłaż, młody.

Jakąś minutę później z kabiny wyszedł zaczerwieniony dzieciak, który wydawał się jeszcze młodszy, kiedy tak patrzył wyzywająco na górującego nad nim Phila.

— Co jest? Nie zrobiłem nic złego — powtarzał, a Phil bał się, że dzieciak za chwilę mu się rozplacze.

— Chodź — powiedział cicho Phil, spostrzegłszy, że w toalecie są inni faceci i gapią się na nich. — Chodź ze mną, młody.

Znaleźli jakiś kąt, w którym mogli spokojnie porozmawiać. Chłopak płakał, a jego twarz była czerwona jak burak.

— Słuchaj. Spokojnie. Wszystko jest w porządku, ale nie możesz walić konia w publicznej toalecie. Wszyscy to robimy, jasne, ale w takim miejscu jak to, gdzie jest dużo miejsca i wszystko widać, ktoś pomyśli, że coś z tobą nie tak i wezwie gliny, tak jak dzisiaj.

— Ktoś wezwał policję? — teraz chłopak był przerażony.

— Komuś się wydawało, że widział zboczeńca w kiblu. Słuchaj, nie ma nic złego w masturbacji, ale powinieneś robić to w domu.

— Robię — jęknął chłopak, ocierając oczy. Phil zasłonił go sobą, żeby nikt się na niego nie gapił, i z rozbawieniem pomyślał, że teraz to on wychodzi na zboczeńca. — Robię to, kiedy jestem sam. Ale teraz jesteśmy na wakacjach z mamą, tatą i siostrą, wszyscy w jednym pokoju, i pierwszy raz od czterech dni jestem sam, i po prostu musiałem...

Phil z niedowierzaniem otarł czoło, a chłopak ciągnął:

— Moja siostra zabrała koleżankę, Hayley, i ja śpię koło niej na podłodze, i...

— Młody — przerwał mu Phil, żeby nie usłyszeć za dużo. — Nie musisz mi tego mówić. Nie zrobiłeś nic złego i ja wszystko rozumiem. Ale nie możesz tego robić tutaj. Po prostu nie rób tego więcej. Wracaj do rodziców i oglądaj mecz.

Robota jako taka zaczynała się, kiedy kończył się mecz: Phil siedział wieczorem w biurze i protokołował wszystkie interwencje. Kogo wyrzucono, kto

został aresztowany. Jego ulubioną rubryką był powód interwencji: „Sikanie przez barierki”; „Kibic Tampa Bay napluł na dziecko w czapce Oriolesów”; „Kibic Blue Jaysów seksualnie naprzykrzał się fance Oriolesów”. Pisząc to wszystko, zdawał sobie sprawę, jak idiotycznie zachowywali się ludzie, kiedy wypili.

Phil nie przypuszczał, że w wieku ponad trzydziestu lat będzie tam nadal pracował, ale to, co zaczęło się jako dorywcza praca wakacyjna, stało się jego karierą. Wspinał się po szczeblach firmowej hierarchii i teraz siadywał na zebraniach z szefostwem klubu. Był po imieniu z członkami drużyny. Niektórzy mówili do niego: „panie MacGowan”. Kiedyś tym, co najbardziej lubił w tej pracy, były rozmowy z zawodnikami. Dziesięć lat temu ich podziwiał, a teraz, dekadę starszy od większości, widział, że przeważnie są to gówniarze, którzy nawet nie zdają sobie sprawy, jakie mają szczęście, że ktoś płaci im miliony rocznie, by robili to, co kochają.

Teraz najbardziej lubił nadzór nad grupą studentów, którzy dorabiali sobie w ochronie, zupełnie jak on sam. Lubiał być fajnym szefem, pozwalał im wychodzić wcześniej i wysyłał do domu, kiedy mieli kaca. Dawał im dziwne przezwiska, na przykład Shrek albo Pasek. Oczywiście grafik rozgrywek był ponad ludzkie siły i od kwietnia do października Phil właściwie nie mógł spotykać się z nikim poza matką, co odstraszyło od niego kilka kobiet. Zawsze mówiły, że rozumieją, o co chodzi, że w sezonie są sto sześćdziesiąt dwa mecze i połowa z nich na rodzimym stadionie, a potem, kiedy nadchodziła wiosna i Phil nagle nie miał czasu, złościły się. Jakby ich nie uprzedzał.

A teraz, siedząc na składanym białym krześle, które zapadało się pod jego ciężarem w perfekcyjny trawnik Annapolis, w garniturze wydzielającym woń szczęśliwie przyćmioną przez zapach niedalekiej zatoki, Phil przyglądał się, jak odbywają się formalne wydarzenia poza stadionem. Wszyscy tworzyli grupy, a przynajmniej pary, i Phil siedział pomiędzy pustymi krzesłami, czując się tak samotny, jak mu się dawno nie zdarzyło.

Telefon zadzwonił w kieszeni, w chwili gdy nad tym rozmyślał. Wyciągnął go, czując lekką wdzięczność, która zaraz minęła. Dzwonił bukmacher.

## Joe

Joe dobrze wiedział, że nie będzie mile widziany na weselu bratanicy. A w każdym razie nie będzie mile widziany przez szwagierkę, Donnę, którą uważał za obmierzłą, wybotoksowaną harpię. Swojego brata, Richarda, Joe widywał mniej więcej raz do roku, zawsze w jego domu w Maryland — przysadzystym, ceglany budynku z czterema sypialniami, stojącym blisko zabytkowej głównej ulicy Ellicott Street, którą Donna uważała za najbardziej interesujące miejsce na ziemi.

Donna nigdy nie pozwalała Richardowi odwiedzić brata w Vegas, chociaż Joe zapraszał go ze dwadzieścia razy. Bracia nigdy nie byli sobie zbyt bliscy, ale Joe chciał pochwalić się sukcesami, swoją prężną firmą z wyposażeniem dla restauracji, która — był tego pewien — zafascynowałaby starszego brata. Dzieciakom Donna też nie pozwoliła nigdy do niego przyjechać; nazywała jego miasto miastem grzechu, jakby mieszkali w nim wyłącznie dilerzy, prostytutki i nałogowi hazardziści. Gdyby tylko Donna mogła zobaczyć te wszystkie zdrowe i jakże hałaśliwe rodziny zapełniające obecnie kasyna... Główny klient Joego, hotel New York — New York, był opanowany w zasadzie wyłącznie przez takich ludzi, ponieważ miał kolejkę górską i strefę automatów do gier w stylu retro.

Firma Joego miała ostatnio tyle pracy, że przez ostatnie trzy lata nie odwiedzał brata, choć musiał uczciwie przyznać, że nie tylko dlatego. Bee, ulubiona bratanica Joego, była już dorosła i mieszkała z narzeczonym w Raleigh. Eric, jej brat, bardzo mądrze wyjechał z Maryland na studia — do Nowego Jorku — a teraz spędzał większość czasu na podróżach po Europie za pieniądze Richarda. Joe nie miał ochoty na wizyty, jeśli miał siedzieć tylko z bratem i bratową.

Zazwyczaj Donna dawała mu kilka minut od wejścia do domu, po czym przypuszczała atak: zaczynała wypytywać o córkę Joego, jakby to była jego wina, że była żona przeprowadziła się cztery tysiące kilometrów od miejsca, w którym zarabiał na życie.

Była żona Joego, Rachel, była nauczycielką i mieszkała z ich córką, Cynthią, w stanie Maine, niedaleko swojej rodziny. Joe płacił im alimenty, które pokrywały większość ich wydatków, i dlatego priorytetem dla niego było mieszkać tam, gdzie — tak jak w Nevadzie — był w stanie zarobić takie pieniądze. Joe miał wiele wad, ale nie był bezużytecznym ojcem — wspierał je, jak mógł. Więc kiedy Donna oskarżała go, że uciekł z życia córki, Joe odpowiadał:

— Nauczyciele mogą pracować w dowolnym miejscu, prawda? Więc dlaczego Rachel mieszka w Maine? To wyraźnie jej wybór! — I obiad dojadano w ciszy.

Joe musiał też znieść rozmowę telefoniczną z Donną jakiś tydzień temu, kiedy zadzwoniła, by spytać, gdzie będzie spał po weselu.

— Nie możesz spać u nas — oznajmiła niezbyt grzecznie. Joe wyobraził ją sobie, ubraną w markowy dres. Donna wiecznie coś ćwiczyła — całe jej życie składało się z milowych przebieżek i asan, co wpędzało jej córkę w kompleksy na punkcie wyglądu i wagi. Kiedy widywał ją jeszcze jako nastolatkę, Joe pilnował, by obsypywać Bee komplementami.

— Nie zamierzałem u was nocować — powiedział. Kiedy usłyszał głos Donny, zaczął żałować, że w ogóle się zapowiedział.

— W pokoju gościnnym śpią rodzice Matta. Matt to narzeczony Bee. A w jej pokoju położyliśmy moich rodziców. Nie mamy więcej łóżek.

— Wynająłem pokój w hotelu. I wiem, kim jest Matt, Donna. Nie musisz mi mówić, za kogo wychodzi moja bratanica — warknął Joe.

— Dobrze. I pamiętaj, że na ślubie obowiązują smokingi.

— Smokingi są nieobowiązkowe, Donna. Tak jest napisane. Opcjonalne. Mam porządny garnitur, nic się nie martw.

— Po prostu wyglądaj odpowiednio.

Tak jakby Joe kiedykolwiek wyglądał nieodpowiednio. Może i ożenił się zbyt wcześnie, mieszkał w mieście grzechu, rozwiódł się i miał córkę, której w ogóle nie widywał, ale na pewno potrafił się ubrać. Zawsze uważał to za talent. Jego brat, Richard, był taki sam jak ojciec — miał szafę pełną spodni w bliżej nieokreślonym brązowym kolorze i niepasujących koszul — ale Joe ubierał się jak model z katalogu. Lubił to, więc miał w mieszkaniu garderobę pełną dobrze skrojonych garniturów i stylowych butów, czym idealnie wpasowywał się w realia Las Vegas. Ale kiedy odwiedzał rodzinę na wschodnim wybrzeżu, okazywało się, że większość ludzi — pracująca za biurkami i mieszkająca na przedmieściach — ubiera się jak urzędnicy bankowi.

Elegancja Joego podobała się kobietom, co było tym bardziej korzystne, że Joemu podobały się kobiety. Zazwyczaj zawierał znajomości z przyjezdnymi, których codziennie pojawiały się tysiące. Jego niewielka firma zaopatrywała jakieś czterdzieści dwie restauracje w dzielnicy hazardowej, z których większość mieściła się w hotelach. Joe spędzał popołudnia na rozmowach z managerami restauracji, po czym zazwyczaj zostawał na darmowy posiłek i jadł go przeważnie sztucami, które sam dostarczył. Potem odwiedzał któryś z hotelowych barów, gdzie podrywał grupki singielek na weekendzie panieńskim albo — wiosną — studentki, które właśnie miały ferie.

Raz na dwa miesiące latał do Reno, gdzie miał sporo interesów. Panował tam ostatnio boom na mieszkania i pootwierało się z tuzin restauracji, a w każdej właściciel chciał mieć eleganckie widelce, noże i metalowe pałeczki do ryżu. Partnerem Joego w interesach był przyjaciel z college'u, który dawno temu dał mu pracę, gdy się okazało, że jego była żona jest w ciąży i trzeba jej będzie płacić alimenty. Joe pracował u niego jako sprzedawca, a że potrafił przekonać ludzi, by

coś kupili, wkrótce zarobił dla kolegi masę pieniędzy. Po roku był już jego partnerem.

Joe lubił tę pracę, z wyjątkiem wycieczek do Reno, które jego zdaniem faktycznie było miastem grzechu. Gdy tylko się tam znalazł, czuł się zdołowany, bo Reno miało wszystkie wady Vegas, a żadnej jego zalety. Staruszki marnujące emeryturę na jednorękiach bandytach. Pijackie wieczory kawalerskie, lecz bez żadnych widoków na małżeństwo. Nieatrakcyjne pary, kłócące się o pieniądze. Ale właśnie w Reno, w zeszłym roku, poznał ją. Victoria, trzydziestoletnia kobieta po studiach, używająca zdrobnienia Vicki i wyglądająca — z tymi krótkimi czarnymi włosami — jak Wróżka Dzwoneczek z domieszką azjatyckiej krwi. Siedziała przy japońskim grillu, popijając białe wino i oglądając orientalny film akcji z lat siedemdziesiątych, który w tej restauracji puszczano na okrągło. Miała szkliste spojrzenie; nie pijana, tylko zmęczona. Podszedł do niej bez zwykłej pewności siebie i nieśmiało zapytał, czy może postawić jej drinka.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała szorstkim głosem, którego brzmienie go zdziwiło.

— A jeśli tak naprawdę nie musiałbym za niego płacić?

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Ta restauracja należy do mojego klienta. Dostarczam mu sprzęt i mogę liczyć na darmowe usługi. Po prostu wciągnę tego drinka na swój rachunek — zrobił uspokajający gest — bez żadnych zobowiązań. Po prostu wyglądasz, jakby przydał ci się drink.

— No... jeśli tak naprawdę za niego nie płacisz... — uśmiechnęła się niepewnie. — Dobrze. Dziękuję.

Po czterech kolejnych drinkach zgodziła się pójść do jego pokoju. Wydawała się rozbawiona sytuacją; kiedy rozbierała się przy łóżku, potrząsnęła głową i uśmiechnęła się słabo.

— Nigdy czegoś takiego nie zrobiłam — powiedziała. — Chociaż pewnie wszyscy tak mówią.

— Wierzę ci. Ja robię to bez przerwy — odparł Joe, czym sam siebie zaskoczył.

— Dzięki za szczerą — Vicki uśmiechnęła się, wzruszając ramionami. Oczy miała półprzymknięte.

Seks był przygnębiający i bez polotu. Vicki wydawała się zrezygnowana, jakby zdecydowała się na stosunek, żeby uniknąć czegoś innego. Mimo wszystko coś w tym było, a przynajmniej Joe tak sądził. Stwierdził, że ona potrzebuje kogoś takiego jak on, że był jakiś powód, dla którego zdecydowała się na niezbyt emocjonującą noc z nim, zamiast pójść do swojego pokoju i oglądać telewizję. Chciał dowiedzieć się o niej czegoś więcej, chciał ją znów zobaczyć. Ale nie zapytał jej nawet o nazwisko, a ona wyszła, zanim się obudził.

Następnego dnia pobiegł do japońskiej restauracji, by wypytać barmana o dziewczynę, może dostać nazwisko albo numer pokoju. Ale przypomniał sobie, że wciągnął jej drinki na swój rachunek i w barze nie było po niej śladu. Tego wieczoru Joe miał wracać do Vegas, ale opóźnił wylot o jeden dzień w nadziei, że gdzieś ją zobaczy. Siedział w barze, myśląc, że może ona będzie go tam szukać. Nie przyszła. Koło drugiej powlókł się bez nadziei do pokoju. Nie miał jak się z nią skontaktować, nie pamiętał nawet, co konkretnie mówiła o ojcu i studiach. Przez chwilę rozważał, czy nie poprosić ochrony hotelu o dostęp do nagrań, żeby chociaż mieć jej zdjęcie, ale nie poszliby na to. Wyglądałoby to podejrzanie.

Joe stwierdził, że jeśli chciałaby się z nim skontaktować, mogłaby zawsze spytać w restauracji o nazwisko gościa, który zapłacił za jej wino. Miał nadzieję, że tak zrobi, ale nie zrobiła. Mijały miesiące, a Vicki wciąż była duchem. W dodatku, technicznie rzecz biorąc, Joe dorobił się partnerki. Jakies cztery miesiące temu poznał Sarah; spotykali się regularnie. Sarah pracowała jako odźwierna w hotelu Wynn, była absolwentką hotelarstwa i znajdowała się na dobrej drodze, by wspiać się po szczeblach kariery aż do recepcji. Miała trzydzieści jeden lat, pochodziła z dobrej rodziny i była ładnym rudzielcem. Jednak różnica wieku sprawiała, że Joe widział ich związek jako tymczasowy. Ostatnio, jakiś tydzień przed weselem Bee, zapytała go, czy chciałby mieć więcej dzieci. Na to pytanie nie potrafił jej odpowiedzieć.

— Porozmawiamy o tym, jak wrócę z Maryland, dobrze? — powiedział wtedy, całując ją w czoło.

Zastanawiał się, czy nie zabrać jej ze sobą na wesele, ale nie chciał, by niewłaściwie odebrała ten gest i zaczęła sobie robić jakieś nadzieje. Joe miał ponad czterdzieści lat i nie widział siebie z kimś, kto chce założyć rodzinę. Poza tym nie chciał, żeby Sarah poznała Richarda i jego bliskich; nie chciał, by zobaczyła, jak go traktują. Kiedy przebywał z Sarah, Joe był tym starszym, ale kiedy znajdował się wśród członków rodziny brata, stawał się tym gorszym. Był Piotrusiem Panem. Nie chciał, żeby ktoś z jego świata w Vegas patrzył na niego oczami Richarda i Donny.

Joe zaparkował wynajęty samochód na małym placyku przy niewielkim hotelu i poszedł po klucz. Mały, ceglany budynek trochę go zdziwił; był przyzwyczajony do wielkich światel i efektownych wnętrz. To miejsce było tak typowo, staroświecko nadmorskie, ze skórzanymi krzesłami oraz obrazkami statków i fal na ścianach z gołej cegły i drewna. Przed nim stało jakichś dwóch biznesmenów, jakaś para, która wydała mu się znajoma — mogli to być nawet jacyś jego dalecy kuzyni — oraz dziewczyna z futerałem na gitarę na plecach. Kiedy odeszła od recepcji z kluczem w ręce, Joe nie mógł się powstrzymać; wyskoczył z kolejki, by z nią porozmawiać. Zawsze go ciągnęło do kobiet z instrumentami, zwłaszcza w skórzanych ubraniach. Przypominały mu Litę Ford,

której plakat wisiał w jego sypialni, kiedy był nastolatkiem.

Joe dogonił dziewczynę pod windą i zawołał w stronę jej pleców:

— Gra pani?

Odwróciła się, omal nie uderzając go futerałem. Zazwyczaj muzycy traktowali swoje instrumenty z większą ostrożnością.

— Tak — dziewczyna wymusiła cienki uśmiech. Joe poczuł, jak wilgotnieją mu ręce; była piękna, a jej włosy były takie same, jak włosy Vicki, cienkie, czarne, do ramion. Włosy Vicki pasowały jednak do jej ciemnych, azjatyckich oczu i lekko oliwkowej skóry, podczas gdy ta dziewczyna wyglądała jak Królowa Śnieżka: rozwichrzony, ciemny paż kontrastował z niemal przezroczystą skórą, białą jak kość słoniowa. Nie miała makijażu, a jej usta wyglądały na przemarznięte, były nieco fioletowe. Joe wyobraził sobie, jak by wyglądała, gdyby skróciła włosy; bardziej jak Dzwoneczek, bardziej jak Vicki z Reno. Zawstydziła go ta myśl, ale i tak wyobraził sobie, jak wyglądałaby nago, i przemknęło mu przez głowę, czy miałyby coś przeciwko, gdyby nazywał ją Vicki. Skupił się, by zachować spokój i się nie zaczerwienić.

Wziął oddech i zapytał, czy koncertuje gdzieś w pobliżu. Może dałby radę wymknąć się z wesela i posłuchać.

— Nie, to tylko hobby. Przyjechałam na wesele — odparła.

Joe rozluźnił się na myśl, że jeszcze ją zobaczy. Przedstawił się jako wujek Bee, Joe, i żałował, że zabrzmiało to tak staro.

— Jestem Vicki — powiedziała dziewczyna, i mówiła coś dalej, ale Joe już nie słuchał. Wcale nie przyszłoby mu trudno wyłgać się od wesela. Właściwie to Donna miała chyba nadzieję, że tak właśnie zrobi, by uniknąć spotkania z rodziną. A jednak wykupił lot, wynajął samochód i zarezerwował pokój w hotelu miesiąc temu, gdy tylko dostał zaproszenie. Uznał, że ten entuzjazm wiąże się z uczuciem, jakie żywiła do niego Bee — kiedy była dzieckiem, po prostu go uwielbiała. Ale może był jakiś większy, ważniejszy powód, dla którego tu był, i może jego decyzja, by nie zabierać Sarah, miała inne przyczyny niż tylko nieokazywanie zaangażowania. Joe wierzył w siły nadprzyrodzone; nie był przesądny, ale wierzył w opatrność, karmę i szczęśliwy los. Może jest w tym jakiś wyższy cel, pomyślał, wycierając ręce w spodnie.

Miał mętlik w głowie. Spojrzał na siebie, sprawdzając, w co jest ubrany i co Vicki — ta Vicki, która stała teraz przed nim — może o tym pomyśleć. Szyte na miarę szare spodnie, biały T-shirt pod sportową marynarką. Wszystko w porządku. Nagle zdał sobie sprawę, że powinien chyba coś odpowiedzieć, ale kiedy podniósł oczy, zobaczył tylko oddalający się futerał na gitarę. Zrobił krok do przodu, lecz ona skręciła już za róg i zniknęła.

## *Hannah*

Już umalowana i potraktowana eye-linerem, Hannah patrzyła przez okno na trawnik i usiłowała rozpoznać Toma w którejś z ciemnowłosych postaci rozmiarów mrówki. Jedna ciemnowłosa mrówka wyglądała podobnie do niego, ale przyjrząwszy się lepiej, Hannah stwierdziła, że ramiona ma za szerokie i stawia za małe kroki, by być Tomem. Z mieszaniną ulgi i rozczarowania przyglądała się, jak nieznaną mężczyzna przysiadła się do rodziny pana młodego. Męce nie było końca.

Do ceremonii zostało zaledwie dwadzieścia minut; większość gości była już na miejscu, krążyła wokół krzeseł niczym elegancko ubrane sępy i dyskutowała cicho, czy lepiej usiąść z przodu, bliżej ołtarza, by słyszeć, co mówią, czy z tyłu, skąd jest bliżej do toalet. A kiedy goście chodzili między krzesłami, młodzi ludzie w kasztanowych marynarkach biegali wokół namiotu, w którym szykowano przyjęcie. Ustawiali kieliszki na stołach i przynosili tace z lodem na koktajle, którymi ludzie zajmą się między całym tym „biorę ciebie...” a imprezą jako taką; zaplanowano ją dopiero czterdzieści pięć minut po złożeniu przysięg.

Widziani z jej okna, z wysokiej wieży, wszyscy ci ludzie przypominali Hannah malutkie figurki, pary patykowatych tancerzy, tańczących wielkiego walca — wszyscy poruszali się podobnie, chodząc w koło. Spodziewała się za chwilę usłyszeć muzykę i zobaczyć, jak kłaniają się sobie i dygają. Hannah stanęła na palcach, z nosem niemal przy szybie, i wpatrywała się w nich intensywnie, wyobrażając sobie, że jest snajperem. Mimo że byli tacy mali, niektórych potrafiła rozpoznać: na przykład dwóch chłopaków, którzy mieszkali piętro nad Bee na początku studiów. Pod rękę trzymali dwie podobne do siebie kobiety, zapewne żony. Ojciec Bee, Richard, dyskutował na uboczu z pastorem. Hannah zauważyła też kilka osób, które poznała na próbnym obiedzie, dalszych krewnych Bee i Matta.

Jej oddech skroplił się na szybie i Hannah przetarła ją palcami, po czym przeciągnęła ręką po odsłoniętych piersiach. Czarna sukienka drużyny miała dużo głębszy dekolt, niż Hannah miała w zwyczaju nosić, a skomplikowany stanik wypychał jej piersi prawie pod gardło, jeszcze pogarszając sprawę. Wciąż patrząc przez okno, Hannah wbiła palce w ramię. Jej krótkie paznokcie były wypilowane i polakierowane po raz pierwszy od czasów college'u. Z miękkiej ramy okiennej wyszło kilka drzazg, drobne skrawki drewna i lakieru do paznokci opadły na nieskazitelnie czystą podłogę. Hannah wsadziła palce do ust i zaczęła się zastanawiać, czy może w ten sposób zatruć się ołowiem; wyobraziła sobie odpryski farby rozprzestrzeniające się od języka do głowy, zabijające szare komórki i skrcające jej męki.

— Hannah — odezwała się surowo Dawn. Odwróciwszy się, Hannah zobaczyła ją pół metra od siebie, z oskarżycielsko wyciągniętym palcem. — Można



na słówko, kochana? Tylko na słówko. Chodź.

Hannah podeszła do niej, niezdarnie i powoli w eleganckich butach. Orszak panny młodej był już gotowy. Jackie i Lisa zajmowały się Bee — wygładzały tren jej sukni i prawily obowiązkowe komplementy na temat makijażu, fryzury i cieniutkiej talii. Hannah wiedziała, że Bee właśnie tego potrzebuje; faktycznie wyglądała pięknie, ale pewnie sama tak nie uważała, myśląc wciąż o tym, czy dorówna swojej matce. Hannah cieszyła się, że przyjaciółka będzie teraz mieszkać w Raleigh, bliżej rodziny Matta, która była ciepła i akceptowała Bee taką, jaka jest.

— Co jest? — spytała niepewnie, czując, że zostanie zbesztana. Dawn zmrużyła oczy i zacisnęła usta, bez słowa łapiąc Hannah za palce.

— Przestań natychmiast — warknęła.

— Ale co?

— Patrz, co narobiłaś — ciągnęła Dawn, już ciszej, odwracając dłonie Hannah grzbietem do góry. Rzeczywiście, czerwony lakier był cały poodpryskiwany, a jej palce wyglądały, jakby krwawiły. Dawn puściła ręce Hannah i chwyciła ją pod brodę, przysuwając się tak blisko, jakby chciała ją pocałować. Dawn była z pięć centymetrów niższa od Hannah, ale jej suknia miała długi tren i Dawn założyła do niej szpilki, wysokie jak szczudła.

— Mogę być z tobą szczerą? — zapytała surowo, wciąż trzymając ją za brodę. Hannah kiwnęła głową, ale Dawn milczała, patrząc jej w oczy i przyglądając się zmartwionej twarzy. Jej spojrzenie złagodniało.

— No co? Na co tak patrzysz? — spytała nerwowo Hannah, wykręcając się z uchwytu. — Przepraszam za te paznokcie, nawet tego nie zauważyłam. Nie jestem przyzwyczajona do lakieru. Zresztą nikt nie zauważy, a do zdjęć będę chować ręce, obiecuję.

— Nie chodzi o paznokcie, kochana — powiedziała Dawn, puszczając jej głowę i znów chwytając ją z ręce. — Chodzi o to, że wszystkich stresujesz. Za parę minut Bee ma iść do ołtarza, a ty siedzisz sama w kącie, gapiąc się przez okno jak jakiś wariat, który zaraz wyciągnie broń i powystrzela gości. — Dawn przysunęła się i szepnęła jej do ucha: — W tej chwili nie chodzi o ciebie. — Była tak blisko, że jej usta dotknęły ucha Hannah i dziewczyna aż się otrząsnęła. — Możesz przestać myśleć o sobie i zacząć myśleć o przyjaciółce? Możesz skupić się na Bee, kochanie?

Hannah spojrzała na pannę młodą, która stała po drugiej stronie luksusowego apartamentu i wyglądała jak porcelanowa lalka. Oczy miała zamknięte i poruszała ustami, kiedy Jackie i Lisa, niewygodnie wygięte, układały dół jej sukni. Bee zapewne przypominała sobie słowa przysięgi, którą ułożyła; Hannah wyczuwała jej zdenerwowanie. Zawsze stresowały ją publiczne wystąpienia, co stanowiło spory problem na studiach prawniczych, i prosiła czasem Hannah, by jej podpowiedziała jakiś aktorski sposób, jak sobie z tym radzić.

Hannah zawsze radziła jej, aby sobie wyobrażała, że jest kimś innym.

— Jesteś prawnikiem. Po prostu wyobraź sobie, kiedy tam stoisz na sali, że występujesz w *Prawnikach z Miasta Aniołów*.

— Rodzice nie pozwalali mi tego oglądać — odpowiadała Bee drżącym głosem.

Teraz Hannah zakryła twarz rękami i jęknęła:

— O Boże, jestem beznadziejna. Bee właśnie ma związać się z kimś na resztę życia, a ja nawet nie zwracam na nią uwagi. Powiedz mi, co mam robić. Mam tam stać i trzepać tą jej spódnicą?

— Hannah! Popatrz na mnie! — rozkazała Dawn, szybko wycierając łzę spod oka Hannah, zanim narobiła szkód. — Żadnych łez. Nie ma takiej opcji. Jesteś umalowana. — Dawn znów ścisnęła ją za ręce. — Popatrz na mnie.

Hannah zacisnęła powieki, walcząc ze łzami.

— Popatrz na mnie! — syknęła Dawn na tyle głośno, że Lisa się obejrzała, zdziwiona i zaniepokojona. — Weź głęboki oddech — rozkazała Dawn. — Teraz wypuść. Kochana, musisz wziąć się w garść.

— Przepraszam. Po prostu ciągle czekam, aż on się pojawi, i od tego czekania mało nie zwariuję. Chcę go już zobaczyć i mieć to z głowy, zobaczyć go, poczuć się okropnie, wrócić do hotelu i do swojego życia. Chciałabym być z nią teraz, dla niej... ale nie mogę przestać myśleć o nim, że jest tam na dole z jakąś inną kobietą. Z jakąś szkolną psycholożką! A jeśli nie wypatruję jego, wypatruję wiadomości. A telefon milczy: nie ma połączeń, nie ma Natalie Portman. Nie ma nic.

Dawn przekrzywiła głowę, nie zadając żadnych pytań, po czym wyciągnęła z kosmetyczki trzy białe pigułki. Stukając obcasami, wróciła do Hannah i wcisnęła jej tabletki do ręki.

— Połknij i popij — poleciła, wskazując szklankę z niedopitą oranżadą.

— Co to jest?

— Dwie na uspokojenie, a jedna po to, żebyś była uważna i nie spała — Dawn się uśmiechnęła. — Daję to moim dziewczynom przed pokazami. Pomagają na nerwy i wprawiają w lepszy humor.

— No, nie wiem — Hannah pokręciła głową. — Nie chcę zasnąć ani zacząć wymiotować. Mam słabą głowę do leków.

— Nic ci nie będzie, kochana — powiedziała Dawn, wciskając jej szklankę oranżady do drugiej ręki. Stała tak blisko, że Hannah widziała cienki plasterek przytrzymujący jej sztuczne rzęsy.

— Mogę być z tobą szczerą, Hannah? Musisz to zrobić dla Bee — ciągnęła Dawn tym swoim głośnym szeptem, z twarzą okrągłą jak cherubinek i białymi zębami. — Weźmiesz te pigułki i podczas ceremonii będziesz się naprawdę uśmiechać. Bee powinna skupić się na swoim ślubie, a tymczasem stoi tam i

martwi się o ciebie. Weź to, przyjemnie spędzisz trzy czy cztery godziny, a potem zachce ci się spać i pójdziesz prosto do swojego pokoju. Obudzisz się wyspana i wypoczęta.

— Muszę wziąć wszystkie trzy? To jest zalecana dawka? — Hannah spojrzała na pigułki, które zaczęły już topnieć w jej dłoni.

— Moje dziewczyny biorą tego dużo więcej, kochanie, a większość z nich to nastolatki, ważące poniżej czterdziestu pięciu kilogramów.

— A na czym dokładnie polega ich działanie? Co się stanie, jeśli je wezmę?

— Nic drastycznego — Dawn uśmiechnęła się zwycięsko, gdy Hannah popiła tabletki. — Za jakieś dwadzieścia minut będziesz spokojna, zrelaksowana i gotowa do wyjścia na wybieg. A kiedy przestaną działać, po prostu zrobisz się senna.

— Trawnik, Dawn. Wyjdziemy na trawnik. Powiedziałaś: wybieg.

— Jak zwał, tak zwał, kochana.

— Dzięki — powiedziała miękko Hannah. Dawn puściła do niej oko i odmaszerowała, by dokonać osobistej inspekcji sukni panny młodej.

Hannah stała w miejscu, popijając resztę oranżady, i przyglądała im się. Dawn okrążyła Bee, po czym pochyliła się i szybko szepnęła jej coś do ucha. Bee zachichotała i wymieniły krótki, formalny pseudouścisk, prawie się nie dotykając, by nie rozmazać makijażu i nie pognieść sukien. Słodczyz tego niewygodnego gestu rozczuliła Hannah. Chciała do nich podejść, ale najpierw raz jeszcze pozwoliła sobie spojrzeć na telefon — Natalie milczała — i przez okno. Wyglądała czarnych jak węgiel włosów Toma, którymi bawiła się tyle razy, gdy zasypiał z głową na jej kolanach. U nikogo jeszcze nie widziała takich ciemnych włosów przy tak jasnej skórze: Tom miał włosy ciemniejsze nawet od atramentowych pukli Vicki i właśnie o tym rozmawiali, kiedy poznali się w Syracuse.

Tom był kolegą Roba, a także jedną z niewielu osób, które Rob w ogóle zaszczycił uwagą podczas pobytu tam. Spotkali się na zajęciach z równości płci, które wchodziły w skład obowiązkowego programu „wrażliwości kulturowej”. Wprowadzono go parę lat wcześniej, gdy w jednej z łazienek w akademiku ktoś nabazgrał swastyki. Tom i Rob chadzali na piwo po tych zajęciach, które Rob określił jako „dwanaście kobiet w futrzanych butach rozmawiających o potencjale feminizmu czwartej fali”. Potem dodał jeszcze, że kiedy słucha tych bzdur, boi się o przyszłość jej płci.

Miało to miejsce podczas jednego z ich sekretnych nocnych spotkań. Rob przyszedł krótko po wpół do dwunastej i szybko oboje stwierdzili, że są zbyt zmęczeni na fizyczny kontakt. Rob ułożył się z głową na jej piersi, w dziwnie czulej pozie, a Hannah głaskała go po włosach, zastanawiając się, czy — za aprobatą Bee — mogłoby być między nimi coś więcej. Rob zaczął wtedy mówić o swoim koledze, czym uciął te rozważania.

— Powinnaś lepiej poznać Toma — powiedział zamyślony. — Ma przyjść w piątek na koncert.

— Dziwię się, że go lubisz — odparła Hannah, patrząc na spartolone sezonowe malowanie. Plamy fioletowej farby dostały się jakoś na lampy, pewnie dlatego, że piły z Vicki podczas pracy.

— Powiedziałaś, że mam sobie znaleźć więcej kumpli — odparł Rob, obracając się na plecy.

— Wiem — westchnęła Hannah, kiedy się od niej odsunął. — Ale jest w nim coś takiego, że gdy z nim rozmawiam, czuję się atakowana. Widziałam go może ze dwa razy i czułam, że się na mnie gapi, że mnie ocenia. Że muszę się bronić.

— Neurotyczka z ciebie. To fajny facet — powiedział Rob. Po paru minutach oboje już spali.

Parę dni później Hannah po raz pierwszy tak naprawdę rozmawiała z Tomem. Byli na jakiejś nieokreślonej domówce, z grupą znajomych zespołu Ostrom i Madison — nazwanego tak na cześć tych ulic, jako że na ich skrzyżowaniu Rob został spisany za publiczne oddawanie moczu, kiedy był na pierwszym roku. Zespół występował w składzie: Rob — gitara prowadząca, Rich, ówczesny chłopak Vicki — perkusja, Matt Dorfman — bas, oraz magister z teatru muzycznego, Jared Novak, na wokalu. Nikt nigdy nie mówił do niego po imieniu; zawsze był Jaredem Novakiem, w tym połączeniu, jakby to było jedno słowo.

Hannah nie znosiła ich muzyki, ale lubiła chodzić na te koncerty, zwłaszcza z Vicki. Zaprzyjaźniły się już na pierwszym roku, mieszkały w tym samym akademiku, co reszta paczki, i zawsze na koncertach stały w kącie, nabijając się z występu. W szczególności z gestykulującego Jareda Novaka, którego osobowość sceniczna bardziej nadawała się do kabaretu niż do studenckiego rocka. Bee zazwyczaj stała z nimi, śmiejąc się z ich żartów albo próbując je ułagodzić.

— Vicki, przecież właśnie nabijasz się z własnego chłopaka — mówiła.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odpowiadała uśmiechnięta Vicki.

Tamtego wieczoru, przed nieokreśloną domówką, Vicki przyszła do Hannah w ostatniej chwili, by się wymówić. Musiała zająć się dziewczyną z piętra wyżej, która panikowała, że jest w ciąży, i którą wcześniej już zabrała do apteki po test ciążowy, znalazłszy ją łkającą w śnieżnej zaspie przy wejściu.

— Ee, jak ty nie idziesz, to ja też nie idę — powiedziała Hannah, już okutana do wyjścia. — Jest strasznie zimno. Wolę zamówić żarcie na dowóz i pooglądać telewizję.

— Nie, powinnaś iść. Do Bee przyjechali rodzice, więc ona nie może, a powiedziałam Richowi, że będziemy. Ktoś musi nas reprezentować, a poza tym mają grać covery Queen i musisz mi opowiedzieć, jak wypadł Jared Novak. Idź.

Kilka godzin później Hannah zakończyła pogaduchy ze stałymi bywalcami

występów Ostrom i Madison i zastanawiała się właśnie, czy dałoby się wysłać do Vicki mentalną wiadomość o wszystkim, co ją ominęło. Konkretnie ominął ją Jared Novak, ubrany w płaszcz w pomarańczowe, niebieskie i czerwone pasy, który wyglądał jak resztki z jakiegoś musicalu. Hannah zastanawiała się, co robi teraz Vicki — pewnie dyskutuje o kolorach z dziewczyną wpatrzoną w patyk pokryty moczem.

Jared Novak wykrzykiwał właśnie *Fool in the Rain* Led Zeppelin, kiwając się jak Axl Rose, kiedy powtarzało się „light of the love that I found”. Hannah odkryła nagle, że obok niej stoi Tom i podaje jej piwo. Przyjęła je.

— Cześć.

— Cześć — odpowiedziała, patrząc na zespół i starając się nie krzywić.

— Dobrze dziś brzmią, prawda? — Tom przeciągnął palcami po włosach.

— Kto?

— Zespół.

Hannah odwróciła głowę, by nie zobaczyć jej miny.

— Jesteś innego zdania — Tom się uśmiechnął.

— Rob brzmi dobrze. Rich brzmi nieźle. Ale Jared Novak?

— Nie jesteś fanką Jareda Novaka?

Dał się słyszeć wibrujący jęk Jareda Novaka, śpiewającego o tym, że jego ciało drży i wilgotnieją mu dłonie.

— Boże. Nawet nie chcę o tym myśleć — zaśmiała się Hannah. — Widziałeś go w przedstawieniu? Na pierwszym roku wystawili *Józefa i Cudowny Płaszcz Snów* w technikolorze.

— Żałuję, ale nie — Tom oparł się o ścianę i pochylił w jej stronę, by lepiej słyszeć. Ich ramiona się zetknęły.

— Za to ja widziałam — Hannah stanęła na palcach, by mówić mu do ucha. — To było oszałamiające. Ten płaszcz, który ma na sobie teraz, też pewnie pochodzi z tej produkcji. Tamten był czerwono-pomarańczowo-różowo-fioletowo-niebieski.

— I rubinowy, i oliwkowy, i fioletowy, i płowy — dokończył Tom ze śmiechem.

— Znasz tekst musicalu... o, nie, to znaczy, że jesteś maniakiem teatru.

— Nie. Ale moja siostra jest, dwa razy występowała w *Józefie* i dwa razy w *Facetach i laleczkach*. Znam tekst chyba z sześciu musicali.

— Jesteś dobrym bratem.

— Też jej to powtarzam — Tom wsadził ręce do kieszeni i oparł się wygodniej o ścianę. — Rob mówi, że ty jesteś maniaczką teatru. Taką prawdziwą.

— Coś w tym jest... robię dyplom z teatrologii, ale nie występuję. Chciałabym zajmować się produkcją, może castingiem... W lecie mam staż w agencji castingowej w Nowym Jorku.

— Casting brzmi ciekawie. Moja rodzina lubi wymyślać film o swoim życiu — Tom przysunął się tak blisko, że czuła zapach jego szamponu do włosów. — Zazwyczaj podczas długich podróży samochodem. Obsadzaliśmy role nas samych, przyjaciół, przyjaciół przyjaciół...

— I kto grał ciebie? — spytała Hannah, czując, że od alkoholu dostaje rumieńców.

— Nie pamiętam. Co roku się to zmieniało, bo rosłem. Mama zawsze chciała, żeby grała ją Susan Sarandon.

— Kto by nie chciał? Twoja mama wygląda jak Susan Sarandon?

— Nie bardzo. Jest blada, ma proste włosy, wiesz, typowa Irlandka z Bostonu. Bardziej już Sissy Spacek. W ogóle nie jestem do niej podobny. Ojciec i ja jesteśmy czarnymi Irlandczykami. No, ojciec jest teraz raczej szarym Irlandczykiem.

— Co to znaczy: czarny Irlandczyk?

— Nie wiesz? Tak się mówi na ludzi irlandzkiego pochodzenia, którzy mają całkiem czarne włosy. Pełno nas w Nowej Anglii.

— Szczerze mówiąc, nie znam zbyt wielu Irlandczyków — powiedziała Hannah, niezbyt wyraźnie z powodu piwa. — A jeśli nawet, to o tym nie rozmawiają. Moje miasto jest mocno żydowskie. W szkole byłem chyba na dwudziestu bar micwach. Dopiero kiedy poszłam na studia, dowiedziałam się, że nie wszędzie tak jest.

— Jesteś Żydówką? Nie wyglądasz. To znaczy nie tak, jak zazwyczaj wyglądają Żydzi. O Boże, mogę to odszczekać? Zabrzmiało dużo gorzej, niż myślałem.

— Nie przejmuj się. Nie jestem etnicznie Żydówką, jestem wychowana w judaizmie. Drugi mąż mojej matki jest Żydem. Ja nazywam się po tacie Martin, ale mama jest teraz Kathy Feldman.

— Mazeł tow — powiedział Tom niepewnie, z nieprawidłową wymową. Stali teraz twarzą w twarz, ona przy ścianie, on plecami do zespołu, i mówił dalej, jakby nie zdawał sobie sprawy, że ich twarze są tak blisko. — Słuchaj, ty i Rob jesteście razem jakoś na poważnie? Wiesz, że on wylatuje ze studiów.

Hannah opuściła wzrok, nerwowo dotykając szyi. Odsunęła się trochę, by widzieć zespół i zwiększyć dystans między sobą a Tomem; patrzyła na Jareda Novaka, układając w myślach odpowiedź.

— Nie jesteście razem. Tylko się przyjaźnimy — powiedziała w końcu.

— Wiesz, to nie moja sprawa — odparł Tom pospiesznie, znów się przysuwając. — Przepraszam, byłem ciekawy. Rob jest świetny, jest świetnym kumplem. Tylko że, no, wydaje się, że jesteście dość blisko i widać, że ci na nim zależy. Mówił mi ostatnio, że chcesz mu pomóc w nauce, żeby miał lepszą średnią, i to jest... też bardzo fajne, ale sama mówisz, że nie jesteście parą. A on jest dosyć

niepozbywany. Wasi przyjaciele w ogóle wiedzą, że ze sobą sypiacie?

Hannah opadła szczerka. Spojrzała gniewnie na Roba, który nie mając o niczym pojęcia, wyginał się na scenie z gitarą. Wyglądał, jakby cierpiał, starając się akompaniować Jaredowi Novakowi w wykonaniu *Don't Think Twice, It's All Right*.

— Jezu, przepraszam. Ciągle mówię coś głupiego. To nie moja sprawa, Hannah, zapomnij, że w ogóle o to pytałem. Rob jest super, a ja chyba jestem po prostu pijany. Nie słuchaj mnie.

— Nie sypiam z nim — powiedziała ostro Hannah, wciąż patrząc na zespół. Rob miał zamknięte oczy i pewnie wyobrażał sobie, że śpiewa ktoś inny; Hannah wiedziała, że to jego ulubiona piosenka Dylana.

— Nie moja sprawa, naprawdę, wiem — Tom ciągle usiłował zasłonić jej widok. — Proszę cię, zapomnij, że w ogóle o tym wspomniałem. Jestem po prostu zazdrosny i wypilem sześć piw. Nie powinienem się w ogóle odzywać.

— Zazdrosny? — Hannah spojrzała na niego, usiłując powstrzymać uśmiech. Też była wstawiona, i kąciki ust jednak uniosły się jej do góry.

Potem, późno w nocy, Hannah wpadła do pokoju Vicki, bełkocząc o słowach Toma i pytając, co to znaczy.

— Myślę, że „zazdrosny” oznacza „zazdrosny” — ziewnęła Vicki. Leżała w łóżku pod trzema flanelowymi prześcieradłami i puchową narzutą w kolorze cynamonu, dopasowanym do ścian. — Myślę, że to znaczy, że jest tobą zainteresowany i że ty powinnaś zainteresować się nim. Jest fajny i wolny. Bee się w nim nie kocha. I nie przychodzi tu o drugiej w nocy, żebyś mu strzepała.

— Matko, Vicki. Wiesz, że Rob jest naszym przyjacielem. I że to wszystko jest skomplikowane.

— Wiesz, że uwielbiam Roba, ale nie podoba mi się cała ta konspiracja. Trzeba z tym skończyć.

— Jesteś wkurzona, bo cały wieczór rozmawiałaś o aborcji.

— Pewnie tak. Kiedy wychodziłaś, oni jeszcze grali? Rich miał przyjść, jak skończą, a ja jestem padnięta. Jeśli to ma jeszcze potrwać, zostaw mu otwarte drzwi, dobrze?

— Powiem tak: jak wychodziłam, Jared Novak przymierzał się do składanki piosenek z *Kotów*. Myślę, że nie ma sensu czekać.

— Bardzo zabawne — mruknęła Vicki, obracając się twarzą do ściany.

Teraz, niemal osiem lat później, wspomnienie Toma przyznającego się do zazdrości wciąż było żywe. Hannah czuła, że pigułki zaczynają działać — ramiona jej się rozluźniły. Wciąż stojąc przy oknie, próbowała poluzować fiszbiny stanika, wbijając się w ciało, kiedy zobaczyła znajomo wyglądającą głowę — w tej chwili przypominającą czubek czarnej kredki. Obok czarnej kropki widniała blond kropka, bańka ustylizowanych włosów na szczupłym ciele, które musiało należeć

do nowej dziewczyny Toma, Jaime, psycholog. Hannah poczuła, że jej dłonie robią się wilgotne. Odwróciła się od okna i ruszyła na poszukiwanie torebki, by wysłać wiadomość do Vicki, która pewnie szukała właśnie miejsca przy stole. „Przyjechał z nią”, napisała Hannah, czując, jak drżą jej kolana.

— Dawn! — zawołała Hannah i zdumiała się głośnością tego okrzyku.

— Słucham, kochana?

— Nic ważnego. Chciałam ci tylko podziękować. Jesteś świetna w tym, co robisz.

Dawn uśmiechnęła się i podeszła do okna.

— Wiem, maleńka — powiedziała, dotykając czubka nosa Hannah. — Czujesz się lepiej, prawda?

— Tak. Zdecydowanie — odpowiedziała Hannah, pewna siebie i uśmiechnięta, wycierając kropelkę potu, która zebrała się na jej górnej wardze. — Do dzieła.

Właśnie wtedy do sali weszła Bonnie Hunt, organizatorka wesel.

— Już czas, moje panie. Ustawcie się w rzędzie. Bee, stoisz za pierwszą druhną. Przepraszam, Hannah? Ty jesteś Hannah?

— Tak?

— Chcesz chusteczkę?

— Po co?

— Trochę się pocisz. I masz coś na dekolcie. Czy to jest farba?

Hannah spojrzała w dół i zobaczyła, że na piersiach ma odpryski lakieru do paznokci. Pobieгла szybko po chusteczkę, którą doprowadziła się do porządku.

— Dobrze, pospieszcie się. Pierwsza idzie Lisa, potem Jackie, Hannah, Dawn i Bee. Kiedy dam wam znać, ruszacie jedna po drugiej. I pamiętajcie, żeby chwilę odczekać. Najlepiej liczcie do trzech. Na dole pod schodami czekają na was drużbowie. Bee, twój tata jest na końcu, złapie cię, gdy dotrzecie do trawnika.

Hannah zacisnęła spocone ręce w pięści; stojąc w szeregu, wychyliła się, by zobaczyć Bee, która prawie chowała się za Dawn.

— Bee! — wrzasnęła Hannah, znowu zbyt głośno.

— Tak? — Bee uśmiechała się, ale nerwowo.

— Wyglądasz kurewsko świetnie — oznajmiła Hannah, przykładając rękę do piersi. — Nie słuchaj swojej matki. Jesteś piękna, że ja pierdolę.

— Dziękuję — odparła sztywno Bee.

— Teraz! — rozkazała Bonnie Hunt i rozpoczął się marsz po spiralnych schodach, akurat w momencie gdy Hannah poczuła się naprawdę, ale to naprawdę solidnie odurzona.



## Joe

Wszystko stało się tak szybko — w jednej chwili była obcą osobą, w drugiej stała tuż obok i ich ramiona się dotykały. Zaczęło się, gdy wyszedł z pokoju hotelowego, głośno zamykając drzwi. Wtedy usłyszał jej głos: przeklinała pod nosem i chociaż rozmawiał z nią tylko przez chwilę, zanim odeszła, wiedział, że to Vicki. Serce mu mocniej zabiło — nie spodziewał się zobaczyć jej przed weselem.

Odwrócił się i zobaczył ją, dwoje drzwi dalej, grzebiącą w torebce i mamroczącą przekleństwa. Nie zdając sobie nawet sprawy z jego obecności, przykucnęła i wysypała na podłogę zawartość torebki. Nie było tego dużo: szminka, kluczyki od auta, telefon, jakaś książka. Dziewczyna skrzywiła się i zaklęła jeszcze raz, zbierając wszystko, po czym skierowała się do recepcji.

— Cześć — zawołał na próbę Joe.

— Cześć? — odezwała się niepewnie, mrużąc oczy, by mu się przyjrzeć.

— Jestem Joe, wujek Bee — uśmiechnął się lekko. — Widzieliśmy się w recepcji — dodał, nerwowo ściskając ręce, przez co sam upuścił kluczyki od auta. Schylił się, by je podnieść, błagając swój garnitur, by nic się w nim nie rozerwało. Vicki podeszła parę kroków i uśmiechnęła się słabo.

— Przepraszam, nie mam okularów. I przepraszam za słownictwo, ale zatrzasnęłam klucz w środku — powiedziała, zaciskając palce na malutkiej torebce, ozdobionej czarnymi paciorkami.

— Recepcja będzie miała zapasowy — odparł Joe i zorientował się, że głos mu drży. — Możesz go wziąć, jak będziesz wracać. To znaczy teraz też możesz, ale chyba powinniśmy już iść, ślub zaczyna się za pół godziny.

Kiedy spotkali się poprzednio, Vicki była sporo niższa, i Joe spojrzał niechętnie na jej wysokie obcasy. Nie lubił, kiedy kobiety wkładały buty, w których robiły się wielkie jak szcudlarze. Poza tym była ubrana jak na pogrzeb, w workowatą czarną sukienkę, która zwisała jej poniżej kolan, i — pomimo pogody — czarne rajstopy. Joe raz jeszcze spojrzał na torebkę i zauważył wystającą z niej książkę. Nie widział tytułu, ale rozpoznał czcionkę charakterystyczną dla romansideł, jakie czytywała jego była żona, Rachel. Litery na okładce zawsze wyglądały jak czekoladowa dekoracja na torcie, były lśniące i pełne zakrętasów.

— Książka? — zapytał, kiedy szli do recepcji, zachowując spory dystans. — Będziesz czytać podczas ślubu mojej bratanicy?

— Właśnie tego się po mnie spodziewa — Vicki rzuciła mu krótki uśmiech. — Postaram się przerwać na czas wygłoszenia przysięgi.

Joe zaśmiał się odrobinę za głośno. Szedł za nią w pewnej odległości, powstrzymując chęć, by ją objąć i przytulić. Nie była podobna do tamtej Vicki — nie z twarzy w każdym razie — ale miała podobny wyraz znudzenia i melancholii,

który sprawiał, że Joe nie potrafił poskromić fantazji.

Vicki z Reno i Vicki z Maryland miały podobne figury, drobne i prawie elfie. Workowata sukienka nie ukryła przed wzrokiem Joego jej chudego ciała i małych piersi. Nie wyglądała na wysportowaną, po prostu była chuda — zapewne należała do dziewczyn, które jedzą cukierki na śniadanie i palą papierosy na lunch, pomyślał.

Sarah, którą Joe zostawił w Vegas i o której właśnie sobie przypominał, była zupełnie inna. Ciągle ćwiczyła, ciągle biegała. Joe nie lubił tych jej treningów, uczestnictwa w półmaratonach i zwyczajowych niedzielnych przebieżek, które urządzała sobie z przyjaciółką z obozu. Wstawała wtedy o piątej rano i wykonywała serie wojskowych ćwiczeń na chodniku, który w Nevadzie nawet o tej porze był gorący. Wszystko to przypominało Joemu Donnę.

Joe patrzył z ukosa na Vicki, kiedy szli przez hol. Wydawała się spięta, sztywna. Spojrzała na obrazki z widoczkami morza i westchnęła, by wypełnić niezręczną ciszę. Gdy doszli do wyjścia, znów sięgnęła do małej torebki i wyciągnęła kluczyki od auta. Joe chrząknął dyskretnie, przypominając jej, że wciąż jest obecny.

— Może pojedziesz ze mną? Jedziemy w to samo miejsce, chętnie cię podwiozę — powiedział.

— Dziękuję — odparła, wychodząc na zewnątrz. W dłoni ścisnęła kluczyki. — Ale może będę chciała wyjść wcześniej. Muszę też podwieźć przyjaciółkę, która jest druhną. Potrzebuję samochodu.

— Wyjdę, kiedy będziesz chciała — powiedział Joe niemal błagalnie. — Na pewno nie chcesz jeździć po Annapolis po nocy, zwłaszcza jeśli trochę przedtem wypijesz. Jak tylko wyjedzie się ze starówki, robi się ciemno. A ja nie zamierzam pić i naprawdę mogę wrócić do hotelu o każdej porze.

Powiedziałem to wszystko zbyt szybko, pomyślał. Wydało się, że jestem zdesperowany. Vicki rozglądała się nerwowo, ścisnąc kluczyki i zastanawiając się.

— Naprawdę — nalegał Joe. — To nic takiego. Jeśli tylko ty i twoja koleżanka będziecie chciały wyjść, to wyjdziemy.

— No... — Vicki wzruszyła ramionami, nie patrząc na niego. — Niech będzie. Jeśli będę chciała wrócić sama, mogę wezwać taksówkę.

— Bardzo dobrze — uśmiechnął się Joe, przepuszczając ją w drzwiach. — Panie przodem.

Ruszyli w stronę szarego sedana, zaparkowanego przy hotelu. Joe nacisnął pilota przy kluczykach, ale nie zadziałał. Próbowali otworzyć drzwi, też bez rezultatu.

— Myślę, że to nie jest twój samochód — powiedziała Vicki, patrząc na niego oskarżycielsko.

— Kurde, chyba masz rację — Joe zaśmiał się nerwowo. — Te wynajęte wszystkie wyglądają tak samo. Myślę, że ja mam mercury'ego.

Joe nacisnął czerwony przycisk na pilocie i dwa auta dalej rozległo się przeraźliwe wycie. Vicki podskoczyła, przestraszona i rozzłoszczona.

— Przepraszam — zawołał Joe, wyłączając alarm. Vicki wciąż była skwaszona. — Powinienem cię uprzedzić, chciałem tylko znaleźć swoje auto. Tam jest, mercury sable.

Podeszli do szarego samochodu i wsiedli — Vicki zapięła pas i odwróciła się do okna. Joe nie widział w ten sposób jej twarzy, tylko ucho i kruczoczarne włosy, prawie zasłaniające małe wiszące kolczyki. Pospieszenie uruchomił silnik, obawiając się, że dziewczyna w ostatniej chwili wyskoczy.

— Nie spóźnimy się, nie ma obawy — zagaił. Vicki milczała, ściskając torebkę. — No, to wiem już, że nocami grasz na gitarze. A co robisz za dnia?

Wciąż była odwrócona do okna. Joe usiłował dojrzeć wyraz jej twarzy w odbiciu na szybie.

— Jesteś prawnikiem, jak Bee? — próbował.

— Nie. Jestem projektantem wnętrz dla sieci sklepów spożywczych.

— Brzmi ciekawie — powiedział Joe, szczęśliwy, że w ogóle odpowiedziała.

— Naprawdę? — Spojrzała na niego i ta jej nagła uwaga onieśmieliła go trochę. Wlepił wzrok w drogę i wziął głęboki oddech.

— Pewnie to dobra, solidna praca — powiedział, skupiając się na samochodzie przed sobą. — Projektowanie wnętrz brzmi dla mnie interesująco, bo znam kilku projektantów z restauracji w Vegas. To ciekawa branża, chociaż nie mam pojęcia, co robi projektant w sklepach spożywczych. Pracujesz dla konkretnej firmy?

— Dla Waltona.

— W Vegas nie ma Waltona, ale pamiętam ich z czasów, kiedy mieszkałem na Wschodnim. Co w takim razie robi taki projektant? Mówisz im, gdzie postawić mleko, czy wybierasz tapetę?

— Walton nie ma tapet. No, tylko za ladą do obsługi klienta — powiedziała, rozluźniając się trochę. — Tak naprawdę nie ma tam miejsca na kreatywność, bo każdy sklep wygląda tak samo. Z kilkoma wyjątkami. Szyldy są identyczne w każdej placówce, większość ścian musi być w tym samym odcieniu. Trochę jak masło. Tak naprawdę po prostu organizuję to wszystko. Jeżdżę do filii w swoim regionie i pilnuję, żeby wszystko było jak trzeba. Zamawiam malowanie, kiedy farba zaczyna się kruszyć. — Vicki westchnęła, zmęczona tymi wyjaśnieniami, zaś Joe zmarszczył brwi, rozważając kolejne posunięcie.

— Ale pewnie masz świetne mieszkanie — powiedział, zerkając, czy wciąż jest zaangażowana w rozmowę. — W domu nie musisz mieć ścian w kolorze

masła, prawda? Założę się, że tam masz miejsce na kreatywność.

— No, może — kiwnęła głową. — W sumie mam naprawdę piękne mieszkanie. Życie w Rochester jest tanie i mogłam sobie pozwolić na naprawdę eleganckie meble, takie, o jakich marzyłam jeszcze na studiach. Tylko że nikt ich nie ogląda, bo nikt nie przyjeżdża do Rochester. Wcale się zresztą nie dziwię.

— Na pewno jest piękne — powiedział Joe trochę pewniej. Uśmiechnął się, wyobrażając ją sobie leżącą samotnie, w jedwabnej piżamie, na aksamitnej kanapie. — Rochester ma jakieś zalety? Naprawdę się dziwię, że nie mieszkasz w Nowym Jorku. Od razu doszedłem do takiego wniosku, kiedy cię zobaczyłem w recepcji, w tej skórzanej kurtce. I jeszcze z gitarą...

— Chciałam się tam przeprowadzić po studiach, z Hannah, moją najlepszą przyjaciółką. Miałam wielki plan, że otworzę firmę zajmującą się wystrojem wnętrz i będę kontaktować bogatych ludzi ze współczesnymi artystami. Zamiast zamawiać meble w modnych sklepach, wynajmowałamby niezależnych rzemieślników albo znajomych ze studiów, żeby zaprojektowali unikatową tapetę. Hannah uważała, że to cudowny pomysł, ale zgłosił się do mnie Walton. Zaproponowali astronomiczną pensję, która jest jeszcze wyższa, jeśli się mieszka w Rochester. Oszczędzam chyba więcej, niż wydaję, ale to ma swoją cenę. Muszę mieszkać daleko od przyjaciół, gdzieś, gdzie są potworne zimy, podczas gdy inni wiodą przyjemny żywot dwudziestoparolatków w jakimś fajnym miejscu. I nie mam niezależnej firmy z artystycznym designem. Ani oryginalnego mieszkania w Brooklynie, blisko Hannah. Złota klatka — tak to nazywają, prawda? Kiedy zarabiasz na tyle dużo, że nie masz odwagi odejść, aby zrobić to, co by cię uszczęśliwiło.

— Chyba tak — odparł Joe, patrząc na drogę, chociaż bardzo chciał spojrzeć na Vicki. — W tej chwili, nawet gdybym chciał zostawić Vegas, nie mógłbym. Zarabiam tam za dużo, żeby zaczynać gdzie indziej od zera. — Zauważył, że odwróciła się znów do okna, zamyślona. Chciał ją rozweselić.

— Spotykałem się z jedną dekoratorką, jakieś sześć lat temu — powiedział raźniej. — Pomagała ludziom urządzać domy do sprzedania. Robiła całą scenerię i miała świetny gust. Żałuję tylko, że nie umówiłem się z nią na zakupy, zanim z nią zerwałem.

Vicki posłała mu gniewne spojrzenie, ale widział, że powstrzymuje uśmiech. Wysiedli z samochodu na białym, zwirowanym parkingu, gdzie stało już auto, które jechało przed nimi, i czerwony sportowy kabriolet z opuszczonym dachem oraz tablicą, na której widniało „PRAWO”.

— Idziemy? — zapytał Joe.

— Mamy jakiś wybór? — odparła Vicki, ruszając wraz z nim w stronę ostatnich gości. Na trawniku przygotowano już niewielki ołtarz, ozdobiony fioletowoniebieskimi hortensjami i pięknymi białymi kaliami. Kiedy szli w stronę

trawnika, znaleźli się bliżej siebie i przez moment ich dłonie zetknęły się, gdy buty Vicki zapadły się w trawie.

Wysoki nastolatek z trądzikiem powitał ich przy wejściu, gdzie goście kręcili się pomiędzy ustawionymi w rzędach białymi krzesłami.

— Goście panny młodej czy pana młodego?

— Panny młodej — odpowiedział Joe za nich oboje, z czego Vicki wydawała się zadowolona.

— Wujek Joe? — spytał chłopak, przyglądając się uważniej. Joe zmarszczył brwi.

— Jestem Derek. Syn Sandry, brat Davida. Fajnie cię widzieć, wujku, aż sam się dziwię, że cię rozpoznałem. Widzieliśmy się dwanaście lat temu.

— Racja — Joe przypomniał sobie dwoje obszarpanych dzieci kuzynki Sandry. Odwiedził ją lata temu podczas zjazdu przemysłu restauracyjnego w Filadelfii. — Świetnie wyglądasz, chłopie. Dorosły z ciebie facet.

— W tym roku kończę szkołę — powiedział chłopak, szczerząc zęby. — I składam papiery do Cornell.

Joe już miał powiedzieć, że jego partnerka, Sarah, też studiowała w Cornell, ale przypomniał sobie o obecności Vicki i powstrzymał się w porę. Vicki spojrzała na kolejkę za sobą i szturchnęła go.

— Powinniśmy usiąść — odezwała się, ciągnąc go za rękaw brązowej marynarki.

— Pani ma rację, Derek — powiedział Joe, uśmiechając się na widok jej ręki na swoim ramieniu. — Pogadamy na przyjęciu, dobra?

— Jasne, wujku.

Joe patrzył w ziemię, kiedy szli w stronę krzeseł, i usiłował powstrzymać uśmiech, widząc, że Vicki siada obok niego. Dookoła siedzieli krewni, których latami unikał, i nieznani mu starzy ludzie, zapewne znajomi z pracy jego brata. Tu i tam widział grupki atrakcyjnej młodzieży, zapewne przyjaciół Bee, i zastanawiał się, z kim usiadłaby Vicki, gdyby nie zagarnął jej dla siebie na dziś wieczór. Pozwolił sobie spojrzeć na nią z zachwytem. Uśmiechnęła się, ale nagle zmarszczyła nos.

— Czujesz? — szepnęła, pochylając się w jego stronę.

— Co takiego? — Joe skorzystał z okazji, by otoczyć ramieniem oparcie jej krzesła.

— Jedzie czymś, jakby... jedzeniem — powiedziała, pociągając nosem. — Ohyda. Jak... marynata do mięsa.

Joe zaśmiał się cicho, gdy jej włosy prawie dotknęły jego twarzy. Zauważył, że się rozluźniła, opierając wygodniej o krzesło, które wciąż obejmował.

— Coś okropnego — dodała jeszcze. — Prawie jak dział drobiowy w Waltonie.

— Rzeczywiście, coś czuję — skłamał Joe, patrząc na jej profil i drobne ręce ściskające program. Vicki pokręciła głową, rozluźniając szyję. W tym samym rzędzie siedział młody, atrakcyjny brunet, nie za wysoki, ale szeroki w ramionach. Właśnie wychylił się i pomachał ręką do Vicki, chcąc zwrócić jej uwagę.

— Masz wielbiciela — szepnął do niej Joe. Vicki spojrzała na bruneta i mechanicznie machnęła ręką, bez uśmiechu, z drewnianym wyrazem twarzy. Joe wyczuł, że znów się spięła, ale zanim zdążył zapytać, obróciła się w jego stronę.

— To były mojej przyjaciółki, Hannah. Nie znosimy go.

— Nie znosimy go? — upewnił się Joe z szerokim uśmiechem.

— Otóż to — odparła, też się uśmiechając. — A konkretniej, mamy do niego żal i czujemy się przez niego skrzywdzone. Hannah jest druhną, tą, którą zabieramy wieczorem do hotelu. Poznasz ją później.

Joe poczuł radosny skurcz żołądka. Będzie jakieś później.

Vicki zręcznie odwróciła się z powrotem do Toma, powoli, tak aby tego nie zauważył. Przyjrzała się kobiecie siedzącej obok niego — ładnej, piegowatej blondynce. Dziewczyna patrzyła przed siebie, nie zdając sobie z niczego sprawy. Siedziała prosto, ubrana w czarną sukienkę z czerwonym paskiem, w ręce trzymając dopasowaną kolorem torebkę.

— Wcale nie jest taka ładna — mruknęła Vicki.

— Daj spokój, bądźmy uczciwi. Wygląda na miłą młodą damę — odparował Joe, przysuwając głowę do jej szyi.

— No dobrze, jest atrakcyjna. Ale do Hannah jej daleko. I nie podobają mi się jej buty.

Joe wychylił się, by zobaczyć buty. Były okazałymi czarnymi szpilami z paskami wokół kostek, stylowymi i atrakcyjnymi, choć może nieodpowiednimi na tę okazję.

— Masz rację — powiedział żartobliwie. — Buty są absolutnie okropne. Ta kobieta popełniła przestępstwo przeciw elegancji.

— On złamał Hannah serce — odezwała się cicho Vicki, patrząc Joemu w oczy. — Kiedy go zobaczy z kimś innym... z tą dziewczyną... załamie się.

— Dlaczego? Byli małżeństwem? Zdradzał ją?

— Nie. Po prostu... odszedł. Kilka lat temu. Mieszkali w Nowym Jorku i on postanowił przeprowadzić się bliżej swojej rodziny w Bostonie. A ona nigdy się z tym nie pogodziła.

— Dlaczego? — Joe wciąż nie rozumiał.

— Bo... no, nie wiem. — Vicki potrząsnęła głową, niezadowolona. — Myślę, że po prostu nie przypuszczała, że on odejdzie, a jednak tak się stało. Czasem ciężko jest przejść nad takimi sprawami do porządku dziennego, prawda? Zwłaszcza jeśli miało się poczucie bezpieczeństwa i pewności.

Joe zastanowił się, czy jego partnerka, Sarah, ma poczucie bezpieczeństwa i

pewności. Nie powinna.

— Rozumiem — powiedział ciepło Joe, klepiąc Vicki po plecach.

Nagle wzdłuż rzędów krzesel przebiegła kobieta w beżowym garniturze i wycelowała palec w kwartet smyczkowy, stojący z przodu. Rozległ się marsz, niemalże ponury, który Joe rozpoznał, ale nie potrafił nazwać.

Z tyłu nadchodziły druhny, każda w czarnej sukni i pod ramię z drużbą w smokingu. Włosy wyprostowane, brwi wyskubane. Wszystkie miały na sobie identyczne perłowe naszyjniki i małe perłowe kolczyki.

Joe zachichotał, wspominając wszystkie te śluby kolegów, na których sam był drużbą. Większość owych kumpli zdążyła się już rozwieść. Odeskortował do ołtarza więcej zazdrosnych druchen wszelkich rozmiarów i figur, niż potrafił spamiętać. Z kilkoma nawet spał.

Kątem oka zobaczył, że Vicki rozpromienia się w uśmiechu, jakiego jeszcze u niej nie widział. Niemal wstała z miejsca, wyciągając szyję, by zobaczyć całą procesję.

— Która z nich to twoja przyjaciółka? — spytał Joe, kiedy mijali ich pochód, zmierzając do miejsca, w którym z założonymi rękami czekał pan młody.

— Trzecia z kolei, ta najniższa.

— Jest piękna — powiedział Joe, przyglądając się Hannah. — Masz rację, jest ładniejsza niż nasza koleżanka z nieodpowiednimi butami — dodał, wiedząc, że ją to rozbawi.

Kierowani tym samym impulsem, odwrócili się, by spojrzeć na Toma. Tak jak się spodziewali, Tom wpatrywał się w Hannah przez cały czas, pocierając czoło i krzywiąc się, gdy dotarła do ołtarza i odwróciła się w stronę gości. Stała pośrodku rzędu, obok uróżowanej pierwszej druhny, która z kolei stała nieco za blisko panny młodej, jakby chciała zagarnąć dla siebie uwagę gości.

— Widziałaś, jak Tom na nią patrzył? — Joe zwrócił się do Vicki, zaangażowany teraz w przeżycia jej przyjaciółki. Rozbawiło go, jak to zabrzmiało — jakby mówił o postaciach z telenoweli.

— Tak — odparła Vicki, zadowolona. Wciąż patrzyła na Toma. — Dokładnie taką miałam nadzieję. Właśnie o to chodziło. To było spojrzenie kogoś, kto ciężko czegoś żałuje.

— Wstajemy, bo przegapimy Bee — powiedział Joe, uśmiechając się szeroko na widok swojej ulubionej, dawno niewidzianej bratanicy.

Joe i Vicki wstali wraz z resztą gości, kiedy Bee rozpoczęła marsz w stronę małżeństwa. Kiwała głową zgromadzonym gościom, opierając się na ramieniu ojca, który prowadził ją ze stoickim wyrazem twarzy. Oczywiście, nie okazywał żadnych uczuć. Joe usiłował wyobrazić sobie swoją córkę i siebie w podobnych okolicznościach, ale — przynajmniej na razie — nie wydawało się to możliwe. Kiedy była młodsza, Cynthia chętnie się z nim kontaktowała i uwielbiała

odwiedzać go w Vegas — zabierał ją wtedy na występy, do restauracji i na wycieczki na pustynię. Jednak w ciągu ostatnich paru lat ledwie odpowiadała na SMS-y. Kiedy prosił ją do telefonu podczas rozmowy z jej matką, słyszał, jak narzeka.

Sarah próbowała go pocieszać, że to tylko dojrzewanie, ale Joe wiedział, że nie o to chodzi. Przecież to on opowiedział jej o pszczołkach i kwiatkach, to do niego zadzwoniła, kiedy pierwszy raz się zakochała, to jemu wyznała, że dostała okres — bo matce wstydziła się powiedzieć. Dojrzewanie powinno jedynie wzmocnić ich relację, a tymczasem podczas swojej ostatniej wizyty Cynthia krzyczała na niego, że ją opuścił. Krytykowała jego tryb życia i związku.

— Jesteś od niej ze dwa razy starszy — wytknęła mu krótko po tym, jak poznała Sarah.

— Właściwie to nie. Byłbym, gdyby miała dwadzieścia jeden lat. Ma trzydzieści jeden.

— I tak bliżej jej do mnie niż do ciebie — Cynthia nie odpuszczała.

— Też nie — powiedział Joe, policzywszy szybko. — Posłuchaj, jeśli jej nie lubisz, w porządku. Nie będzie przychodziła, kiedy tu będziesz. Po prostu chciałbym spędzać z tobą czas, a prawie się nie widzimy.

— Gdybyś naprawdę chciał się ze mną widywać, przyjechałbyś do mamy i do mnie, do Maine — odparła wtedy Cynthia.

Joe wrócił do rzeczywistości, gdy Vicki złapała go za ramię. Bee właśnie przechodziła obok i mrugnęła do nich. Joe poczuł, że wilgotnieją mu oczy. Zawsze jakoś łatwiej mu było złapać kontakt z nią niż z własną córką. Lubiła go jako dziecko i polubiła go jeszcze bardziej, kiedy dorosła. To wujek Joe kupował jej czekoladę, gdy jeszcze była na nią uczulona — dawał jej jednocześnie batonika i lek przeciwhistaminowy, więc kiedy wracali do domu ze spaceru po starówce, nikt nic nie zauważał. To wujek Joe zabierał ją do centrum handlowego w Columbii, gdzie kupował jej lakier do paznokci i jakieś tanie dodatki, które jej matka uważała za stratę pieniędzy.

Joe uśmiechnął się do Bee, a potem do Vicki. Przysunęli się do siebie, jak dumni rodzice.

— Wygląda perfekcyjnie — powiedziała Vicki, z oczami nagle pełnymi łez. Ramiona jej drgnęły, kiedy tłumiała łkanie. Joe przytulił ją, nic nie rozumiejąc, ale czuł się wspaniale, kiedy oparła się na jego ramieniu i położyła mu rękę na piersi.

— W porządku — szepnęła, wyciągając z kieszeni chusteczkę. Vicki pozbierała się szybko, kiedy goście siadali. — Dobrze się czujesz? — spytał, widząc, jak sztywno siedzi na krześle. Zerknęła też w bok, aby sprawdzić, czy Tom to zauważył.

— Dobrze — szepnęła. Potem, kiedy pastor rozpoczął ceremonię, dodała trochę zbyt głośno: — Właściwie to mam pierdoloną depresję.



Przed nimi siedziały dwie starsze kobiety, które odwróciły się, by posłać jej gniewne spojrzenie. Joe rozpoznał w nich siostry Donny i usiłował się nie śmiać, ale Vicki już chichotała. Nie chcąc zakłócać ceremonii, opuścili głowy i oparli się o siebie, usiłując się kontrolować. Kątem oka Joe zauważył, że Tom im się przygląda, zapewne zastanawiając się, co ich tak bawi. Patrzył zdziwiony na Vicki, po czym posłał słaby uśmiech w stronę Joego. Pastor witał zgromadzonych gości, ale Joe nie podniósł głowy. Podał Vicki rękę; chwyciła ją mocno.

*Phil*

Gdy tylko państwo młodzi powiedzieli „tak”, Phil zerwał się z krzesła i poszedł na poszukiwanie łazienki. W środku wyciągnął telefon i połączył się z ostatnio wybieranym numerem, starając się nie myśleć o zignorowanym telefonie od bukmachera. Mama odebrała po dwóch sygnałach.

— Halo? — Słysząc było po głosie, że jest chora. Dźwięk był przytłumiony, jakby słuchawkę owinięto watą.

— Nancy, twój głos brzmi okropnie — powiedział Phil, żeby ją podrażnić. Nie lubiła, gdy mówił do niej po imieniu.

— Właściwie to czuję się lepiej niż wczoraj, kochanie. Czekaj, która to godzina? Nie ma teraz przypadkiem wesela? Dojechałeś w ogóle na miejsce? — ostatnie pytanie zakończyło się kaszlem.

— Jestem na miejscu, właśnie sobie przysięgali — szeptał Phil, zastanawiając się, czy ktoś go słyszy.

Nancy zasypywała go pytaniami o ceremonię, które w większości ignorował. Jak się trzyma Barbara? Jak wygląda sukienka panny młodej? Czy Matt wydawał się zdenerwowany? W co się ubrałeś? Czy to aby jest czyste?

— Tak, mamó, czyste — skłamał Phil, zastanawiając się, czy powinien wypisać garnitur odświeżaczem powietrza, stojącym w toalecie. Stwierdził jednak, że będzie jeszcze gorzej, jeśli będzie zajeżdżał i kurczakiem, i lizolem.

— Powiedz coś o Barbarze, kochanie. Musi być taka dumna, najmłodszy syn już ożeniony. Szczęściara.

— Nie widziałem jej, mamó — mruknął Phil, któremu nie umknął przytyk. — Siedziała w pierwszym rzędzie, a ja siedziałem z tyłu. Nie chciałem nikomu zasłaniać.

Nancy nie spierała się z tym. Phil zawsze zwracał uwagę na swój wzrost, zwłaszcza na koncertach czy w kinie; czuł się jak olbrzym i wiecznie się martwił, że będzie zasłaniał innym widok. Była dziewczyna Phila, Elizabeth, która mierzyła jakieś metr pięćdziesiąt pięć, zawsze była pod wrażeniem jego empatii w tym względzie. Kiedy na drugą randkę zabrał ją do starego Charles Theater, gdzie pokazywali artystyczne filmy, Elizabeth poprowadziła go do środkowego rzędu, zamierzając zająć dwa najlepsze miejsca na widowni. Ale Phil namówił ją, żeby usiedli w ostatnim rzędzie, bo przy swoich dwóch metrach wzrostu nie czułby się dobrze, siedząc w środku i zasłaniając widok normalnym ludziom.

— Niech mnie — powiedziała wtedy zdumiona Elizabeth. — To naprawdę... uprzejme z twojej strony.

— Niscy też ludzie — odparł kąśliwie Phil, siadając w takim miejscu, by nikogo nie było za nim ani przed nią.

— Nie, to naprawdę miłe — tłumaczyła. — Po prostu nie sądziłam, że wysocy ludzie tak się tym przejmują. Ci, którzy zazwyczaj są przede mną, przeważnie mają to gdzieś.

— Moja mama ma tylko metr pięćdziesiąt. Mam w zwyczaju dbać o niskie kobiety.

— To słodkie — powiedziała wtedy Elizabeth i uśmiechnęła się ciepło. Oczywiście półtora roku później nie uważała już jego względów dla mamy za takie słodkie.

— Kochasz się we własnej matce! — wrzasnęła podczas jednej z ostatnich kłótni, trzaskając drzwiami wyjściowymi. A potem własnymi. Byli sąsiadami, więc zawsze trzaskało dwoje drzwi, jedno po drugim. Kłótnia zaczęła się po tym, jak Phil odwołał wyjazd do Virginia Beach, gdzie miał zabrać Elizabeth na długi weekend. Wszystko było załatwione, mieli mieszkać w domku, który Phil dzielił z przyjacielem na zasadach timeshare, ale w przeddzień wyjazdu Nancy zadzwoniła, że zaprasza go na obiad i że zrobiła jego ulubione danie, wołowinę z grzybami w cieście.

— Obiecałem jej, że przyjadę — wyznał wtedy Phil.

— Ale przecież mamy już zaplanowany wyjazd. Dlaczego jej o tym nie powiedziałeś? — Elizabeth była zdenerwowana.

— Wiesz, miała coś dziwnego w głosie. Samotność. Sześć godzin robiła moje ulubione danie, które już czeka w lodówce. Nie chcę, żeby była sama w ten weekend... mam przeczucie, że jeśli ją zostawię, stanie się coś złego. W przyszłym tygodniu są urodziny ojca i mama chyba się ich boi.

Wtedy Elizabeth strzeliła — najpierw dosłownie, tak kręcąc głową, że strzeliły jej kości w szyi, a potem w przenośni, podsumowując dosadnie relację Phila z matką. Poprzednio robiła najwyżej pasywne uwagi na temat dorosłych kobiet, które powinny umieć o sobie zadbać, ale tym razem nie miała żadnych hamulców.

— No popatrz, a ja myślałam, że w ten weekend chciałbyś się z kimś przespać. Chociaż może właśnie dlatego jedziesz do swojej matki?

— Daj spokój, Elizabeth — powiedział tylko Phil. Cisza wypełniła pokój i w tej ciszy przyglądał się, jak ona gotuje się z gniewu.

— Więc jedź do domu. Rób, co chcesz.

I wyszła, trzaskając drzwiami. Po kilku sekundach Phil podszedł do ściany i przyłożył do niej ucho. Zawsze gdy się pokłócili, słyszał potem przez ścianę, jak obsmarowuje go przez telefon w rozmowie z przyjaciółką lub matką, mieszkającą w Kalifornii. Zazwyczaj jakąś godzinę później słyszał głosy, męskie i damskie, co oznaczało, że włączyła telewizor — trzymał wtedy ucho przy wspólnej ścianie, aż rozpoznał, co oglądała. Zazwyczaj był to *Seks w wielkim mieście*; Elizabeth nagrywała na dysk praktycznie wszystkie odcinki tego serialu, mimo że kupiła też

całą serię na DVD. Phil go nie znosił, ale doceniał to, że serial wprawia jego dziewczynę w lepszy nastrój. Zwykle dzwonił do niej po tym, jak się pokłócili, i gdy odbierała bez słowa, mówił coś w rodzaju: „Na moim telewizorze Carrie Bradshaw wygląda jeszcze brzydziej”. Ona śmiała się wtedy i przychodziła do niego z którąś z płyt, by pooglądać serial razem z nim, przytulając się.

Ten system działał do momentu, gdy zaczęła mu stawiać ultimatum i wyznaczać terminy wprowadzenia się czy oświadczyn. Phil nie spełnił jej żądań, wobec czego ona spełniła groźbę, że zakończy ten związek. Przestała odpowiadać na telefony, a gdy spotykali się na korytarzu, wlepiła wzrok w łysiejącą brązową wykładzinę. Phil nie miał pewności, ale wydawało mu się, że przestała też korzystać z telewizora w salonie, by nie słyszał, co ogląda.

Matka pytała go parę razy, jak wygląda sytuacja z Elizabeth, i doradzała, by do niej zadzwonił, jak gdyby tego nie robił. Mówiła, że to dobra dziewczyna i że cokolwiek Phil zrobił, na pewno zostanie mu wybaczone. Niestety chodziło o to, czego nie zrobił — Phil nie poprosił jej o rękę i nie zamierzał zamieszkać z nią bez ślubu. Wy tłumaczył jej, że pochodzi z bardzo katolickiej rodziny i że to by nie przeszło. Elizabeth przypomniała mu, że jego brat miesiącami mieszkał ze swoją obecną żoną bez ślubu, ale Phil zignorował ten przykład. Mama wiedziała o tym i była wściekła, powiedział. Nie zamierzał jej tego robić.

Teraz słuchał Nancy, stojąc w toalecie country klubu, kiedy wyliczała, co syn ma przekazać Barbarze.

— Kochanie, powiedz jej, że jest dobrą matką, i że to wcale nie oznacza, że jest stara, i że przyjadę ją odwiedzić, jak tylko będę mogła. I żeby mnie odwiedziła, jeśli będzie w Maryland. Pewnie będzie tu bywać częściej, skoro mieszkają tu teściowie jej syna. I powiedz, że muszę jej dużo opowiedzieć.

— Dobrze, mam — powiedział Phil, otwierając drzwi toalety. Czekają za nimi trzech zniecierpliwionych nastolatków. — Muszę iść, przyjęcie się zaczyna.

— Nareszcie — warknął jeden z wyrostków.

Phil skrzywił się, żałując, że nie może go wyrzucić za bramę. Nagle zapragnął uciec, przed całym tym ślubem i przed telefonem od bukmachera.

— Mamo — zaczął z nadzieją — a może wyszedłbym z tego przyjęcia po godzince i przyjechał do domu? Mógłbym kupić ci po drodze jakąś zupę, a rano poszlibyśmy do knajpy na omlet, jeśli czułabyś się lepiej. I wyszedłbym z psem, żebyś nie musiała.

— Nie, kochanie — zaprotestowała Nancy tak rozkazującym tonem, na jaki tylko mogła się zdobyć pomiędzy napadami kaszlu. — Musisz zostać na weselu, aby Barbara wiedziała, że jesteśmy z nią. Poza tym nie chcę, żebyś siedział za kółkiem tyle godzin jednego dnia.

— Ale ty jesteś tam całkiem sama, mam — jęknął Phil — a tu jest masa ludzi. Ona na pewno chciałaby, żebym się o ciebie zatroszczył. Nawet nie

zauważy, że mnie nie ma.

— Nic mi nie jest, kochanie. Idź, baw się. Poznaj druhny.

— Dobrze, mamó — Phil przewrócił oczami.

— Do widzenia, kochanie.

W klubie kręciły się teraz liczne grupy gości, między stołem z koktajlami na patio a namiotem, w którym właśnie rozpoczęło się przyjęcie. Hol klubu urządzono dostojnie — przy półkach z żółknącymi książkami stały skórzane kanapy, zaś na środku dwa duże stoły. Na jednym z nich leżały diagramy prezentujące rozsadzenie gości przy stołach, na drugim ustawiono laptopa z pokazem slajdów obrazujących historię związku Bee i Matta.

Fotografie młodej pary chichodzącej w bufecie na studiach przechodziły płynnie w ujęcia na łodzi gdzieś w tropikach. Raz na jakiś czas pojawiało się starsze zdjęcie któregoś z nich: Matt z inspirowaną latami osiemdziesiątymi fryzurą typu „z przodu krótko, z tyłu długo”, pewnie w gimnazjum. Bee w college’u — na jednej fotce śmiała się wraz z dziewczyną, w której Phil rozpoznał dzisiejszą druhnę. Na zdjęciu była farbowana na blond, ale teraz podobała mu się bardziej. Phil z rozbawieniem obserwował, jak nerwowo kręciła się podczas ceremonii.

Ukazała się fotografia, która była na zawiadomieniu o weselu przyczepionym do lodówki mamy. Phil zmarszczył czoło, patrząc na Bee i Matta w jabłoniowym sadzie. Odwrócił od nich wzrok, spojrzął na schemat rozstawienia krzeseł i stwierdził, że najlepiej będzie, jak poczeka, aż większość ludzi się pousadza, a wtedy spokojnie znajdzie miejsce. Wszystko jedno, gdzie będzie siedział, i tak znajdzie się między obcymi, a na tej konkretnej imprezie właściwie nie miał ochoty w ogóle siadać. Tymczasem postanowił znaleźć jakiś telewizor i dowiedzieć się, co się dzieje; czy bukmacher dzwonił z dobrymi wiadomościami, czy wręcz przeciwnie.

Długi hol doprowadził go na tyły budynku, do komfortowo urządzonego baru. Nad kontuarem Phil z radością zauważył telewizor, przed którym siedziało trzech starszych mężczyzn, zapewne niemających nic wspólnego z weselem. Wyglądali na amatorów golfa, facetów, którzy spędzali wszystkie soboty najpierw na trawie, a potem w barze, popijając burbon, żeby jak najdłużej nie wracać do domu. Siedzieli wokół małego okrągłego stolika i z uwagą przyglądali się meczowi Maryland kontra Rutgers.

Phil patrzył na nich przez chwilę, zastanawiając się, jak bardzo byliby przeciwni chwilowej zmianie kanału. W każdy inny dzień Phil z przyjemnością przedłożyłby mecz Maryland-Rutgers nad wesele obcej osoby, ale akurat dzisiaj postawił sporą sumę pieniędzy na mecz Oregon kontra Kalifornia, rozgrywany w tym samym czasie daleko stąd. Zazwyczaj Phil nie obstawiał tak agresywnych zakładów — zawsze uważał się za zachowawczego hazardzistę, grającego dla

rozrywki. Zacisnął ręce, myśląc o tym, co go omija na kanale CBS, kiedy ESPN transmitował, jak Maryland i Rutgers nie robią, tradycyjnie, nic.

Phil miał sympatię do Oregon Ducks, ale sam przed sobą przyznawał, że szanse na ich zwycięstwo sześcioma punktami nie są zbyt wielkie. Zaryzykował na tym zakładzie pięćset pięćdziesiąt dolarów, do wygrania miał drugie pięćset, ale nie tym się martwił. Martwił się, bo w ostatniej chwili, pod wpływem impulsu, postawił też inny zakład: można było wygrać tysiąc pięćset dolarów, jeśli obstawiło się całkowity wynik meczu w systemie under/over, i Phil postawił na over, co oznaczało, że w jego interesie było, aby obydwie drużyny zdobywały jak najwięcej punktów. Jeśli Oregon i Kalifornia nie przekroczą razem siedemdziesięciu jeden i pół punktu, a Oregon nie wygra sześcioma, Phil miał do stracenia w sumie dwadzieścia dwa tysiące dolarów, a wtedy będzie musiał zastawić mieszkanie.

Takie zakłady zupełnie nie leżały w jego charakterze, ale trzy dni temu zobaczył Elizabeth na korytarzu; unikając kontaktu wzrokowego, wyminęła go w drodze do windy, umalowana tak, jak miała w zwyczaju malować się na randki. Ubrana była w to samo, co założyła na kilka bardziej eleganckich randek z nim, kiedy rezerwował stół w restauracji. Phil patrzył, jak znika w windzie, myśląc o tym, co czeka go w ten wieczór — telewizja i chipsy. Natychmiast rozsiadł się wtedy na kanapie, z piwem i wielką paczką doritos, i włączył ESPN akurat w momencie, gdy nadawali materiał o nowym napastniku z Oregonu. Świeżo przybyły z uniwersytetu w New Hampshire, robił błyskawiczną karierę. Dwa i pół piwa oraz godzinę później Phil zadzwonił do Hanka. Hank był jego bukmacherem od wielu lat, znajomym z czasów, gdy Phil grywał częściej i więcej.

— Phil, jesteś tego pewien? — zapytał.

— Facet wymiatał w drużynie UNH, podoba mi się to.

Hank milczał i wyczuwało się w tym milczeniu dezaprobatę.

— Hank, nigdy nie gonileś mnie do obstawiania. Przecież to tobie powinno zależeć, żebym ryzykownie grał.

— Bo nie jestem tak naprawdę bukmacherem — rzucił nerwowo Hank, jakby bał się podsłuchu. — Prowadzę nieformalne stowarzyszenie graczy.

— Jasne, stary. Jesteś modelowym obywatelem. A teraz zapisz mnie na Oregon, i na over.

I tak Phil tkwił w środku pola golfowego, patrząc na Maryland kontra Rutgers. To wszystko wina Elizabeth, pomyślał. Elizabeth i jej wieczorowego makijażu oraz spódnicy w kwiatki.

Elizabeth i Elana wynajmowały studio obok Phila przez ostatnie trzy lata, ale przez pierwszy rok prawie na niego nie patrzyły — jedynie kiedy mówili sobie „dzień dobry” na korytarzu i w drodze do windy. Phil wiedział, jak się nazywają, tylko dlatego, że ściany były cienkie, a skrzynki pocztowe podpisane. Elana była bardziej otwarta, miała śmiech jak czarownica z kreskówki i zmierzwione, kręcone

włosy, które bardziej elegancka kobieta pewnie by prostowała — a przynajmniej tak się Philowi wydawało. Była szczupła, ale miała dziwnie szerokie ramiona, które naciągały jej rękawy; wyglądała przez to, jakby lada chwila miała się rozrosnąć i rozedrzeć koszulę, jak Hulk. Elizabeth była bardziej atrakcyjna i — przynajmniej na początku — zagadkowa. Zajmowała się sobą, nie wdawała się w pogawędki na korytarzu i często wychodziła przed siódmą rano. Nie wystąpiła też o miejsce parkingowe przynależne do budynku, bo jeździła rowerem. Dlatego, jak również z powodu małego, diamentowego kolczyka w nosie, Phil doszedł do wniosku, że ma hipisowskie ciągoty. Jej codzienny ubiór, składający się z długich szerokich spódnic i bluzek na ramiączkach, potwierdzał tę teorię.

Przez ten pierwszy rok Phil był przekonany, że Elizabeth kogoś ma, choć nie wskazywały na to żadne przesłanki. Zawsze wracała sama, nigdy też nie widywał na korytarzu obcych mężczyzn. Ale Philowi wydawało się, że z kimś jest, może z równie atrakcyjnym hipisem — facetem z brodą, który gra we frisbee. Chciał ją odebrać temu fikcyjnemu konkurentowi, pilnował, by w korytarzu otwierać przed nią drzwi, ale nie udawało mu się nawiązać rozmowy. Wreszcie nadarzyła się okazja — prawdziwy dar od Boga, jak mówił znajomym — dwa lata temu, w piątek po Dniu Dziękczynienia, kiedy prawie nikogo nie było w budynku. Większość mieszkańców stanowili studenci pobliskiej akademii medycznej, którzy na święta wyjeżdżali do rodziców. Około jedenastej wieczorem, kiedy Phil był już po kolacji, złożonej ze słonych resztek wczorajszego indyka, usłyszał delikatne pukanie do drzwi. Stała za nimi Elizabeth, blada i spocona, uśmiechając się słabo i trzymając się za brzuch.

— Jestem Elizabeth, mieszkam obok — powiedziała, patrząc na niego zaczerwienionymi oczami. — Coś mi jest, myślę, że jestem chora. Mógłbyś zadzwonić po pomoc?

Phil odprowadził ją na kanapę. Kiedy się kładła, kopnęła stos zakurzonych czasopism sportowych, leżących na stoliku do kawy.

— Przynieść ci wody? — Phil przyglądał się jej twarzy. Wyglądała, jakby skręcał ją straszny ból. — Wiesz, co się stało?

— Po czym poznać, że trzeba wyciąć wyrostek? — spytała. — Czuję się, jakby plecy miały mi wybuchnąć.

Phil nie odpowiedział — przez sekundę po prostu rozkoszował się adrenaliną. Był przerażony, że Elizabeth umrze mu na tej kanapie, ale też czuł się podekscytowany i niemalże uskrzydłony. Od sześciu miesięcy żadna dziewczyna nie leżała na jego kanapie. Poza tym, to nie była pierwsza lepsza dziewczyna, to była Elizabeth, tajemnicza sąsiadka. Za każdym razem, kiedy widział ją wnoszącą rower do holu, wyobrażał sobie, że ją całuje. Podobała mu się jej mała, drobna sylwetka — nie mogła ważyć więcej niż czterdzieści osiem kilogramów. Czasem wyobrażał sobie, jak leżą razem, nago, ona zwinięta na nim w kłębek jak mały miś.

Kiedy znajdował czas na tego rodzaju fantazje, zazwyczaj wyobrażał sobie siebie bez włosów na klacie i z porządnym, sześćożebkowym kaloryferem, w odróżnieniu od jego prawdziwych czterech żeberek, które zmierzały w stronę dwóch z każdą kolejną kanapką z masłem orzechowym. To była tylko fantazja, a jednak tym razem miś rzeczywiście leżał na jego kanapie.

— Chyba muszę iść do szpitala — powiedziała Elizabeth, przywracając go do rzeczywistości. Wstała powoli, opierając się o brzeg kanapy, i poszła w stronę drzwi, kiwając na niego. Phil złapał kluczyki od samochodu, poszedł za nią i poczekał na korytarzu, kiedy brała kurtkę i portfel ze swojego mieszkania.

Do szpitala nie było daleko, izba przyjęć znajdowała się na tej samej ulicy. Elizabeth siedziała w aucie, trzymając ręce na brzuchu i patrząc przed siebie. Później odtransportowano ją na oddział, a Phil został z pielęgniarkami, które wyszły z założenia, że jest jej partnerem. Przyjął tę rolę z dumą i odpowiadał na pytania, udając, że wie o niej więcej, niż rzeczywiście wiedział. Potem czekał, czytając gazety, aż jedna z pielęgniarek wyjaśniła mu, że Elizabeth dorobiła się poważnej infekcji nerek, którą powinna zacząć leczyć już parę dni temu. Zapewne wystarczy kuracja antybiotykami, ale na noc chcieli ją zostawić w szpitalu — Phil mógł ją odebrać na drugi dzień. Następnie poradzono mu, żeby wziął w sobotę wolne, by się nią opiekować. Ta perspektywa wydała mu się wspaniała. Odwiedził ją wieczorem i oznajmił, że przyjedzie po nią rano, a ona spojrzała na niego z uśmiechem.

— Phil, mógłbyś zadzwonić do Elany? Powiedz jej, żeby wróciła wcześniej od rodziców, bo będę potrzebować pomocy. Dam ci jej numer.

— Dobra, zadzwonię — powiedział Phil, zirytowany, że Elana zajmie jego miejsce. Wpisał numer do telefonu, poklepał Elizabeth po ręce i wyszedł.

Wieczorem, kiedy zadzwonił do Elany i przekazał jej wiadomość, dziewczyna zaczęła tak krzyżeć, że musiał odsunąć telefon od ucha.

— O Boże! Nic jej nie jest?

— Wszystko w porządku, chciała tylko, żebyś wiedziała. Jeśli musisz zostać w święto w domu, nie przejmuj się, mogę się nią zająć. Nigdzie nie jadę.

— Jak to miło! A ja zawsze myślałam, że jesteś dupkiem — powiedziała Elana, wydając z siebie charakterystyczny chichot. — Na pewno możesz z nią zostać do niedzieli? Wcześniej nie wrócę.

— Oczywiście — powiedział spokojnie Phil, zadowolony, że Elana nie protestowała.

Następne dwadzieścia cztery godziny to był dla niego najprzyjemniejszy okres od ładnych paru lat. Zabrał Elizabeth ze szpitala do siebie i ułożył ją na kanapie. Czowała się zupełnie swobodnie, choć w zasadzie się nie znali. Zamówił jedzenie w pobliskiej knajpce z bliskowschodnią kuchnią i zaproponował jej oglądanie telewizji; zażyczyła sobie *Seksu w wielkim mieście*, co trochę go



przeraziło. Nie znosił tego serialu, zwłaszcza że wszyscy bohaterowie mówili „w międzyczasie”.

— Powtarzają to z pięćdziesiąt razy na odcinek — powiedział.

— Wcale nie — Elizabeth uśmiechnęła się, wbijając łyżeczkę w mrożony jogurt z humusem.

— Cały czas — upierał się Phil. — Nic więcej tam nie mówią. „W międzyczasie, w czasie gdy Samantha szła w miasto, ja jechałam do miasta” — Phil mówił falsetem. — „W międzyczasie Miranda ciągnęła prawniczą karierę, a Carrie przeleciała ze stu kolejnych facetów”.

— Zamknij się — Elizabeth rzuciła w niego poduszką.

Potem Phil położył ją spać w swojej sypialni, a sam rozłożył się na kanapie, walcząc ze straszliwą pokusą, by do niej iść. Kiedy Elana wróciła, byli już prawie parą. Odprowadził ją do mieszkania, a ona zaprosiła go na rewanżowy obiad. Po jedzeniu oboje inicjowali pocałunki — najpierw pod jej, a potem pod jego drzwiami — po czym poszli do niego.

Przez resztę zimy biegali w skarpetkach od jednego mieszkania do drugiego, czasem zapraszając Elanę jako trzecie koło u wozu, a czasem chowając się przed nią u niego w domu. Kiedy zaczął się sezon bejsbolowy, Phil załatwił dla dziewczyn darmowe bilety i poprosił znajomych sprzedawców, żeby dawali im od czasu do czasu gratis jakiś popcorn i coś do picia. Zabrał Elizabeth do mamy, pokazał jej, gdzie grał w koszykówkę jako uczeń, i był bardzo zadowolony, że zrobiło na niej wrażenie jego zdjęcie wśród szkolnych trofeów. Sypiali u siebie nawzajem trzy razy w tygodniu, więc Phil miał poczucie, że ma stałą partnerkę, a jednocześnie nie było to dla niego zbyt poważne.

Wszystko było cudownie do marca, pół roku temu, kiedy Elizabeth zaczęła zadawać trudne pytania. W niedzielę, tuż przed początkiem sezonu, wstała o tak wczesnej porze, o jakiej Phil nawet nie myślał nigdy o rozpoczęciu dnia.

— Nie śpisz? — spytała głośno, budząc go.

— A ty? — Phil uśmiechnął się do poduszki. Słyszał, jak strzela palcami, i obrócił się, by na nią spojrzeć, ale Elizabeth miała wzrok wbity w jeden punkt. Usta zacisnęła w wąską kreskę. — Co jest? — spytał więc, a żołądek zacisnął mu się z obawy. Wtedy opuściła wzrok i spojrzała na niego, smutna i zmęczona, jakby całe rano planowała w myślach rozmowę i spodziewała się, że pójdzie źle.

— Phil — powiedziała w końcu.

— Tak?

— Mam takie uporczywe wrażenie, że to jest to.

— Że co jest co? — spytał, ale ton jego głosu świadczył, że rozumie ją aż za dobrze.

— Chodzi mi o to właśnie, czy to jest to? Będziemy w końcu mieszkać razem? Myślisz w ogóle o ślubie, dzieciach? Znaczą, ja nie. Nie teraz. Ale w

przyszłym roku kończę szkołę, a już półtora roku jesteśmy razem, i od jakiegoś czasu mam dziwne wrażenie, że to jest to.

Phil milczał, czekając, co jeszcze powie.

— Nie masz nic do powiedzenia?

— Nie wiem, co chcesz, żebym powiedział — Phil patrzył na wyłączony telewizor u stóp łóżka. Czuł jej wzrok na policzku.

Elizabeth zaczęła płakać.

— Zawsze sobie powtarzałam, że nie będę cię naciskać. Ale w lecie jesteś zapracowany i myślałam, że chociaż w zimie jakoś poważniej do tego podejmiemy, tylko że wtedy jesteś cały czas u swojej matki. Tak co drugi dzień.

— Ona jest tam całkiem sama — odparł ostro Phil.

— Ma sześćdziesiąt lat, potrafi sobie świetnie dawać radę. Zresztą nie o to mi chodzi. Bardzo fajnie, że poświęcasz tyle uwagi swojej matce, ale to dziwne, że tak rzadko mnie do niej zapraszasz. Mieszkamy pół godziny od domu, w którym się wychowałeś, a ja byłam tam dwa razy.

— Bo na wakacje jeździsz do swojej rodziny, do Kalifornii.

— I za każdym razem zapraszam ciebie — odparła. — Nigdy nie odwiedziłeś mojej rodziny. Jest w tym coś dziwnego, Phil. Twoja mama mnie lubi, a ty zachowujesz się tak, jakbyś nie chciał, żeby mnie lubiła. Jakbyś... nie chciał się nią dzielić.

Phil milczał, choć jego żołądek zawarczał głośno.

— Więc czego ode mnie chcesz? — zapytał zirytowanym tonem.

Elizabeth pociągnęła nosem i wzięła głęboki wdech, ale jej głos brzmiał pewnie.

— Myślę, że powinniśmy zamieszkać razem.

— Nie ma mowy. To nie wchodzi w grę — powiedział, patrząc na martwy telewizor, by uniknąć jej wzroku.

— Dlaczego? — spytała, znów ze łzami w oczach.

— Po pierwsze, wcale nie byliśmy ze sobą tak długo. Po drugie, i już ci to mówiłem, moja rodzina jest bardzo religijna i tradycyjna. Nie zamieszkam z nikim przed ślubem.

— Żartujesz? Naprawdę chcesz wciągać w to Boga? — Elizabeth przytuliła poduszkę, krzyżując nogi. Wzięła kolejny wdech, żeby się uspokoić. — Przecież mówiłeś, że twój brat wprowadził się do żony przed ślubem.

— Tak — przyznał Phil niechętnie, niezadowolony, że podzielił się z nią tą informacją. — Ale ukrywaliśmy to przed mamą. Okłamywaliśmy ją, zresztą jestem pewien, że wiedziała o tym, ale na pewno jej się to nie podobało.

— Czyli mówisz mi, że nie możemy mieszkać razem, czy że zamieszkamy razem, ale będziemy musieli okłamywać twoją mamę, czy też że musimy się najpierw pobrać?

Phil znowu milczał. Nie był pewien, co dokładnie chciał przez to powiedzieć. Wychodził z założenia, że Elizabeth przeprowadzi się w końcu z powrotem do Kalifornii, bez niego. Martwiło go, że ich związek z góry jest skazany na porażkę, czasem nawet zapijał z kolegami z pracy lekki smutek spowodowany nieuniknionym zerwaniem, ale nie zastanawiał się nigdy, jak dokładnie to będzie wyglądało. Wmawiał sobie, że Elizabeth zdaje sobie z tego sprawę, że rozumie tymczasowość sytuacji. Nie pochodziła z Baltimore, nie było powodu, by miała tu zostać, a Phil nie wyobrażał sobie tak naprawdę reszty życia z kobietą, która szuka w sklepie wegańskich ciastek i chce kupić elektryczny samochód. Byli z dwóch różnych światów.

— Myślę, że podoba mi się tak, jak jest teraz. — Odezwał się łagodnie, by jej nie zdenerwować. — Nie może jeszcze trochę zostać tak, jak jest, a potem zobaczymy, co się będzie działo, kiedy skończysz studia?

Elizabeth załkała tak rozpaczliwie, że łóżko się zatrzęsło.

— Jezu, co takiego powiedziałem?

Elizabeth zrzuciła z siebie poduszkę i zerwała się z łóżka. Obeszła pokój, pospiesznie zbierając to, co do niej należało — szczotkę do włosów, płyty.

— Elana ma rację — powiedziała, rzucając mu wściekłe spojrzenie. — Mówiła mi, że tylko czekasz, aż skończę studia. Że jesteś seryjnym monogamistą, a tak naprawdę jesteś zakochany we własnej matce.

— Co ty mi tu pieprzysz? — warknął Phil. — Będziesz słuchać Elany? Ona niby tak świetnie zna się na związkach, co? Jezu. Zakochany w matce, doskonale. Nie chcę się z tobą ożenić, więc od razu jestem świrem z *Psychozy*. Rewelacja.

Elizabeth zatrzymała się, upuszczając szczotkę.

— Więc jednak. Nie chcesz się ze mną ożenić.

Phil opuścił wzrok, kładąc rękę na brzuchu. Palilo go trochę w żołądku, musiał się napić mleka.

— Nie powiedziałem tego — mruknął, krzywiąc się z bólu.

— Owszem, to właśnie powiedziałeś — odparła Elizabeth, już spokojna. Wyszła z sypialni i delikatnie zamknęła za sobą drzwi. Potem usłyszał odgłos zamykanych drzwi wyjściowych, a potem drzwi jej mieszkania. Jej nagłe opanowanie go przestraszyło.

Po krótkiej chwili Phil przemknął na palcach do kuchni, by Elizabeth nie usłyszała go w mieszkaniu obok. Przełknął szybko szklankę mleka, wyobrażając sobie, jak chłodny płyn koi jego rozdrażnione wnętrzości. Miał ochotę włączyć telewizor — nie żeby przywabić ją z powrotem ulubionym serialem, ale żeby pooglądać sport. Chciał o wszystkim zapomnieć, jednak siedział tylko bez ruchu na kanapie, przestraszony, że Elizabeth usłyszy telewizor przez cienką ścianę. To byłoby bardzo nieczułe, oglądać Sports Center po takiej rozmowie; Phil przerzucał więc kartki starych numerów „Sports Illustrated”, aż w końcu nie wytrzymał ciszy i

przekradł się do sypialni, gdzie włączył telewizor tak cicho, że ledwie rozróżniał słowa.

Trwało to całkiem długo. Tygodniami Phil skradał się jak najciszej po mieszkaniu, bojąc się coś upuścić czy rozmawiać zbyt głośno przez telefon, bo Elizabeth mogłaby przypomnieć sobie o jego istnieniu. Nerwowo atakował przyciski w windzie, jakby to mogło sprawić, że stary grat przyjedzie szybciej, a w te wieczory, kiedy były mecze, biegał sprintem od mieszkania do samochodu, żeby nie wpaść na nią, gdy będzie wracała z zajęć. Udało mu się ani razu jej nie spotkać.

Dwa razy spotkał za to Elanę. Pierwszy raz przy skrzynkach pocztowych, kilka dni po rozstaniu. Spojrzała na niego poważnie i powiedziała: „Trzymaj się”. Phil energicznie pokiwał głową.

Drugi raz spotkał ją jakieś trzy tygodnie później. Elana zatrzymała się, by z nim porozmawiać. Pytała o Nicka Markakisa, zawodnika z Baltimore, z którym każda kobieta chciałaby pójść do łóżka. Phil oczywiście go znał, widywał go praktycznie co wieczór. Udzielał jej właśnie tej odpowiedzi, gdy zauważył, że właściwie go nie słucha, tylko koncentruje się na przechylaniu głowy z boku na bok i oblizywaniu warg. Zdał sobie sprawę, że usiłuje z nim flirtować. Co za menda, pomyślał, wyobrażając sobie, że jej loki są masą syczących węży. Przez chwilę chciał nawet zadzwonić do Elizabeth i powiedzieć, że jej tak zwana przyjaciółka usiłuje się do niego dobierać.

Jakieś sześć tygodni po zerwaniu Orioles skończyli grać u siebie, wyjechali na zachodnie wybrzeże i Phil znów miał wolne wieczory. Pierwszego dnia leżał na kanapie, przełączając kanały, aż zdecydował się na powtórki *Doktora House'a*, którego upodobała sobie jego mama. Po jakichś dwudziestu minutach stwierdził, że postać pani doktor przypomina mu Elizabeth. Była od niej dużo wyższa i szczerze mówiąc, niezbyt podobna, ale była kobietą, a Phil był samotny, i myślał teraz o piersiach Elizabeth, o jej kolczyku i o tym wieczorze, kiedy pieściła go ustami, chociaż była przeziębiona, i oboje wybuchali śmiechem, gdy musiała przerwać, żeby kichnąć.

Zanim się nawet zorientował, Phil zerwał się z kanapy, żeby pójść do mieszkania obok i odzyskać Elizabeth. Potem równie gwałtownie usiadł, myśląc, że jej może wcale nie być w domu, że może nie chce go widzieć, i jak by to było — znów ją zobaczyć. Potem pojawiła się jeszcze jedna myśl: a co jeśli ona spotyka się już z kimś innym?

— Pieprzony skurwiel — warknął Phil, myśląc o hipotetycznym rywalu. Ułożył jednak bezpieczny plan: pójdzie i zapyta Elizabeth, czy ciągle ma ulotkę z restauracji Emilio's, bo wiedział, że ją ma. Kiedy odda mu menu, on zasugeruje, żeby zamówili coś razem, w ten sposób oszczędzą na dowozie. Jeśli ktoś u niej będzie albo nie będzie chciała z nim gadać, weźmie menu i pójdzie. Super, pomyślał, idąc do łazienki, by sprawdzić, czy z włosami wszystko w porządku.

Elizabeth otworzyła drzwi i wydawała się jeszcze mniejsza, niż ją zapamiętał. Nie zdążył nawet się odezwać, ledwo zauważył, że jest ubrana w jego starą koszulkę — zanim otworzył usta, Elizabeth chwyciła go za kołnierz i pociągnęła do sypialni. Jej podwójne łóżko i tak było za małe dla nich obojga, ale popchnęła go na nie, usiadła na nim i pocałowała go tak mocno, że nie mógł oddychać. Gdyby mógł mówić, powiedziałałby: „dziękuję”.

Pozwoliła mu wejść w siebie bez prezerwatywy, co do tej pory zdarzyło się tylko dwa razy: raz, kiedy pierwszy raz wyznali sobie miłość i raz pod koniec związku, kiedy oboje byli bardzo pijani. Phil patrzył, jak Elizabeth porusza się na nim, i postanowił, że ożeni się z nią i będą mieli córeczkę. Mogli nawet przeprowadzić się do Kalifornii. Podobał mu się stadion Dodgersów.

Jednak nic takiego się nie stało. Na początku lipca Elizabeth powiedziała mu, że zmieniła zdanie i nie chce już dawać im drugiej szansy.

— Myślałam, że będę tego chciała. Ale cały czas czekam, kiedy znowu wszystko trafi szlag — powiedziała spokojnie. — Miałaś rację, ja w końcu wrócę do Kalifornii, a ty zawsze będziesz tutaj.

— Jasne — mruknął Phil, bo nic innego nie mógł powiedzieć. Myślał o tym, co mówią trenerzy po przegranym meczu, żeby wypełnić ciszę na konferencjach prasowych. — Jest, jak jest.

— Nic się tak naprawdę nie zmieniło — ciągnęła Elizabeth, bez łez, ze spokojem, jakiego nie widział u niej podczas wcześniejszych rozmów o ich związku. — Nie poprosiłeś, żebym się wprowadziła, i nie zrobisz tego. Ludzie się nie zmieniają, ty się nie zmieniłeś i ja też się nie zmienię. Kocham cię, ale muszę żyć po swojemu. Oboje musimy.

Czekała na jego odpowiedź, ale on milczał. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Czy miał ją teraz, w tej chwili, poprosić, żeby się wprowadziła? Czy miał jej powiedzieć, że chce się z nią ożenić? Zanim zdążył się zastanowić, pochyliła się, by pocałować go w czoło, wstała z kanapy, otarła oczy, jakby płakała, i wyszła, uprzejmie zamykając za sobą drzwi.

Potem zaczęły się zajęcia i Phil śledził Elizabeth na korytarzu, usiłując wpaść na nią w windzie czy zrobić cokolwiek innego, by przypomnieć jej, że jeszcze mieszka obok. Zaczął wychodzić z mieszkania nawet wtedy, kiedy nie miał takiej potrzeby, i załatwiał fikcyjne sprawunki tylko po to, żeby zwiększyć szansę na spotkanie jej. Wreszcie, w ostatnią środę, udało się. Zobaczył ją na korytarzu, ubraną w najlepszy zestaw randkowy — kwiecistą spódnicę do kolan i jasnoniebieską koszulkę, jedyną rzecz w jej szafie, która miała kołnierz. W tej chwili zrozumiał, że to naprawdę koniec.

Nie minęły nawet dwie godziny, kiedy z palcami ubrudzonymi chipsami Phil zadzwonił do Hanka, żeby postawić ponad dwa kafle na Oregon.

## Rob

— Kto mówi? — pisnął Rob manierycznym falsetem. Leżał w łóżku i czytał numer „New Yorkera” sprzed dwóch miesięcy, który podkradł z działu czasopism w pracy. Właśnie zasypiał, kiedy zabrzączał telefon i Hannah zaczęła mu dyszeć do słuchawki, nie raczywszy się nawet przywitać.

— Vicki mówi, że jest brzydka, a ja uważam, że nie — wysapała Hannah drżącym głosem.

Następnie wzięła szybki wdech z inhalatora. Ktoś inny mógłby pomyśleć, że to po prostu głośny oddech, ale Rob wiedział, że to jej zwyczajowa porcja albuterolu. Znajoma sekwencja, wydech-puf-wdech, którą słyszał wiele razy w środku nocy, kiedy u niej sypiał. Z tym swoim uzależnieniem od inhalatora przywodziła mu na myśl dzieciaki z podstawówki uczulone na jad osy, ale Hannah była dorosłą kobietą i wyglądała jakoś nienaturalnie, kiedy sięgała po inhalator, ubrana w seksowną koszulkę nocną, z piersiami falującymi w rytm oddechu, zanim położyła się z powrotem spać.

— Nie nadużywaj tego, bo przestanie działać — upomniał ją. Hannah wydała z siebie coś między westchnieniem a kaszlnięciem.

— Biorąc pod uwagę stres, pyłki i to, że wszyscy tutaj palą, nie miałam okazji przestać go używać. Ale poza tym wszystko jest fantastyczne — dodała bardziej piskliwym głosem. — Pierwsza druhna dała mi jakieś magiczne pigułki.

Rob usiadł szybko, zrzucając czasopismo. Pigułki — to wyjaśniało, dlaczego jej głos brzmiał tak dziwnie. Zawsze była nerwowa, nadpobudliwa, ale teraz sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała wybuchnąć śmiechem albo płaczem.

— Jakie pigułki, Hannah? — zapytał ojcowskim tonem. — Czy to były leki na alergię? Możesz mi powiedzieć, jak wyglądały? — Wyskoczył z łóżka i poszedł do salonu, gdzie stała jego torba z mieszanką tabletek od Lucy.

— Chyba białe — powiedziała Hannah. — I okrągłe. I jedna była też biała, ale bardziej kwadratowa. A co?

Rob potarł czoło. Zmartwił się. Wiedział, że Hannah ledwo wytrzymuje mieszankę wina z lekami antyalergicznymi, a co dopiero z xanaxem albo valium.

— Nie powinnaś brać leków, które nie zostały przepisane dla ciebie — powiedział Rob, krzywiąc się na własną hipokryzję.

— I kto to mówi? — Hannah wybuchnęła śmiechem, równie zdziwiona. — Słuchaj, nie martw się o mnie. Od tych pigułek wszystko jest lepsze, jakbym oglądała świat z zewnątrz, spoza własnego ciała. Wisi mi, że Tom ma już kogoś innego, i że ten stanik wydłubuje mi dziurę w szyi. Czuję się nie do zdarcia.

Rob poddawał inspekcji każdą okrągłą i kwadratową białą tabletkę, próbując zidentyfikować te, które mogła wziąć Hannah.

— Świetnie, bardzo się cieszę, że nikt nic z ciebie nie zdiera, ale musisz mi obiecać, że nie będziesz piła. Samych tych leków wystarczy dla takiego malca jak ty, więc pij wodę.

— Piłam już wino, kiedy robiliśmy zdjęcia. Prosciutto. Smakowało jak sok jabłkowy.

— Wino i szynka?

— Jaka szynka? Nie jadłam szynki. Piłam wino, jak szampan.

— Piłaś prosecco — roześmiał się Rob. — Nie prosciutto. Prosecco.

— Nieważne. Wiesz co, Rob, nigdy nie wiedziałam, jak cię obsadzić. Próbowałam, ale myślę, że w filmie ty sam musiałbyś zagrać siebie. Myślę, że jesteś na tyle przystojny, żeby zagrać w filmie, wiesz?

— Hannah — Rob puścił torbę z lekami, żeby nerwowo przeczesać włosy, przez co zaczęły mu odstawać. — Posłuchaj mnie. Żadnego wina, żadnych pigułek. Znajdź koleżankę, Vicki albo którąś z druchen, i poproś, żeby cię pilnowała. Zadbaj, żeby ktoś zaprowadził cię bezpiecznie do łóżka. Upewnij się, że — przerwał, słysząc dobiegające z łazienki dudnienie. Brzmiało, jakby ktoś kilkakrotnie kopnął w szafkę pod umywalką: głuchy, przytłumiony odgłos, od którego trzęsły się drzwi łazienki. — Hannah, muszę iść. Uważaj na siebie, dobrze? I nie pij, a będzie dobrze.

Rozłączył się szybko i pobiegł w stronę hałasu. Zanim dostał się do łazienki, usłyszał jeszcze jeden głośny huk i piśnięcie. Otworzył drzwi i zobaczył Liz, a właściwie koniec ogona: jej głowa utknęła za sedesem, między miską a ścianą, a tułów miała przywalony przewróconą szafką z lekami, która zazwyczaj wisiała nad sedesem. Ogonem uderzała o ścianę, miała konwulsje — Rob rozpoznał rytm epilepsji — i była uwięziona. Rob zauważył, że krwawi, i kolana mu zmiękły. Szafka zraniła ją w korpus.

— Jezus Maria — krzyknął, aż echo rozeszło się po łazience. Przez chwilę łapał się tylko za głowę, powtarzając: „Jezu”.

Wreszcie doskoczył do psa i ostrożnie podniósł szafkę, odrzucając ją do wanny z taką siłą, że stłukł lustro na drzwiach. Ciężkie drewniane pudło wypełnione było przyborami toaletowymi.

Bez ciężaru na brzuchu Liz zaczęła miotać się jeszcze gwałtowniej. Patrzyła na swego pana ze zdziwieniem i paniką w oczach. W tej chwili nie miała już chyba konwulsji, ale miotła się z bólu, nieco mniej chaotycznie niż w trakcie ataku epilepsji.

— Trzymaj się, mała — powiedział Rob, kiedy zaczęła pisać. Obejrzał jej brzuch, ale krwi było za dużo, żeby ocenić faktyczny rozmiar rany. Pogłaskał ją i położył rękę na krwawiącym miejscu, jak to robili lekarze w filmach. — Wszystko naprawimy. Wszystko naprawimy, maleńka.

Wyciągnął ją spod sedesu i przeniósł przez mieszkanie, zabierając po

drodze z salonu kluczyki i portfel. Kopniakiem otworzył drzwi wejściowe, nie zamknął ich nawet i wychodząc, pocałował Liz w czoło. Trzymał ją jak dziecko, otwierając drzwi starego audi, i położył delikatnie na siedzeniach. Krwawiła na winylowe pokrowce.

— Wszystko będzie dobrze, mała — powiedział znowu, siadając za kierownicą. Przypomnił sobie wszystkie te sceny w filmach, kiedy mężczyzna przywozi do szpitala rodzącą kobietę. Radio zaczęło wrzeszczeć, wciąż nastawione na studencką stację, która w soboty nadawała blok hiphopowy. Popiskiwanie Liz utonęło w *Return of the Mac*, które zatrzęsło całym samochodem. Rob zaklął i wyłączył radio, ale potem włączył je z powrotem, ciszej, w nadziei że muzyka uspokoi Liz. Zawsze lubiła muzykę — gdy była zdrowsza, podskakiwała i biegała, słysząc *Hurricane* Boba Dylana dochodzące z odtwarzacza Roba. Kiedy o tym pomyślał, Rob znów wyłączył radio i zaczął śpiewać, mając nadzieję, że Liz rozpozna piosenkę.

*Pistol shots ring out in the barroom night,  
Enter Patty Valentine from the upper hall...*

Ponieważ nie usłyszał reakcji, Rob przeszedł na *Ballad of a Thin Man*, a potem na *Are You Ready?* z albumu inspirowanego nowo odnalezioną wiarą Dylana. Ta płyta zawsze wzbudzała u Liz dodatkowy entuzjizm, jakby sama przechodziła religijną przemianę.

Are you ready to meet Jesus?  
Are you where you ought to be?

Rob nie był wierzący, ale słowa piosenki sprawiły, że w jego oczach pojawiły się łzy. Wszystko było takie złowieszcze; zastanawiał się, czy Liz też to czuje. Śpiewał dalej, wierzchem dłoni ocierając łzy. W lusterku widział, że ma zamknięte oczy: może spała, a może słuchała. Rob wrócił do jej ulubionego *Hurricane*, międląc słowa jak Dylan. Starał się naśladować jego nosowy głos.

Przy trzeciej zwrotce dojechał na miejsce dla inwalidów przed kliniką weterynaryjną. W kilka sekund wyniósł Liz z auta — wciąż oddychała, ale ciężko, oczy miała otwarte. Wydawała się niemal rozbawiona, kiedy Rob biegł do poczekalni, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi. Było dość tłoczno, jak na sobotni wieczór, i rodziny z piszczącymi kundelkami czy nowo narodzonymi szczeniakami patrzyły na niego przerażone, gdy pędził tak z krwawiącym psem.

Zatrzymała go lekarka, której w ogóle nie znał, szczupła brunetka, wychodząca właśnie z sali operacyjnej.

— Mogę w czymś pomóc?

— Ona krwawi, spadła na nią szafka. I ma padaczkę.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Weterynarz spokojnie wyjęła mu z rąk Liz i zaniósła do pustego pokoju wyłożonego zieloną, kraciastą tapetą. Położyła ją na stole, bardzo podobnym do tego, jaki w gabinecie miał lekarz Roba — wąskiej



ławie z zielonym plastikowym pokrowcem i cienkim papierowym ręcznikiem na wierzchu.

Ładna lekarka przesunęła palcami po ciele Liz i zatrzymała je na ranie. Rob przyglądał się, jak druga kobieta w kitlu wchodzi do pokoju i wkłada rękawiczki.

— Może lepiej, żeby pan poczekał na zewnątrz — powiedziała ze współczuciem.

— Czy ona wyzdrowieje?

— Jeszcze nie wiem — powiedziała z roztargnieniem weterynarz, a druga kobieta wyprowadziła go na korytarz, zamykając drzwi dzielące go od Liz.

## Hannah

— Nie zostawiaj mnie — burknęła Hannah do Vicki, na którą czekał już kilka kroków dalej jej nowy, siwy znajomy. Nie miała pojęcia, dlaczego Vicki tak się zakolegowała ze starszym facetem, którego przedstawiła krótko jako wujka Bee. Nie było to podobne do obecnej Vicki, takiej, jaka zrobiła się po studiach. I na pewno nie było w jej stylu pałać sympatią do mężczyzny, po którym wyraźnie widać, że chce się z nią przespać.

— My będziemy dwa stoliki dalej, jeśli będziesz czegoś potrzebowała — powiedziała uspokajająco Vicki. — Jak zaczniesz wariować, po prostu się przysiądź.

— Wy? — szepnęła Hannah, zerkając na wujka Bee, który przestępował z nogi na nogę kawałek dalej. Trzymał dwa kieliszki czerwonego wina, zapewne jeden dla siebie, a drugi dla Vicki, i patrzył w stół. Hannah skrzywiła się i znów spojrzała na przyjaciółkę, która ciągle uśmiechała się do mężczyzny. — Jesteście już na etapie „my”? Ty i wujek Bee? Ile on ma lat, sześćdziesiąt?

— On jest... — zaczęła Vicki, piorunując Hannah wzrokiem. — Jest dużo młodszy od ojca Bee. A poza tym to nie tak.

Hannah złagodniała. Vicki była w dobrym humorze, a to ostatnio rzadko się zdarzało. Hannah pomasowała się po karku, myśląc, że jest po prostu zazdrosna — sama nie znalazła sobie żadnego towarzystwa na weselu, jeśli nie liczyć Dawn; ale Dawn była bardziej kierowniczką niż koleżanką. Rob oczywiście nie dotrzymał słowa — miał wspierać ją przez cały weekend, a tymczasem nie tylko nie przyjechał, ale w dodatku nie chciał rozmawiać przez telefon. Hannah przyjrzała się uważniej wujkowi Bee. Brązowy garnitur na miarę, włosy pieprz z solą, mógłby być kimś znanym. Szerokie ramiona, zadbana, prosta sylwetka. Może nie George Clooney, już prędzej Treat Williams.

— Obsadzasz go. Przestań — Vicki rozpoznała to spojrzenie.

— Dobrze.

— No, to chociaż powiedz, na kogo padło.

— Treat Williams.

Kto to jest Treat Williams?

— Grał chirurga w *Everwood*, i w ekranizacji *Hair*.

— Nie ma mowy — Vicki pochyliła się do ucha przyjaciółki. — Daj mi chociaż Roberta Downeya Juniora.

— Nie ma mowy! Chciałabyś. Jest za stary.

— Ma tylko czterdzieści pięć lat! — syknęła Vicki tak głośno, że obie musiały powstrzymać śmiech. Joe, z lekko zaczerwienionymi policzkami, posłał im zdziwione spojrzenie. Hannah uśmiechnęła się do niego kurtuazyjnie.

— To może Scott Bakula?

— Tego też nie znam.

— Ten z *Zagubionego w czasie*.

— Co to jest *Zagubiony w czasie*?

— Jaja sobie robisz? Nie wiesz, co to jest *Zagubiony w czasie*? Jakim cudem my się w ogóle przyjaźnimy?

— Wiesz, Hannah, nie wszyscy żyją z oglądania telewizji. Niektórzy z nas mają normalne zawody.

Hannah zignorowała tę uwagę z ust przyjaciółki znanej z ciężkiej depresji, która teraz wydawała się niemal rozchichotana.

— Więc jeśli to nie jest tak, to jak jest? Bo założę się, że wujek Joe chciałby się z tobą polizać, i na twoim miejscu poszłabym na to. Może do rana dałby radę zapracować na Roberta Downeya Juniora. Garnitur ma odpowiedni.

— Mogłabyś nie być obrzydliwa?

— A co w tym obrzydliwego? — Hannah starała się, by jej ton był jak najbardziej sugestywny. — Mówię tylko, że masz tu atrakcyjnego, starszego faceta, który chciałby cię rozebrać. To obrzydliwe tylko wówczas, gdy sama uważasz, że to obrzydliwe.

— Nie, to w ogóle nie tak, Hannah. To po prostu fajny facet. Ma córkę, nastoletnią, którą kocha. I Bee też. Wyposażyła restaurację, więc rozumie moją pracę. Jest fajny.

— Jak sobie chcesz — Hannah starała się skupić na słowach przyjaciółki, ale serce nagle zaczęło jej walić jak młotem. Ręce jej zdrętwiały, palce świerzbily i zaczęła się obficie pocić. Patrzyła na usta Vicki i czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła; zanotowała tylko ostatnie zdanie.

— Po prostu dobrze się z nim czuję — mówiła Vicki. — Nie wiem, może chodzi o to, że miło jest spotkać kogoś, kto uważa, że moja praca jest interesująca, nawet jeśli ja tak nie uważam... — spojrzała na Hannah uważniej, niepewnie. — Dobrze się czujesz?

— Tak — mruknęła Hannah, przyciskając dłonie do brzucha, żeby choć na chwilę złagodzić skurcze. — W porządku... chyba. Może te pigułki tak na mnie działają.

— Jakie pigułki? — zmartwiła się Vicki.

— Nic mi nie jest — wysapała Hannah, dysząc, jakby właśnie przebiegła maraton. — Idź, usiądź sobie. Jakby co, to podejść.

— No, dobra — zgodziła się z wahaniem Vicki. — Jakbyśmy się nie odnalazły, to jesteśmy w pokoju 140, zapomniałam klucza, więc trzeba wziąć z recepcji zapasowy. Gdzie masz bagaż, tak w ogóle?

— Na wieży, razem z rzeczami pozostałych druhen. Przypilnuj, żebym go wzięła przed wyjazdem.

Hannah zerknęła na swoich weselnych towarzyszy. Została wciśnięta między pozostałe drużny i ich partnerów jako dziewiąta przy ośmioosobowym stole. Dawn siedziała obok swojego męża, masywnego faceta po trzydziestce, który wydawał się całą uwagę poświęcać smarowaniu bagietki masłem.

— Nie rozumiem — jęknęła Hannah, nie walcząc już z zazdrością. — Dlaczego wy w ogóle siedzicie razem? Przypisali was do tego samego stołu?

— Idziemy pod prąd — uśmiechnęła się Vicki, machając do Joego, że zaraz przyjdzie. — Joe miał siedzieć z partnerami ojca Bee i zamierzam go od tego ocalić. Rob nie przyjechał, więc Joe może siąść na jego miejscu. Dziękuję ci, Rob.

Hannah naburmuszyła się jeszcze bardziej. Skoro Vicki miała koło siebie wolne miejsce, to powinna chyba zaprosić ją? Podchwyciła jeszcze raz, jak wymieniali spojrzenia; Joe podniósł kieliszek, wzywając Vicki. Hannah westchnęła, zdając sobie sprawę, że nie istnieje żaden dobry powód, by uniemożliwić Vicki siedzenie przy mężczyźnie, przy którym miała ochotę siedzieć.

— No, dobrze — powiedziała, pokonana. — Idę popatrzeć, jak prawnicy z południa jedzą bułki. Baw się dobrze ze Scottem Bakulą. Właściwie kto jeszcze z wami siedzi? Chyba nie Tom? — dodała, spanikowana.

— Bee nie posadziłaby mnie w pobliżu Toma. Siedzę z braćmi i kuzynami pana młodego.

— Co? Siedzisz z tym ładnym bratem? — Hannah dla odmiany przycisnęła rękę do piersi. — Siedzisz z Jimmym Fee?

— Nie wiem. Kto to jest Jimmy Fee?

— Zobaczysz — Hannah znowu poczuła zazdrość. — Spotkałam go wczoraj na próbnym obiedzie. Jest piękny, i jego dziewczyna też. Grałby go Justin Timberlake. Zrób dla mnie jakieś notatki.

— Jasne — Vicki wciąż patrzyła na nią z troską. — Na pewno dobrze się czujesz? Wyglądasz... na zgrzaną. Jakie pigułki wzięłaś?

— Takie tam, na alergię. Nic mi nie jest. Potem was odwiedzę, baw się dobrze.

— Dobra. Daj mi znać, jeśli źle się poczujesz.

Hannah mrugnęła do niej i poszła szukać swojego miejsca wśród druhen. Siadła między Dawn a Lisą, sympatyczną dziewczyną, z którą spała na wieczorne panieńskim parę miesięcy temu. Obok siedział jej narzeczony, bladej karnacji z brzydką wysypką na grubej szyi. Cory Monteith z *Glee*, pomyślała Hannah. Drapał się wokół kołnierzyka, krzywiąc się, gdy wysypka ciemniała.

— To od ciepła — szepnęła Lisa, zauważając, że Hannah się gapi. — Jest strasznie wilgotno, a ten jego garnitur to męka.

— Kochanie! — syknął Cory Monteith, zawstydzony, że narzeczona mówi o nim jak o dziecku.

— Przepraszam. Chciałam tylko wyjaśnić.

Po drugiej stronie, za bukietem hortensji, Hannah widziała Jackie dezերterkę, dłubiącą w sałatce. Spojrzawszy na Hannah, Jackie wydeła usta i uniosła brwi.

— Co z tobą? — warknęła. — Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć.

— Nic — powiedziała zdziwiona Hannah. Nie rozumiała, o co chodzi: czuła się zgrzana, ale zadowolona i podekscytowana. Stukała nogą pod stołem, chcąc jakoś rozładować rozpierającą ją energię, jednak to nie wystarczało. Czuła się uwięziona, unieruchomiona w krześle, a chciała wstać i biec, nie czekać, aż kelnerzy rozniosą sałatki. Miała potrzebę coś kopnąć albo krzyknąć na cały głos. Ścisnęła siedzenie krzesła, ale jej ramiona zdawały się mieć własne zdanie i pragnęły dotknąć sufitu. Wyobrażała sobie, jak fajnie byłoby teraz wskoczyć na bieżnię, którą mieli na siłowni w Nowym Jorku.

— Hannah, podobno pracujesz przy filmach?

Otarłszy spocone czoło, Hannah spojrzała w kierunku, z którego dobiegł głos. To nowy partner Jackie, Will laryngolog. Wyglądał na trzydzieści pięć lat, łyśiał i miał miły uśmiech. Christopher Meloni z *Law and Order SVU*, uznała Hannah. Miał śnieżnobiałe zęby i zanim się zorientowała, zaczęła je liczyć — co najmniej dziesięć zębów było widać. Zmrużyła oczy, nie odwracając wzroku od jego trójk.

Uśmiech Willa zgasł.

— Dobrze się czujesz? — spytał Will, zaś Jackie ciągle jej się przyglądała.

— Co? — Hannah kręciła się na krześle, próbując poluzować napięcie w plecach.

— Spytałem tylko, czy dobrze się czujesz. A przedtem pytałem o twoją pracę. Słyszałem, że pracujesz przy filmach i teatrze w Nowym Jorku. Brzmi ekscytująco.

— Tak! — krzyknęła Hannah. — Tak — poprawiła się, ale oczy jej się rozbiegały.

— Co dokładnie robisz? Jesteś reżyserem? Producentem?

— Boże, jasne, że nie — odparła Hannah, nieco agresywnie. Pociągnęła łyk białego wina. — Jestem specjalistką od castingu, obsadzam role w sztukach i reklamach. Ostatnio zaczęłam też robić castingi do filmów.

— Fascynujące — laryngolog pochylił się przez stół i zaczął strzelać pytaniami z taką prędkością, że Hannah zrobiło się niedobrze. — Pracowałeś może przy czymś, co widziałem? Na Broadwayu? Skąd wiesz, kogo wybrać? Spotykasz wielu sławnych ludzi? Boże, jakie to musi być fajne. Na pewno kochasz swoją pracę, nie?

Hannah zamknęła oczy. Jego słowa ją dusiły, a on nie przestawał mówić.

— Na początku studiów chciałem zająć się teatrem, jednak to nie wydawało się zbyt odpowiedzialne — ciągnął. — Ale na pewno bym to kochał. Może kiedyś

się tym zajmę. Zawsze się zastanawiałem, jak lekarze załapują się jako konsultanci do seriali medycznych, myślę, że byłbym w tym świetny. Wiesz może, jak dostać taką pracę?

Opierał się na łokciach, pochylony do przodu, wyczekując odpowiedzi. Hannah poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Złapała się za brzuch i zamknęła oczy, czując, że znów zaczyna się pocić. Zamrugnęła, by odpędzić łzy, i usiłowała zwalczyć nagłą chęć, by wyrzucić stół. Wyobrażała sobie, jak kieliszek z winem rozpryskuje się na kawałeczki, jak wypadają zęby z ust wścibskiego doktora. Czowała, jak krew dudni jej w palcach. Zacisnęła je i zamknęła oczy, ocierając nos i usta serwetką.

— Jezu, Hannah, co się dzieje? — głos Jackie brzmiał teraz łagodnie, była wyraźnie zaniepokojona.

— Nie wiem — wybąkała Hannah. Jeszcze kilka minut temu była taka spokojna. Zobaczyła Toma na sali i nic nie czuła. To znaczy czuła, chaos, ból i podniecenie, ale te uczucia były jakby kontrolowane przez jakąś siłę. Zdawała sobie sprawę, teoretycznie, że jest rozgniewana, ale tak naprawdę tego nie czuła. Założyła, że to prochy od Dawn przytępiły jej zdolność odczuwania i rozpraszały negatywne emocje. I cieszyło ją to, była wdzięczna Dawn za te tabletki. Ale teraz czuła się jak Kopciuszek o północy — jej ciało, które do tej pory zachowywało się jak luksusowa limuzyna, zamierzało właśnie zamienić się z powrotem w dynię. Jakby miała na sobie gorset, który właśnie zaczął się rozpadać. Usiłowała skupić wzrok na chłopaku Jackie.

— Na pewno nic ci nie jest? — zmartwił się laryngolog, zerkając na Dawn. Dawn przyszpilała wzrokiem swojego męża i jego trzecią bułkę. Jason Segel, pomyślała Hannah.

— Przestań — syknęła Dawn. — Wystarczy już tych bułek i ciasta.

— Ha! — zaśmiała się Hannah, a Dawn posłała jej rozzłoszczone spojrzenie. Przez chwilę Hannah poczuła się znowu normalnie. Wzięła głęboki wdech, wypuściła powietrze i wróciła do rozmowy z lekarzem Jackie.

— Zaczynałam w teatrze — powiedziała, rozluźniając się. — Zaraz po studiach, od stażu w różnych małych teatrach przy okazji festiwalu szekspirowskiego w Nowym Jorku. Potem pracowałam przy objazdowych musicalach i przemysłowych projektach dla firm. Potem w reklamie. Niedawno zaczęłam robić przy filmach, niszowych. Żadnych superprodukcji. Większość z nich obsadza się poza Los Angeles. A jeśli chodzi o konsultantów medycznych — ciągnęła, zadowolona, że znowu może rozmawiać — to nie wiem, jak to działa, ale mogę popytać. Znam...

Położyła ręce na stole. Nie tknęła nawet sałatki, ale kelner już ją zabierał, żeby postawić przed nią przystawkę.

— Pani kraby. Chyba że prosiła pani o opcję wegetariańską?

— Kraby są w porządku — powiedziała Hannah, zadowolona, że jej przerwano.

— A te filmy? — ciągnął partner Jackie, przyglądając się dłoniom Hannah, które ciągnęły teraz za końce serwetki, jakby chciały ją rozerwać. — Co to za filmy, przy których pracowałaś? Na pewno żadnego nie widziałem?

Hannah nie mogła już nic powiedzieć. Moment spokoju minął i teraz czuła się tak, jakby w piersi pęczniał jej balon, rozpierający ciało. Przycisnęła serwetkę do spoconej twarzy i zamknęła oczy, uszczęśliwiona nagłym piskiem mikrofonu, którego przenikliwe wycie sprawiło, że wszyscy goście spojrzeli na estradę. Bonnie Hunt, organizatorka, stała na środku. Odezwała się łagodnie, bardziej jak przedszkolanka niż koordynator przyjęć:

— Panie i panowie, parę słów od pierwszej druhny.

Dawn stała już obok, wyciągając rękę po mikrofon, by dorwać się do niego jak najprędzej. Ściskając go w obu rękach, przeszła przez środek parkietu, by zwrócić uwagę wszystkich. Uśmiechała się do gości i czekała, aż zamilkną, żeby zacząć przemowę.

Hannah zdumiała się, jak pięknie wygląda Dawn w migoczącym świetle. Na dworze było już prawie ciemno i twarz Dawn oświetlały białe lampki. Do tej chwili Hannah nie zauważyła właściwie tej kredki do oczu. A może to był cień? Nieważne, pierwsza druhna wyglądała jak księżniczka i jej oczy w istocie wyłaziły na wierzch. Była oszałamiająca, jak chrestna wróżka albo jak dobra czarownica z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, która pomogła Dorotce wrócić do domu. Powinna mieć skrzydła, pomyślała Hannah.

W namiocie zapadła cisza, którą mąciły teraz jedynie odgłosy przenośnych lodówek i kroki kelnerów, uwijających się między stolikami. Dawn zaczęła przemowę z tym swoim południowym akcentem w stylu Reese Witherspoon.

— Słownik Webstera definiuje siostrzeństwo jako pokrewieństwo między rodzeństwem płci żeńskiej. Ale też jako solidarność między kobietami opartą na wspólnocie uwarunkowań, doświadczeń czy problemów. — Dawn przerwała i wzięła dramatyczny wdech. — To wszystko prawda, ale ja — ciągnęła poważnie — definiuję siostrzeństwo jako Bee, moją najlepszą przyjaciółkę.

Tu przerwała, sięgając po przygotowane w pobliżu fiszki, na których spisała resztę swojej przemowy. Było ich chyba z pięćdziesiąt i Hannah usłyszała pojękiwania młodszych gości, siedzących niedaleko. Zakryła usta dłonią i stłumiła śmiech, gdy Dawn wznowiła przemówienie, co kilka zdań wstawiając długie, dramatyczne pauzy. Hannah zerknęła na jej męża, który skorzystał z okazji, by błyskawicznie posmarować masłem czwartą bagietkę i pożreć ją w zaledwie kilku kęsach. Uśmiechał się radośnie w trakcie tego wybryku.

— W zeszłym roku miałam wypadek samochodowy — mówiła Dawn, a jej głos dźwięczał jak dzwon. — Byłam przykuta do łóżka i lekarze powiedzieli, że

będę musiała nosić kołnierz ortopedyczny. Kto był wtedy ze mną, kto mnie wspierał? — Przerwała na chwilę i pochyliła się do przodu. — Nie miałam siostry — powiedziała niskim głosem dla wzmocnienia efektu, nie odpowiedziawszy na zadane przez siebie pytanie. — Ale teraz już mam.

Hannah poczuła, że się trzęsie ze śmiechu — śmiała się cicho, ale niezauważalnie. Odruchowo spojrzała na Toma, siedzącego kilka stolików dalej po prawej stronie, by zobaczyć, czy równie dobrze się bawi. Nie wiedziała, gdzie siedzi, nie odważyła się wcześniej poszukać go wzrokiem, ale teraz zobaczyła go w kilka sekund, jakby go jakoś wyczuła. Ze zdziwieniem stwierdziła, że Tom na nią patrzy, zdumiony jej śmiechem. Ich oczy się spotkały i uśmiech Hannah przeszedł w bolesny grymas. Tom przygryzł wargę.

Wciąż patrzyli na siebie, gdy Dawn kontynuowała niekończącą się historię o operacji kręgosłupa i o tym, jak Bee przynosiła jej posiłki podczas rekonwalescencji. To była najbardziej bezsensowna, egocentryczna przemowa weselna, jaką Hannah w życiu słyszała. Ani słowem nie wspomniała o mężczyźnie właśnie poślubionym przez Bee. Zupełnie pomijała temat małżeństwa. I w miarę jak przemowa się przedłużała, a właśnie dobiegała do szóstej minuty, brzmiała coraz bardziej pretensjonalnie. Dawn dyszała między słowami i sprawiała wrażenie, jakby cierpiała na histrioniczne zaburzenie osobowości.

Dziewczyna Toma, psycholog Jaime, patrzyła nieruchomo przed siebie, podczas gdy Tom i Hannah dzielili ten moment i swoją reakcję na oświadczenia i retoryczne pytania Dawn, które zawisały niezręcznie w próżni. Wciąż jeszcze patrzyli na siebie, gdy Dawn oddała wreszcie mikrofon Bonnie Hunt, zdeterminowanej, by przywrócić porządek. Uśmiech Hannah zgasł — skończyło się. Tom zareagował na jej nagle zestresowaną twarz smutnym uśmiechem i przymknięciem oczu. Potem obrócił się w stronę swojej dziewczyny, która grzebała w torebce.

Hannah nie chciała już przewracać stołu. Chciała podbiec do Toma i sięść mu na kolanach. Nie musiał już nawet zmieniać się w Paula Rudda. Wyobrażała sobie, jak szepcze jej do ucha, że wciąż ją kocha, ale tę fantazję przerwał kolejny pisk mikrofonu.

— A teraz pierwszy družba — powiedziała Bonnie Hunt, przekazując mikrofon przystojnemu bratu pana młodego, Jimmy'emu Fee. Hannah gapiała się na scenę; mimo że Tom przyglądał jej się przez salę, nie mogła oderwać wzroku od Jimmy'ego Fee, który był bez żadnej przesady jednym z najbardziej atrakcyjnych ludzi, jakich widziała w życiu. To facet, który wyglądałby dobrze w kapeluszu typu fedora, pomyślała Hannah, i dlatego do tej roli wybrałaby Justina Timberlake'a. Ale teraz, patrząc na niego, oblanego scenicznym światłem, stwierdziła, że Justin to wciąż za mało. Jimmy miał czarne włosy, które trzymały się do góry chyba bez żadnych kosmetyków, dołeczek w podbródku i pełne, niemal kobiece usta. Ubrany



w smoking, wyglądał jak James Bond, tylko nie taki zasadniczy. „Może James Franco?”, powiedziała do siebie Hannah.

Odwróciła się, by spojrzeć na Vicki, która rzuciła jej znaczące spojrzenie; zrobiło jej się od niego ciepło i miło. Potem zauważyła, że Joe przygląda im się ze zdziwieniem, jakby bardzo chciał zostać wtajemniczony. Biedny Scott Bakula, pomyślała Hannah.

Jimmy, trzymając mikrofon w luźno zwisającej ręce, miał już rozwiązaną muszkę i odpięte guziki koszuli. Uśmiechał się z zamkniętymi oczami i chwiał się lekko, zapewne pod wpływem alkoholu. Zanim zdążył się odezwać, nad stołem Vicki i Joego rozbrzmiały okrzyki innych mężczyzn z rodziny Fee, którzy wyraźnie stanowili jego fan club. Zgodnym basowym chórem zawołali:

— Fee-nomen! Jimmy Fenomen! — Najgłośniej krzyczał zapewne ten najbardziej pijany. Vicki i Joe śmiali się w głos i reszta gości też się roześmiała, głośniej lub ciszej. Ale nawet matka Bee, Donna, wydawała się oczarowana, choć to zachowanie było nieuprzejme.

— Dziękuję, chłopcy — Jimmy podniósł kieliszek jedną ręką, a mikrofon drugą. — Będę mówił krótko i do rzeczy, bo chyba nikt nie ma ochoty na więcej paplaniny.

Dawn, wciąż kręcąca się gdzieś przy scenie, zgromiła go wzrokiem.

— Zdrowie mojego młodszego braciszka i jego żony, pięknej Bee. Niech wszystkie wasze wzloty i upadki mają miejsce w pościeli!

— Dobrze mówi! — zawołał któryś z młodzieńców koło Vicki. — Za Jimmy’ego Fenomena!

Zabrzmiął śmiech i Bee zaczęła klaskać. Hannah spojrzała na Toma, przypomniawszy sobie nagle, że coś między nimi było, ale on już na nią nie patrzył. Szeptał coś do ucha swojej dziewczyny, obejmując ją. Śmiała się.

— Nie da się nie lubić tej rodziny — oznajmił partner Jackie. — Są tacy zabawni.

Hannah kiwnęła głową i wstała, postanawiając, że pójdzie do baru po następnego drinka. Czuła narastający niepokój, który przypisała reakcji tabletek z lekami na alergię, które wzięła wcześniej, i alkoholem, który piła od ślubu. Wymiana spojrzeń z Tomem pewnie też nie pomogła: wciąż mieli podobne poczucie humoru, wciąż chcieli się dzielić zabawnymi momentami. Ale nie знаła go już. Tom żył z kimś innym, miał nowe życie, w którym dla Hannah nie było miejsca.

— Białe wino proszę — powiedziała, podając kieliszek barmanowi, który nalał kolejną porcję nieokreślonego białego wina. Hannah obróciła się, by znów spojrzeć na stół Toma — jego dziewczyna rozmawiała z ich znajomym ze studiów, gościem o nazwisku Bill Cohen. Hannah nie rozmawiała z nim od zerwania z Tomem. Powiedziała wtedy Tomowi, że chce zatrzymać sobie

wszystkich nowojorskich znajomych, łącznie z Vicki, a on może utrzymywać kontakty z wszystkimi z Nowej Anglii — co oznaczało w sumie Billa Cohena, księgowego z Manchester w New Hampshire. Hannah nigdy nie była z nim jakoś blisko związana.

Obróciła się do barmana, by zabrać wino, gdy znów zadzwieczył mikrofon.

— Panie i panowie, prosimy, by wszyscy usiedli na miejscach. Nadszedł moment na tradycyjny taniec panny młodej z ojcem. Oto Bee Fee i jej ojciec, Richard!

Hannah skrzywiła się, mamrocząc: „Bifi”. Zastanawiała się, czy Bee też krzywi się na ten dźwięk.

— Cześć.

Głos dobiegł z tyłu i zaskoczona Hannah niemal oblała się winem. Ścisnęła oburącz kieliszek, by zatrzymać płyn w środku, obróciła się i zobaczyła Toma. Zaschło jej w ustach. Nie odezwała się, patrzyła tylko na niego, oceniając, czy się zmienił. Spojrzała na jego włosy, aby sprawdzić, czy się przerzedziły — kiedy byli razem, bardzo się niepokoił, że wyłysieje.

— Czy ty patrzysz na moje zakola? — spytał z niedowierzaniem Tom.

— Nie — warknęła Hannah, starając się spojrzeć mu w oczy. — Tylko... nie.

— Nie wypadają mi włosy — powiedział Tom głosem, jakiego używał zazwyczaj w kłótniach o sprzątanie łazienki albo niewyłączony piekarnik.

— Nic takiego nie powiedziałam. Jezu, Tom.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa, po czym złagodnieli.

— Słuchaj, chciałem się tylko przywitać — powiedział Tom. — Sytuacja jest niezręczna, prawda, i chciałem to jakoś załagodzić. I zobaczyć, jak się masz... — zamilkł.

Hannah się skrzywiła. Nie chciała niczego łagodzić, nie chciała, żeby było łatwiej. Chciała, żeby było tak boleśnie, jak to tylko możliwe, żeby Tom zrozumiał swój wielki błąd.

— Nie wiem, co chcesz usłyszeć — odparła, czując, że drżą jej ręce.

— Ja też nie wiem, co powinniśmy mówić. Ale chyba... chyba po prostu nie chcę, żebyś się gniewała. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego tak bardzo się złościysz. Myślę, że ja powinienem się bardziej złościć, niż rzeczywiście się...

— Nie mogę — przerwała mu Hannah, zostawiając go z otwartymi ustami. Czowała, że zbiera jej się na płacz i chciała uciec, zanim rzeczywiście się rozplacze. Obeszła go, szukając wyjścia. Słyszała, że coś jeszcze do niej mówi, ale nie rozumiała słów. Czowała się zgrzana i roztrzęsiona i próbowała sobie przypomnieć, kiedy w ogóle coś jadła.

Zastanawiała się nad zabraniami Vicki i ucieczką, zaczęła nawet iść w stronę stolika, przy którym wujek Joe i Vicki żartowali sobie z Jimmym Fee i kuzynami

Matta, ale w połowie drogi się rozmyśliła. Potrzebowała przestrzeni. Postanowiła pozwiedzać okolicę i wyszła z namiotu w stronę budynków, gdzie ciągnęły się kolejki do toalet. Minęła je i poszła wąskim korytarzem, który doprowadził ją do wygodnego baru ze skórzanymi kanapami i niskimi stolikami.

W klubowych fotelach siedziało trzech siwych mężczyzn w strojach golfowych. Patrzyli na duży, płaski telewizor nad barem i popijali coś ze szklanek. Hannah stwierdziła, że muszą być członkami klubu. Uśmiechnęła się do jednego, który ją zauważył. W odpowiedzi skinął jej głową.

Hannah spojrzała na bar. Czwarty mężczyzna, młodszy, około trzydziestki albo może czterdziestki, siedział na stołku, popijając piwo. On też patrzył w telewizor. Nawet skulony, wydawał się za wielki na barowe meble. Musiał mieć ze dwa metry. Hannah przesunęła się, by zobaczyć jego twarz. Był przystojny, w typowo męski sposób, do jakiego nie była przyzwyczajona — większość aktorów występujących w typowo męskich rolach nie była w rzeczywistości aż taka męska. Nie знаła też zbyt wielu aktorów, którzy mieli więcej niż metr siedemdziesiąt pięć. Oczywiście od razu zaczęła przeglądać w głowie katalog w poszukiwaniu odpowiedniego kandydata. Matthew McConaughey, pomyślała. Ale nie. Ten facet miał na czole delikatne zmarszczki, jak ktoś nawykły do zmartwień. Potrzebny jest ktoś poważniejszy. Clive Owen. Nie, też nie. Zbyt poważny. Ten mężczyzna, przy całej swej męskości, miał w sobie jednak coś chłopięcego. Będzie wyglądał młodo, nawet gdy się zestarzeje.

Ubrany był w pognieciony garnitur z pomarańczową plamą na łokciu. Z pewnością należał do gości weselnych, na pewno nie był golfistą. Poruszał bezgłośnie ustami, robiąc w myślach jakieś obliczenia. Hannah, odwodniona i zgrzana, siadła obok niego, postawiła na barze swoje wino i poprosiła o wodę.

— David Boreanaz — szepnęła do siebie, i mężczyzna się odwrócił. —  
Zdecydowanie David Boreanaz.

## *Phil*

Phil odwrócił się w panice od telewizora, by nie widzieć wyniku meczu. Przygryzł wargę tak mocno, że zaczęła mu lecieć krew; wziął łyk piwa, by złagodzić ból. Jeśli Oregon i Kalifornia nie dokonają cudu w ciągu pięciu minut, straci ogromną sumę pieniędzy, i nie bardzo miał ochotę na to patrzeć. Nie na radosnych, wiwatujących fanów w niebiesko-złotyach strojach.

Poza tym wiedział, że trzech bywalców klubu przygląda mu się od momentu, gdy zgodzili się na zmianę kanału. Kątem oka widział, jak obserwują jego reakcje na nieudane zagrania i pierwsze próby. Słyszał nawet, jak starszy z nich, który pewnie miał kłopoty ze słuchem, woła: „Założymy się, ile facet ma do stracenia?”. Koledzy go uciszyli, ale śmiali się i patrzyli na Phila z nadzieją, że sam im powie.

Phil odstawił butelkę piwa na bar i zauważył, że obok niego siedzi kobieta, której jeszcze przed chwilą nie było. Rozpoznał ją, była tą najniższą druheną, z największym biustem. Widział ją też na zdjęciu na pokazie slajdów w holu. Nie da się nie patrzeć na dekolt w takiej sukience, myślał Phil, usprawiedliwiając się sam przed sobą, jakby słyszał Elizabeth zwracającą mu uwagę. To naprawdę nie jego wina. Suknie drухen były bardzo szykowne, długie i czarne, ale miały głębokie dekolty w kształcie litery V, które odsłaniały bardzo dużo, jeśli tylko kobieta nie była płaska jak deska.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Miała szkliste oczy. Trzymała dwa napoje, kieliszek z winem w jednej ręce i półlitrową szklankę czegoś, co wyglądało jak woda.

— Powiedz mi, że to nie jest woda, tylko wielka szklanka ginu — powiedział Phil, ośmielony jej uśmiechem. Przyjrzał jej się bliżej. Pociła się, głównie na twarzy, i wycierała usta serwetką. Poprosiła jeszcze o dietetyczną colę, zanim odwróciła się do niego z zakłopotanym uśmiechem.

— Trzy różne napoje? — Phil zmartwił się, że dziewczyna zacznie wymiotować. — Dobrze się czujesz?

— Wyglądam strasznie, prawda? — powiedziała, jednocześnie zawstydzona i przestraszona. — Jak wariatka, prawda? Bardzo źle wyglądam?

Phil nie wiedział, co dokładnie powiedzieć, bo nie miał porównania. Widział ją tylko raz, kiedy szła w orszaku panny młodej do ołtarza. Mimo że się pociła, wydała mu się bardzo atrakcyjna.

— Wyglądasz na trochę zagubioną. Jakby brała cię jakaś choroba albo jakbyś za dużo wypila.

— Wypiłam trochę za dużo wina, wzięłam leki na alergię i jeszcze jakieś tabletki — usprawiedliwiała się. — Powinnam pewnie wrócić do hotelu i tam

zemdleć.

— Ale ominąłby cię tort — odparł Phil. Nagle stwierdził, że nie chce, aby odchodziła.

— Masz rację. Chcę spróbować tortu — powiedziała, uśmiechając się jak dziecko.

— Ja też. Dlatego tu jestem.

— Jestem Hannah. Ty jesteś pewnie przyjacielem pana młodego?

— Nie bardzo — Phil z uśmiechem potrząsnął głową.

— Czyli panny młodej? Jesteś krewnym Bee?

— Nigdy jej nie spotkałem — odparł, ciesząc się chwilową rolą tajemniczego gościa.

— Czyli na krzywy ryj? — Hannah ścisnęła szklankę dietetycznej coli i zamachała nogami. Phil uznał, że już wystarczy.

— Moja mama jest przyjaciółką mamy pana młodego. Właściwie to ona została zaproszona, ale się rozchorowała i poprosiła, żebym przyjechał zamiast niej.

— Dziwne — Hannah przekrzywiła głowę.

— Nie chciała, żeby jedzenie się zmarnowało — wyznał Phil i zdał sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało. — Chciała, żeby ktoś reprezentował rodzinę. Może faktycznie trochę to dziwne, ale ona naprawdę uwielbia tych ludzi i chciała, żeby ktoś z nimi był. Nie żeby to było potrzebne, jest tu chyba z pięćset osób o nazwisku Fee.

— To miłe ze strony twojej mamy — Hannah pociągnęła łyk coli i posłała mu oskarżycielskie spojrzenie. — A byłoby jeszcze milej, gdybyś faktycznie reprezentował rodzinę na weselu, a nie oglądał mecz w barze.

— Słusznie — Phil odwrócił się twarzą do niej, a plecami do trzech golfistów, którzy zapewne omawiali teraz jego uwodzicielskie umiejętności. — Ale ty też się tu chowasz. I jeśli cię to pocieszy, to dostaję właśnie szału, bo przegram zakład postawiony na ten mecz. Więc nie bawię się tu za bardzo.

— Znaczący obstawiłeś wynik tego meczu? Tego, co właśnie leci? — Hannah, zdziwiona, spojrzała w telewizor.

— Tak. I za jakieś dwie minuty stracę dwa tysiące dolarów — powiedział Phil, nie uśmiechając się już.

— Czyli to taki hazard, tylko związany ze sportem? — ciemne oczy Hannah się rozszerzyły. — Taki prawdziwy zakład?

— No, obstawiłem zakład u bukmachera, kumpla mojego brata. W tym tygodniu, zależnie od tego, jak się skończy mecz, albo dostanę kopertę z pieniędzmi, albo oddam kopertę z pieniędzmi. — Phil nie wiedział, dlaczego jej to mówi. Czuł się idiotycznie.

— Masz bukmachera? — dziewczyna uśmiechała się szeroko,

zainteresowana.

— To nie jest taki prawdziwy bukmacher. Jak mówiłem, to kolega mojego brata.

— To nawet ekscytujące — oceniła Hannah, patrząc w telewizor. Potem zwróciła na niego przekrwione oczy, wyraźnie czekając na odpowiedź.

— W sumie to głównie zabawa — powiedział więc. — Jakieś zajęcie.

— A jeśli nie masz pieniędzy, żeby mu zapłacić, to będzie jak z mafią? Zabije cię?

Phil stwierdził, że czuje sympatię do tej dziewczyny, nawet jeśli nie był w stanie ocenić, czy się z niego nabija.

— Mam te pieniądze. A jeśli przegram, jestem mu winien i spłacam dług. To miły facet.

— A przegrasz? To pewne?

Phil spojrział na ekran, gdzie Golden Bears z Kalifornii ściągali kaski i się obejmowali. Potrząsnął głową. Sytuacja była zła, ale okoliczności odwracały jego uwagę.

— Pewne — powiedział z lekkim uśmiechem. — Właśnie przegrałem. Dziękuję wam bardzo, Oregon, za niezrobienie niczego.

— I co teraz? — spytała Hannah ze współczuciem, pociągając łyk wody.

— Nic — Phil wzruszył ramionami. — Zapłacę. Albo to, albo postawię na Tęczę i pójdę do łóżka.

Hannah uniosła brwi.

— To jakiś żart o gejach? Stawianie na tęczę?

— To takie powiedzenie — Phil odwrócił się od telewizora, kiedy barman przełączył z powrotem na ESPN. — Tak mawiamy my, hazardziści — dodał, podśmiewając się z jej zdumienia słowem „bukmacher”. — Tęczą to drużyna uniwersytecka z Hawajów, The Rainbows. Ludzie, którzy obstawiają mecze w rozgrywkach uniwersyteckich, mają takie powiedzenie, że jeśli słabo stoisz i chcesz nadrobić straty jednym zakładem, to ostatnią grą, na jaką możesz postawić, jest mecz na Hawajach. Z powodu różnicy czasu. Więc gracze, a w każdym razie mój brat Mickey i jego kumple, mówią, że jeśli masz kłopoty, to najlepiej postawić całe pieniądze na Tęczę i iść spać. Kładziesz się z nadzieją, że kiedy wstaniesz, okaże się, że wygrałaś.

— Albo jest jeszcze gorzej i dług jest jeszcze większy — powiedziała Hannah. — Jeśli Tęczą przegra.

— No tak. Ale to tylko powiedzenie. Sam nigdy nie stawiałem na Tęczę, w każdym razie nie po to, żeby się uratować.

— Stawiać na tęczę — powiedziała powoli Hannah, a oczy zaszkliły jej się jeszcze bardziej. — Podoba mi się. Brzmi jak stara piosenka country.

Phil uśmiechnął się, patrząc, jak dziewczyna bierze z baru następną

serwetkę, by bez zażenowania wytrzeć usta.

— To skoro już się kumplujemy, muszę ci powiedzieć, że wydajesz się spanikowana. Na pewno nic ci nie jest? Pocisz się jak mysz, powiedziałbym, że też masz obstawiony duży zakład.

Hannah skrzywiła się i złapała za brzuch.

— Kurczę, przepraszam — wystraszył się Phil. — Nie moja sprawa, nie powinienem się wtrącać.

— Nie, nie. Nic mi nie jest. Tylko bardziej podobała mi się rozmowa o tęczy.

— W porządku. Na każdym weselu musi być ktoś nieszczęśliwy — powiedział Phil. — I zazwyczaj jest to jakaś druhna, prawda? Zawsze gdy jestem na weselu, jakaś kobieta ucieka z płaczem do łazienki.

Hannah skinęła głową, rozbawiona.

— To był po prostu ciężki weekend. Poza tym są tu osoby, których wolałabym nie oglądać, w dodatku za dużo wypłam i wzięłam nie swoje leki. Może powinnam postawić na Tęczę i iść do łóżka.

— Czemu nie? — powiedział Phil tonem tak sugestywnym, że aż się zawstydził. Odkaszlnął, chcąc zmienić temat, żeby rozmowa się nie skończyła. — Zakładam, że jesteś jakimś superprawnikiem, tak jak państwo młodzi?

— Ja? Nie, ale znam Bee ze studiów w Syracuse.

— Big East — Phil kiwnął głową z zadowoleniem.

— No — mruknęła Hannah, nie rozumiejąc, o co chodzi. — Poznałam Bee na pierwszym roku, w akademiku. Potem ona poszła na prawo, a ja jestem specjalistką od castingów w Nowym Jorku.

— Castingów? Do filmów? — teraz Phil był równie zafascynowany, jak przedtem ona, gdy rozmawiali o hazardzie.

— No, tak. Małe filmy, ale dobre. Niezależne. I reklamy, dużo reklam.

— Reklamy? — zawołał Phil z entuzjazmem, jakby obsadzanie ról w reklamach było większym osiągnięciem, niż szukanie talentów na wielki ekran. — Pracowałaś przy jakichś reklamach, które widziałem? Na przykład przy reklamach piwa?

— Piwa nie — powiedziała Hannah, uszczęśliwiona, że ten mężczyzna jest pod wrażeniem właśnie tego, co Tom w jej pracy najbardziej krytykował. — Ale robiłam reklamę dla sieci barów ze stekami Tripledog.

Phil usiłował przypomnieć sobie reklamę Tripledoga. Mieli dwie placówki jakieś dziesięć minut od jego miasta i czasem jadał tam z mamą, gdy była zbyt zmęczona, żeby gotować. Zamknął oczy, nucąc ich melodię.

— Pamiętam reklamę Tripledoga z kowbojem. Takim gejoskim kowbojem, który łapie świnię na łące, a potem jakaś rodzina zjada ją na pikniku.

— Zatrudniłam tego gejoskiego kowboja — powiedziała Hannah,

rozpierając się na stołku i kładąc łokieć na barze. — Tak w ogóle to nie planowaliśmy, że będzie gejowskim kowbojem. Miał być po prostu kowbojem. Nie wydaje mi się, żeby jego orientacja seksualna miała znaczenie dla reklamy.

— No, ja uznałem, że jest gejem. Wszyscy moi kumple nabijali się z tej reklamy.

— No, w życiu prywatnym chyba rzeczywiście jest gejem. Jeśli dobrze pamiętam, to wszyscy faceci, którzy się zgłosili do tej reklamy, byli dość delikatni. Ten kowboj był chyba najbardziej hetero na całym Manhattanie.

— Nieźle — Phil lekko szturchnął jej stopę. — Siedzę tu z kobietą, która stworzyła gejowskiego kowboja z reklamy Tripledog. Powinienem poprosić cię o autograf.

— Łatwo zrobić na tobie wrażenie — powiedziała Hannah, oddając szturchnięcie.

— Nie, no, to poważna sprawa. Pamiętam, jak parę lat temu pojechałem na ryby z bratem i jego kumplami, jak co roku, widzieliśmy tę reklamę i zaczęliśmy ją odtwarzać. Mój brat próbował złapać na łąsku puszkę piwa i cały czas kręcił biodrami. Kto by chciał pracować przy filmach, skoro może robić reklamy steków Tripledog?

— No, ja to właśnie chciałabym robić, obsadzać filmy, które mają prawdziwą widownię. I jestem blisko. Możliwe, że będę pracować przy filmie z Natalie Portman. Właściwie która jest godzina na Wschodnim?

— Brzmi rewelacyjnie — Phil zignorował jej pytanie. Zerknął na ich zetknięte nogi, dopijając piwo.

— Jest fajnie, pod warunkiem że nie pojawia się rywalizacja i stres — zgodziła się Hannah. — Spróbuj.

— Co masz na myśli?

— Spróbuj nas obsadzić. Ludzi w tym pokoju. Cały czas tak robię, żeby trenować umiejętności. Znajdź kogoś dla nas. I dla tych gości — Hannah niezbyt dyskretnie wskazała na trzech starszych mężczyzn po drugiej stronie sali, którzy pochylali się teraz w ciszy, usiłując usłyszeć jak najwięcej.

— Mam ich obsadzić? — Phil zmierzył trio rozbawionym wzrokiem. — Znaczący wybrać aktorów, którzy zagraliby ich w filmie?

— Właśnie.

Phil zastanawiał się przez chwilę.

— Jak się nazywa ten facet ze starych reklam owsianki?

— Wilford Brimley?

— Tak. On by ich wszystkich zagrał.

— Tak nie można. On może zagrać tylko jedną postać. Wybierz następnego.

— Dobra. Jak się nazywa ten lokaj z *Batmana*? Ten Anglik.



— Chodzi ci o Alfreda? — spytała rozbawiona Hannah.

— No. Tego starego.

— Zależy, o którego *Batmana* ci chodzi. W *Batmanie* Tima Burtona to był Michael Gough i jestem pewna, że już nie żyje. W tych nowszych filmach to jest Michael Caine. Na twoim miejscu wybrałabym Michaela Caine'a, pod warunkiem że byłoby cię na niego stać, panie specjalisto od castingów.

— Dobra. Więcej starych gości nie kojarzę. Chyba tylko tyle mogę zrobić.

— A co z nami?

— O co ci chodzi? — Phil spojrział na jej szelmowski uśmiech i posłał jej taki sam.

— Obsadź nas. Kto by nas zagrał w filmie?

— Jakbym wiedział, że będę dzisiaj grał w filmie, zaniósłbym garnitur do pralni — zaśmiał się Phil.

— No, dawaj. Wejdź do gry. Wszystko jest filmem. Wilford Brimley, Michael Caine... może Ed Asner jako ten po lewej. A teraz powiedz mi, kto zagrałby nas.

— Dziwne — mruknął Phil, niemal do siebie. — Wszyscy aktorzy kina akcji, wszyscy, którzy grają w moich ulubionych filmach, są o wiele za niscy. Dlaczego tylko niscy goście grają bohaterów w kinie akcji?

— Bo w Hollywood wszyscy są niscy. Małe ciała, duże głowy, nie więcej niż metr siedemdziesiąt pięć. To bardzo znaczące, że chcesz dla siebie bohatera akcji. Jesteś agentem FBI? Czy coś? Tajnym agentem z własnym bukmacherem?

Phil pomyślał o swoim uniformie ochroniarskim.

— Coś w tym rodzaju — odpowiedział ze śmiechem. — Jestem jakby agentem i muszę umieć wmieszać się w tłum.

Przyjrzał jej się uważniej, zastanawiając się nad aktorką, która mogłaby ją zagrać w ich zmyślonym filmie. Ale sławne kobiety, o których myślał późno w nocy — Winona Ryder albo ta aktorka z *Doktora House'a*, która przypominała mu Elizabeth, albo, z niewiadomych przyczyn, Heather Locklear — nie nadawały się. Spojrział w jej ciemne oczy, na wysportowaną mimo dużego biustu sylwetkę i bladą skórę. Miała pełne usta i drobne zmarszczki wokół oczu, pierwsze oznaki starzenia, które mu się podobały. Kiedy się uśmiechała, stawały się wyraźniejsze.

— Mam — zawołał nagle, pochylając się w stronę Hannah, gdy odbierała od barmana kolejny kieliszek wina. — Ty jesteś dziewczyną z *Titanica*, a ja jestem Larry Bird.

— Larry Bird?

— Larry Bird. Boston Celtics. On by mnie zagrał w filmie. Grałem na studiach w koszykówkę, chcę, żeby zagrał mnie koszykarz. Larry Bird, ale z 1984 roku.

— Czekaj. Znowu oszukujesz — zaprotestowała Hannah, popijając wino

dietetyczną colą. — Nie możesz wybierać aktorów z przeszłości. Film kręcimy teraz. Jeśli ma cię zagrać Larry Bird, to jest to współczesny Larry Bird. On umie grać? A w ogóle on żyje?

— Nie wierzę, że o to pytasz. Jezu.

— Dobra. Więc ciebie gra stary koszykarz, a ja jestem Kate Winslet. Swoją drogą, to idiotyczne. Wyobrażasz sobie ich scenę łóżkową? Ohyda.

Phil uśmiechnął się zwycięsko.

— Więc w tym filmie o nas, dzisiaj, uprawiamy seks?

— Eee, ja... — Hannah odstawiała szklankę, zawstydzona — mam na myśli, że w filmie zawsze jest scena seksu. Larry Bird może sobie uprawiać seks, z kim chce.

Phil poczuł, że się rumieni, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Hannah przełknęła najpierw wino, potem dietetyczną colę, i zapytała z naciskiem:

— Skoro poruszamy kwestie osobiste, kogo byś wybrał na miłość swojego życia? W filmie o sobie kto by zagrał twoją drugą połowę?

— Co? Znaczy z którą aktorką najchętniej bym się przespał?

— Nie. Chodzi mi o coś więcej. Możesz wybrać jakąkolwiek aktorkę, żeby zagrała panią Birdową. Kto by to był?

— Najpierw ty — powiedział Phil. — Kto jest panem Winslet?

— Paul Rudd — odparła natychmiast Hannah. — Dla mnie to jest i zawsze będzie Paul Rudd.

— Następny konus — westchnął Phil, przewracając oczami.

— O gustach się nie dyskutuje — powiedziała Hannah poważnie. — Teraz ty.

— No, jeśli mowa o drugich połówkach — Phil starał się, by jego głos brzmiał lekko — to chyba wybrałbym tę aktorkę z *Doktora House'a*. Tego serialu o kulejącym lekarzu. Tak, miła pani doktor zagrałaby panią Bird. Przypomina mi moją byłą.

Hannah posłała mu dziwny uśmiech. Phil zmartwiał, zdając sobie sprawę z tego, co właśnie powiedział. Aktorka, która przypominała mu Elizabeth, byłaby jego filmową żoną. Jakby czytając w jego myślach, Hannah podniosła się z barowego stołka i zabrała kieliszek z winem, zostawiając niedopitą colę i wodę. Wilgoć ze szklanek ściekała na drewniany blat.

— Koniec przerwy, chyba powinnam wracać — rzuciła swobodnie.

Phil nie krył rozczarowania. Wstał i podszedł do niej.

— Nie musisz wracać. Nikt nie zauważy, wszyscy są już pijani.

Hannah podniosła głowę, by na niego spojrzeć. Na stojąco było między nimi co najmniej trzydzieści centymetrów różnicy.

— Jestem druhną i to mój obowiązek. Przykro mi, że zawiódł się pan na Oregon kontra Kalifornia, panie Bird.

— W porządku, zdarza się.

Hannah ruszyła w stronę wyjścia, a Phil, ku swojemu zdumieniu, zawołał za nią:

— Może się jeszcze spotkamy? — Po czym zwiesił głowę, zawstydzony swoim głośnym krzykiem. Kiedy ją podniósł, patrzyła na niego zamglonym wzrokiem.

— Może jeszcze porozmawiamy o tęczęch — odparła stłumionym głosem.

— Dobrze — mruknął.

— Żegnaj, Larry.

Patrzył, jak znika w korytarzu, a za nim Wilford Brimley, Michael Caine i Ed Asner zaczęli powoli klaskać.

## Rob

Pani weterynarz wyszła przez białe wahadłowe drzwi i stanęła nad Robem, który siedział skulony na podłodze, opierając plecy o automat z czymśtam.

Wziął głęboki oddech i zmusił się, by spojrzeć jej w oczy, gotów błagać, by powiedziała mu to, co chciał usłyszeć. Drżącymi rękami wyciągnął portfel z tylnej kieszeni; przy okazji wypadły z niej trzy rachunki i banknot jednodolarowy. Usiłował wyciągnąć srebrną kartę kredytową spomiędzy plastikowych przegródek, ale palce odmawiały mu posłuszeństwa.

— Dam, ile trzeba — oznajmił, zanim weterynarz zdążyła się odezwać. Nie uda jej się przekonać go do uspienia Liz. — Mam kartę kredytową, mogę ją obciążyć. Przecież więcej niż tysiąc to nie będzie kosztowało, prawda? Dam radę.

— Proszę pana, jej już nie ma — powiedziała delikatnie weterynarz.

Rob gwałtownie podniósł głowę.

— Co? Co to znaczy?

Lekarka usiadła obok niego i położyła mu rękę na ramieniu.

— Panie Nutley, jest mi naprawdę bardzo przykro.

— Nie rozumiem. Mówi pani, że muszę ją uspić?

— Panie Nutley — weterynarz zamknęła oczy — ona już śpi. Przyszedł na nią czas.

Rob poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Minęły lata, odkąd ostatnio płakał, i wilgoć na twarzy wydawała mu się obca. Otarł ją kołnierzykiem koszulki.

— Nie przyszedł na nią żaden czas — powiedział gniewnie. — Spadła na nią szafka łazienkowa. To nic naturalnego.

Rob zobaczył, że z drugiego końca poczekalni przyglądają mu się mężczyzna w średnim wieku i jego córka. Dziewczynka trzymała na kolanach śpiącego królika i miała czerwone oczy, jakby przygotowywała się na podobne wieści.

— Proszę pana, nie chodzi tylko o wypadek. Ona była bardzo chora. Nawet gdyby nie spadła na nią ta szafka, nie zostałoby jej wiele czasu. Zrobił pan dla niej, co się dało. Widziałam w karcie, że dzięki panu i tak żyła dłużej, niżby żyła z kimś innym. Musi pan pozwolić jej odejść.

— Pierdolona skrzynka z Ikei — warknął Rob, drżąc, gdy łzy spływały mu po policzkach. — Powiesiłem ją na jakimś jednym pieprzonym wkręcie. Musi ważyć chyba z osiemnaście kilo. Nie wiem, co mi przyszło do głowy.

— Wiele osób już dawno by ją uspiło. Pan bardzo dobrze się nią opiekował i nie ma w tym pana winy. Ona już nie cierpi. Jest z Panem Bogiem.

Rob spojrział na złoty krzyżyk lśniący na szyi lekarki. Nie był wierzący, ale pocieszało go jej przekonanie, że Liz jest w niebie. Nie wierzył w niebo dla ludzi,

ale kiedy pierwszy raz Liz się rozchorowała, czasem pocieszał się, myśląc, że czeka ją drugie życie, w którym będzie mogła jeść czekoladę bez nudności i doświadczyć życia bez ataków.

— Może pani stwierdzić, ile by jeszcze żyła, gdyby nie wypadek? — spytał cicho. — Kiedy by umarła, wie pani, naturalnie?

— Nie można tego stwierdzić. Może parę miesięcy, może rok, może kilka tygodni. Nie da się tego przewidzieć. Panie Nutley, czy chciałby pan do kogoś zadzwonić? Kogoś, kto mógłby po pana przyjechać i pomóc panu podjąć decyzję odnośnie do ciała? Dojechać do domu?

Rob pomyślał o Lucy, ale przecież Lucy dawno odeszła. A nawet gdyby wciąż z nim była, nie na wiele by się przydała. Lucy Barber nie miała współczucia dla słabości.

Potem pomyślał o Hannah, która teraz pewnie tonęła we łzach albo może w prosecco, czy też, jak je nazwała, prosciutto. Zażęknął za nią nagle. Przypomnił sobie, jak przytulał się do niej w łóżku i jak brała prysznic po powrocie z baru na Marshall Street; wychodziła wtedy z łazienki, pachnąc wanilią i talkiem, i Rob nazywał ją „ciasteczkiem z pościeli”, a ona chichotała. Pamiętał, jak łatwo mu się z nią rozmawiało, jak unikał alkoholu podczas wizyt u niej, żeby móc bardziej cieszyć się rozmową. Pamiętał też, że poranki były zimne, i że wraz ze wschodem słońca powstawał między nimi mur. Zawsze obawiał się tych poranków.

Nigdy nie doszedł do tego, czy tłumił w sobie uczucie do niej, żeby nie skrzywdzić Bee, czy dlatego że bał się odrzucenia; bał się, że Hannah odpowie zdecydowanym „nie” i spojrzy na niego lodowato, jak zawsze wtedy, gdy budził się w jej mieszkaniu. A nawet gdyby chciała czegoś więcej, Rob wcale nie był pewien, czy jego dwudziestoletnia wersja byłaby w stanie to rozważyć. Był trudny na studiach, czasem przykry. Nie bardzo wtedy siebie lubił. Nigdy by się jej nie przyznał, że wyczekiwał tych nocy, że po tym, jak przestał ją odwiedzać i zrezygnował z życia na uczelni, przeszedł okres kompletnego wycofania.

Wiedział, że gdyby Hannah była z nim teraz, mówiłaby miłe rzeczy o tym, co zrobił dla Liz. Mówiłaby to, co należało powiedzieć; tak samo jak on mógł uratować ją przed jej ulubionym rytuałem użalania się nad sobą, który pewnie odprawiała właśnie w Annapolis. Ale Hannah była daleko, a z ich znajomości zniknęło niepostrzeżenie dziesięć lat.

— Jestem sam — powiedział lekarce, i zabrzmiało to bardziej dramatycznie, niż chciał. Pielęgniarka w średnim wieku podeszła do niego z pudełkiem chusteczek; Rob przyjął jedną z ociąganiem. — Co się stanie z ciałem? — zapytał jeszcze, starając się mówić konkretnym, stanowczym tonem.

— Cóż, niektóre rodziny same chowają swoje psy — odparła weterynarz, siedząc wciąż na podłodze. Mamy też umowy z dwoma cmentarzami dla zwierząt w okolicy. Mogę dać panu ich prospekty, są tam ceny. Jeśli się pan zdecyduje,

może pan zostawić tu Liz i oni po nią przyjadą.

Rob potrząsnął głową na myśl o kimś obcym grzebiącym ją w ziemi.

— Sam to zrobię — powiedział. — Pochowam ją w ogródku.

W ogródku okazało się, że ziemia jest twardsza, niż się Robertowi wydawało. W filmach grunt zawsze sam się kruszył, by stworzyć doły, w których chowa się gangsterów i zamordowanych współmałżonków. W rzeczywistości natomiast w Austin od miesiąca było nadzwyczaj zimno, więc ziemia była sucha i twarda. To, że Rob miał tylko plastikowy szpadel, przeznaczony do lekkich robót ogrodniczych, nie ułatwiało sprawy.

Godzinę zajęło mu wykopanie dołu mniej więcej metrowej głębokości. Przyjrzał mu się krytycznie, usiłując przekonać samego siebie, że to wystarczy, ale w końcu potrząsnął głową. Istniało przecież nawet powiedzenie: „sześć stóp pod ziemią”. Wyobraził sobie powódź wypłukującą szczątki Liz i zaczął kopać dalej.

Minęła następna godzina, zanim uzyskał zadowalający rezultat. Ciało Liz wciąż leżało obok, owinięte w ciemne prześcieradło, kiedy Rob usiadł i zapalił papierosa. Zaciągał się nim powoli, usiłując odwlec moment pochówku. Lewą rękę położył na ciele Liz, żałując, że przez prześcieradło czuje, jaka jest zimna. Usiłował przypomnieć sobie kształt jej brzucha, miękkie miejsce, po którym głaskał ją przed zaśnięciem.

Zbyt łatwo było zasypać dół. Nie minęło pół godziny, gdy ciało Liz przykryła sucha ziemia, którą ubił łopatą i wygładził rękami. Czuł, że powinien coś powiedzieć, choć nikogo tam nie było.

— Kochałem cię, mała — zaczął i zamilkł.

Zdał sobie sprawę, że nie musiał jej tego mówić. Nie musiał wygłaszać żadnych głupich deklaracji lojalności i przywiązania. Nawet kiedy żyła, Liz nie musiała niczego od niego słyszeć. Rozumiała jego oddanie. Wyjaśnienia, przeprosiny i oczyszczenie atmosfery był winien wielu ludziom, ale Liz zawsze rozumiała jego intencje. Zawsze były czyste, zawsze na pierwszym miejscu stawiał jej potrzeby.

Zamiast ciągnąć mowę pożegnalną, pomyślał o piosence Liz Phair, którą puszczali w radio, gdy pierwszy raz wiozł Liz do domu. I Rob zaczął śpiewać, drugi raz dzisiaj, usiłując przypomnieć sobie jak najwięcej słów z piosenki *Supernova*, której właściwie nie lubił. Poczuł się od tego lepiej, więc skończywszy z Liz Phair, przeszedł do innych piosenek, od których Liz skakała po mieszkaniu: nie tylko *Hurricane*, ale też *Rosalita* i *Born to Run* Bruce'a Springsteena.

Wreszcie zaczął szczekać zębami, i musiał wejść do domu, kończąc na *Love Sick* Boba Dylana. Na stoliku obok drzwi świecił telefon. Cztery nieodebrane połączenia od Hannah. Rob uśmiechnął się słabo na widok jej imienia. Chciał oddzwonić i powiedzieć jej, co się stało, ale nie mógł się na to zdobyć. Rozejrzał

się po pokoju — czasopisma rozsypały się po podłodze; w jakiś sposób rozpadł się jeden z jego chybionych regałów. Zapewne od uderzenia drzwiami wejściowymi, kiedy wybiegał, aby zawieźć Liz do szpitala. Książki utworzyły małą górkę; na środek pokoju wytoczyły się dwa plastikowe wkręty. Rob nie miał siły sprzątnąć. Chciał wziąć gorący prysznic, ale przypomniał sobie, że jego wanna jest pełna szkła i psiej krwi.

W małym domu było za cicho. Nie było Liz, nie było więc słychać kroków na drewnianej podłodze ani ciężkiego oddechu w sypialni. Rob poszedł do kuchni i spojrzał na miskę z niedojedzoną psią karmą, którą Liz przepchnęła w stronę miski z wodą. Kilka rozmoczonych chrupek pływało na powierzchni. Rob zamknął oczy i rozważył kilka możliwości, ale sen nie był żadną z nich. Był wyczerpany, ale pobudzony. Wiedział, co chce zrobić; energicznie podszedł do komputera i włączył go.

## Vicky

Joe patrzył na nią tak natarczywie, w takim wielkim skupieniu... nawet nie seksualnym, myślała Vicki, słuchając jego podekscytowanego monologu o weekendowych wypadach na pustynię Mojave.

— Musisz ją zobaczyć — mówił, wciąż trzymając kieliszek z winem. — Dla ludzi ze Wschodniego Wybrzeża, takich jak my, to jest szok. Zupełnie inny krajobraz, nagle jesteś w głuszy. Jak w starych westernach.

Vicki pochyliła się, słuchając dalszego ciągu, o restauracji koło jego mieszkania, która serwowała kaktusy. Zjadła kawałek zapiekanki z krabów, naszpikowanej przyprawami Old Bay. Nagle poczuła bryzę, która poruszyła jej czarnymi włosami; pachniała słoną wodą.

— Czujesz? — przerwała mu. — Pachnie plażą.

Joe uśmiechnął się potulnie, kładąc ręce na stole, tak że ich małe palce się zetknęły. Nie odsunęła dłoni. Vicki pomyślała, że uwaga, jaką jej poświęcał, nie miała może romantycznego tła, ale też nie rodzicielskie. Joe był przyjacielski, lekko flirtował, jak jej koledzy ze studiów. Zwracał na nią wystarczająco dużo uwagi, by w zakłopotaniu zaczęła bawić się włosami. Ich rozmowa miała potencjał, ale tylko tyle — przepelniała ją energia, która wyzwala się zawsze, gdy spotyka się dwoje ludzi, którzy się rozumieją.

Kiedyś, na studiach, gdy wszyscy byli młodymi, zdrowymi, atrakcyjnymi ludźmi bez zobowiązań, rozmawiali ze sobą właśnie w taki sposób — z dużą pewnością siebie i pełni nadziei. Śmiali się ciągle i nigdy się ze sobą nie nudzili, nawet jeśli z powodu mrozów byli uwięzieni w klitkach akademika przez całe długie doby. Przyjaciele Vicki ze studiów poznali się jako osiemnastolatki, a w okolicach dwudziestki zaczęli powoli łączyć się w pary — Hannah potajemnie z Robertem, a potem z Tomem, Vicki z muzykiem i aktywistą ekologicznym Richem, który teraz mieszkał w Nowej Szkocji, po trzech latach w Korpusie Pokoju. Zawsze sprawiało to wrażenie, jakby pary były jedynie częścią większej całości. Jakby wszystko to było jednym wielkim romanssem, bez względu na to, kto z kim dzielił łóżko, kiedy zasypiali.

Wszyscy mieli wtedy jakieś granice, jakąś sferę prywatnych znajomości i sekretów. Kiedy do grupy dołączył Tom, Vicki wypracowała z nim własne porozumienie, które nie przeszkadzało Hannah. Kiedy ona chodziła do teatru, Vicki i Tom oglądali razem filmy, rzucając potem monetą, kto będzie prowadził auto po zaśnieżonym, stromym wzgórzu do Syracuse Stage, gdzie czekała na nich Hannah, okutana w puchową kurtkę. A Rob, nawet jeśli nigdy nie próbował zdobyć Bee, to jednak ją kochał, i nocami poprawiał jej rozprawki, kiedy powinien był pisać swoje. Bee i Tom też się do siebie zbliżyli; w ostatnim semestrze byli razem na



kursie rozpoznawania win dla początkujących. Potem drażnili się z Hannah podczas obiadów w jej mieszkaniu, że chardonnay, które kupowała po sześć dolarów za butelkę, smakuje dębem i masłem.

Nawet Vicki i Rob mieli swoje prywatne sprawy. Nigdy nie lubiła go tak bardzo jak reszta, bo ciągle pożyczał pieniądze od Richa i reszty zespołu, a jego sekretne nocne schadzki z Hannah Vicki musiała ukrywać przed Bee, ale po cichu się przyjaźnili. Na drugim roku co najmniej raz w miesiącu jeździli po alkohol, w który zaopatrywali większość niepełnoletnich mieszkańców akademika. Nagrywali specjalne płyty z muzyką na podróż do Kanady, gdzie mogli już pić legalnie, i w samochodzie udawali śpiew Jareda Novaka, frontmana zespołu. Wymyślali nazwy dla wymarzonej firmy Vicki, którą miała założyć po studiach.

— „Liczy się Wnętrze” — powiedział Rob podczas jednej z wypraw za granicę.

— Nie rozumiem.

— No, wiesz, ludzie mówią, że piękno zewnętrzne nie jest ważne, liczy się wnętrze. I to właśnie będziesz robić, tworzyć budynkom piękne wnętrza. Firma powinna się tak nazywać.

— Liczy się Wnętrze — powtórzyła Vicki, zastanawiając się nad każdym słowem, kiedy czekali do odprawy paszportowej. — Czemu nie. A może „Projekty Vicki Clifford”?

— Nie. Banał. Żartobliwą nazwą przyciągniesz więcej klientów. Jak ten fryzjer koło mnie: chodzę tam, bo zakład nazywa się „Stąd do Piękności”. Jara mnie to.

Vicki posłała Joemu smutny uśmiech; pomyślała, że na tym miejscu miał dziś siedzieć właśnie Rob. Joe jednak okazał się odpowiednim zamiennikiem — zupełnie jak przyjaciele, których tak jej brakowało.

Ludzie z firmy w Rochester nie byli tacy. Brakowało rozmów, niezobowiązującego przeczucania się dowcipami. A z Joem porozumiała się w kilka minut. Może dlatego, że był krewnym Bee, a może dlatego, że w towarzystwie przyjaciół ze studiów mogła być sobą.

— Chętnie odwiedzę cię w Vegas — powiedziała, całkowicie szczerze. Wyobraziła sobie siebie w Nevadzie, razem z Hannah, Bee i Joem, chodzących z plecakami i bidonami po wzgórzach spalonych słońcem. Od lat nie podróżowała dla przyjemności.

Z zamyślenia wyrwał ją papierosowo-alkoholowy pomruk z drugiej strony stołu. Jimmy Fee, na którego usiłowała się nie gapić, głównie dlatego, że bała się parsknąć mu śmiechem w twarz, był karykaturą samego siebie jako największego przystojniaka na weselu. Lepiej się czuła, kiedy był gdzieś z boku.

Odkąd wrócił do stolika po swojej przemowie, ciągle rozmawiał o futbolu i przybijał piątki różnym krewnym, ale teraz nagle skupił się na nich dwojgu.

— Mieszkasz w Las Vegas? — spytał, rozmarzony.

— Tak jest — odparł dumnie Joe. Vicki chciała go kopnąć pod stołem, jednak chyba tylko Hannah albo Bee zrozumiałyby, o co chodzi. Próbowwała się skupić. — Ale nie wyobrażaj sobie za wiele. Mieszkać w Vegas to nie to samo, co przyjechać do Vegas — ciągnął Joe. — Co wydarzy się w Vegas, nie zostaje w Vegas, ale stanowi twoje życie. Płacę tam rachunki. Robię pranie.

— Ale, stary, te kobitki... muszą być kompletnie dzikie. Nawet mężatki — Jimmy wypuścił z siebie chrumkający śmiech.

Spojrzenie Vicki pobiegło w stronę pustego krzesła obok niego, na którym siedziała zazwyczaj milcząca, acz przepiękna dziewczyna Jimmy'ego.

— Jest w kiblu — odpowiedział na jej niezadane pytanie. — Chyba z piąty raz dzisiaj. Jak tylko coś wypije, cały wieczór siedzi w łazience.

— Jest prześliczna — Vicki nerwowo przełknęła ślinę. Joe tylko przytaknął; dziewczyna Jimmy'ego była równie atrakcyjna jak on sam.

— Coś wam powiem — Jimmy uśmiechnął się przez stół. — Wszyscy to mówią: pokaż mi babkę, z którą każdy chciałby się pieprzyć, a ja pokażę ci faceta, który ma tego powyżej uszu.

Zszokowana Vicki zasłoniła dłonią usta, by ukryć grymas, i poczuła, jak Joe kopie ją pod stołem. Oddała mu.

## Hannah

Hannah zauważyła, że jest problem, kiedy stół zaczął się ruszać, a konkretnie wyginać — płaski blat nagle zmienił się w ciecz, jak zegary na obrazie Dalego, który wisiał w wielu pokojach w akademiku. Właśnie wirowała szaleńczo w takt *Brick House*, granego przez zespół weselny, kiedy zrozumiała, że musi się o coś oprzeć. Położyła ręce płasko przed sobą, jakby opierała się o niewidzialny mebel, i poczuła się stabilnie, ale kiedy podniosła głowę, stół przy parkiecie przesunął się w lewo, a jego blat wydawał się kapać — co musiało znaczyć, że ma halucynacje. Zamknęła oczy w nadziei, że to jej pomoże, ale ciemność tylko pogorszyła sprawę.

— Vicki jest w pokoju 140 — szepnęła do siebie.

— Ona się zaraz przewróci — powiedział jakiś męski głos. Zmarszczyła czoło, rozpoznając go.

— Zjeżdżaj — powiedziała, czując, jak Tom łapie ją za ramiona.

— Spokojnie. Uważaj — mówił cicho, ledwo słyszalnie przy muzyce. Zawsze lubiła ten jego niski głos. Instyktownie oparła się na nim, próbując złapać równowagę, żeby natychmiast się cofnąć.

— Zostaw mnie w spokoju — warknęła, odwracając się do niego plecami.

— Chodź, przewietrzyć się trochę — powiedział. — Chyba powinniśmy porozmawiać.

Hannah kiwnęła niepewnie głową, pokonana. Lewe oko miała wyschnięte, prawe łzawiło. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła Jaime, psycholog szkolną, która patrzyła na nich ze swojego miejsca.

— Czekaj — powstrzymała go gniewnie Hannah. — To nie ja powinnam się przewietrzyć. Ty powinienes.

Chwiała się i nogi chygotały jej się w kostkach. Tom rozglądał się bezradnie na boki, sprawdzając, kto ich widzi, a Hannah ciągnęła, odpychając jego ręce i dźgając go palcem wskazującym: — Chcesz ze mną rozmawiać? Dobra. Ale nie wmawiaj mi, że potrzebuję twojej pomocy.

Zespół grał coraz głośniej, ale Bee i tak usłyszała końcówkę tej wypowiedzi. Przerwała taniec w kółku z matką i dwiema ciotkami i szybko podeszła do Hannah, która zdążyła rzucić but, krzycząc na Toma. Szpilka pofrunęła gdzieś do tyłu.

— Ty pieprzony zdrajco! — krzyczała Hannah, kiedy Tom usiłował ją złapać. — Idź do swojej dziewczyny. Do swojej pani psycholog.

Tom zamarł, zaczerwieniony.

— Idź do niej, na pewno cię szuka!

Tym razem Tom złapał ją gniewnie za ramię.

— Uspokój się — zawołał. Hannah usiłowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno. Patrzyła wokół, jak dziecko, próbując uniknąć za wszelką cenę jego wzroku. — Przestań!

Hannah zamilkła.

— Zachowujesz się, jakbym to ja był wszystkiemu winny — powiedział Tom drżącym głosem. — Ja jestem zdrajcą? Naprawdę?

Zespół zaczął grać zwolnioną wersję *Alone Together* i Tom ściszył głos. Puścił jej ramię, mając nadzieję, że Hannah nie ucieknie, a za nim stała Bee, słuchając uważnie. Hannah traciła równowagę w jednym bucie.

— Oboje byliśmy winni — mówił dalej Tom. — Ja zostawiłem Nowy Jork, ale ty mogłaś jechać ze mną. Prosiłem, żebyś ze mną pojechała. Cały rok powtarzałem, że chcę być bliżej rodziny, że chcę wrócić do Bostonu, ale nigdy nie podjęłaś tego tematu. Odszedłem, tak, odszedłem, bo chciałem zrobić coś dla siebie. Chciałem zacząć żyć w taki sposób, jaki odpowiadałby też moim potrzebom. Nie chciałem zostawić ciebie, chciałem zostawić Nowy Jork. Kochałem cię, ale uznałem, że skoro tam zostałaś, potrzebowałaś Nowego Jorku. Ze mną czy beze mnie.

Hannah milczała. Odgarnęła z czoła mokre włosy. Potrząsnęła głową, gdy wokalista jęczał tekst piosenki — coś o pokonywaniu wielkiej niewiadomej.

— Możesz się złościć, że się nie udało, ale nie możesz mnie obwiniać. Ja cię nie zostawiłem, to ty postanowiłaś zostać tam, gdzie byłaś.

— Prosiłeś, żeby z tobą pojechała? — Bee podeszła do nich i patrzyła z niedowierzaniem. — Prosiłeś, żeby przeniosła się do Bostonu?

— Oczywiście. Chciałem, żeby ze mną była, bo...

— Powiedziałeś, że nie mogłabym zostać niczyją żoną — powiedziała Hannah, zrzucając drugi but. Któryś z chłopców na parkiecie, bratanek Matta, podniósł go i wykonał zwycięski taniec z wysoką szpilką.

— To prawda, nie wyobrażałem sobie ciebie jako żony. Kiedy się wprowadzałem, wydawałaś się taka niezainteresowana bliskim związkiem, taka niezależna. Miałaś tych swoich nowych znajomych. Miałem nadzieję, że mi udowodnisz, że się mylę... i że ze mną pojedziesz, że spróbujesz przez kilka lat żyć na mój sposób, tak jak ja próbowałem żyć po twojemu w Nowym Jorku.

Hannah nie mogła już tego słuchać. Kiedy zespół zaczął grać *Superstition*, pokuśtykała z powrotem na parkiet, wywijając biodrami, jakby ocierała się o niewidzialnego partnera. Bee i Tom patrzyli z otwartymi ustami, jak trącała gości. Kątem oka Hannah zauważyła, że Bee odeszła rozgniewana w stronę stołów, na co zareagowała jeszcze bardziej szalonym tańcem i nadstawianiem się fotografowi, który bardzo chętnie pstrykał zdjęcia jej wystawionego języka i bosych stóp. Kiedy fotograf się nią znudził, Hannah uspokoiła się trochę i spojrzała na Toma, który odnalazł swoją dziewczynę. Jaime patrzyła na nią, ale nie z zazdrością — raczej z

przerażeniem, jakby patrzyła na dziecko przejechane przez samochód. Hannah odwróciła się z wściekłością i ruszyła szukać odpowiedniego partnera.

## Joe

Joe nie zwracał uwagi na popisy Hannah, dopóki Bee nie pojawiła się przed nim, ciągnąc za sobą tren sukni niczym ogon.

— Wujku, jesteś mi potrzebny. Zaraz — powiedziała, pochylając się do niego.

— Czy to nie moja przepiękna, świeżo poślubiona bratanica? — Joe wciąż był odwrócony w stronę Vicki. — Potrzebujesz partnera do tańca?

— Potrzebuję kierowcy. Już.

Joe spojrział na nią i zrozumiał, że sytuacja jest poważna. Z bliska widział, że drobinki makijażu zaczęły się zbierać w zmarszczkach mimicznych na jej twarzy, a spod ścierającego się podkładu wydostały się cienie pod oczami.

— Co tylko chcesz, kochanie — powiedział czule. — Co się stało?

— Trzeba odwieźć Hannah do hotelu — Bee wskazała przyjaciółkę, otoczoną na parkiecie kręgiem wielbicieli, która przestała ocierać się o powietrze, bo znalazła partnera równie pijanego jak ona. Brat Bee, Eric, przykleił swoje zalane, dwudziestopięcioletnie ręce do jej bioder, jakby usiłował utrzymać się na rodeo. Hannah trzymała go jedną ręką za kark, a drugą ścisnęła inhalator; Bee wiedziała, że wcześniej był zatknięty za rajstopy. Sądząc po podekscytowanych spojrzeniach kuzynów Matta, którzy obdarzali parę gorącym aplauzem, zapewne przed chwilą miał miejsce publiczny pocałunek, albo i gorzej.

Vicki wstała pospiesznie, przerażona, łapiąc torebkę spod krzesła.

— Musimy ją stąd zabrać. Pomożesz mi odprowadzić ją do hotelu? — prosiła dalej Bee.

— Czekajcie, polecę po jej rzeczy — zaofiarowała się Vicki. — Zostawiła bagaż w wieży. Pójdę po niego, a potem pojedziemy do hotelu.

Zdecydowana reakcja Vicki sprawiła, że Joe się rozpromienił. Przypominała mu jego dziewczynę, Sarah, która nie wychodziła z roli kompetentnej organizatorki nawet po powrocie do domu.

— Zaraz wrócę, Joe — rzuciła Vicki. — Bee, możesz ściągnąć Hannah ze swojego brata i przygotować ją do wyjścia?

Joe i Bee przytaknęli. Joe ścisnął jeszcze Vicki za ramię, aby ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze, i sięgnął po kluczyki, zastanawiając się, ile czasu zajmie im położenie Hannah spać, żeby mogli w spokoju pójść do niego.

## Vicky

Vicki pędziła tak szybko, jak tylko była w stanie pędzić na obcasach, co oznaczało prędkość niewiele większą od chodu. Przebiegła obok Toma i przez tylne wyjście z namiotu, unikając kontaktu wzrokowego, którego szukał — zapewne żeby porozmawiać o tym, co zrobić z kompletnie rozchwianą Hannah. Na zewnątrz Vicki odczekała, by oczy przyzwyczały się do ciemności, i zaczęła szukać drogi do wieży, z której wiele godzin temu wyruszył orszak panny młodej.

Obiecała Hannah, że bez względu na to, ile wypiją, będzie pamiętała o jej małej walizce, w której przyjaciółka trzymała zmianę odzieży, prawo jazdy, telefon i portfel. Pociąg Hannah odjeżdżał rano i nie miałyby czasu wracać do Tower Gardens, gdyby coś zostawiła.

Spiralne schody wieży były przerażająco wąskie i puste; przypominały Vicki scenerię jakiegoś horroru, albo raczej — bardziej stosownie do okoliczności — książki V.C. Andrews. Zatrzymała się na górze i przyjrzała się pustej przestrzeni, podwójnej sali z aksamitnymi sofami, zastawionej walizkami drухen. Właściwie nie tak wyobrażała sobie tło *Kwiatów na poddaszu*, chociaż to pomieszczenie formalnie było poddaszem. Vicki zawsze się wydawało, że bohaterowie powieści, Cathy i Chris, mieszkali w ciasnej przestrzeni, a ostatnie piętro tej wieży było obszerniejsze niż większość kawalerek w Nowym Jorku. Bardziej jak pensjonat w *Sekretach poranka*, drugim tomie z serii przygód Dawn, tancerki, która dowiaduje się, że jej dziadek jest jednocześnie jej biologicznym ojcem. Vicki zadrżała, przypominając sobie miłosną scenę między Dawn i przystojnym Michaeliem Suttonem. Ale zanim zdążyła zamyślić się nad jego hydrantem, przypomniała sobie o swoim zadaniu. Zabrać bagaż Hannah. Zabrać Hannah i Joego do hotelu.

Vicki wbiegła do sali, gdzie — jak przystało na pożądaną bohaterkę powieści V.C. Andrews — zobaczyła sylwetkę czekającego na nią w ciemności atrakcyjnego mężczyzny.

*Phil*

Zespół grał teraz *Shout*. Phil słyszał ich nawet w barze, gdzie wciąż siedział, usiłując zdecydować, co robić. Nie miał siły usiąść na wyznaczonym miejscu przy weselnym stole, gdzie musiałby rozmawiać o rzeczach, o których rozmawiać nie miał ochoty: o Bee i Matcie, o zagranicznych podróżach, dzieciach i o tym, gdzie się podziewał przez ostatnie dwie godziny.

Dlatego postanowił zadzwonić do matki.

Nancy kazała mu więcej nie dzwonić, mówiąc, że o ósmej pewnie będzie już spała i że zobaczą się jutro. Ale stwierdził, że może przecież zostawić jej wiadomość, żeby nie czuła się samotna, kiedy wstanie. Wyszedł tylnymi drzwiami, przez które chwilę wcześniej opuścili bar również trzej starsi mężczyźni, stanowiący do tej pory widownię poczynań Phila. Znalazł się po drugiej stronie klubu, z dala od namiotu weselnego, a bliżej parkingu — w labiryncie małych krzewów i przekwitających róż.

Przechadzał się tam i z powrotem, dopóki nie usłyszał głosu w słuchawce.

— Halo? — powiedział ktoś.

Phil szybko się rozłączył, nie mówiąc ani słowa. Głos był męski, więc zapewne to pomyłka. Phil spojrział na historię połączeń, ale widniało tam „Mama”. Zamyślił się, patrząc zdezorientowany na samochody. Drżącą ręką nacisnął przycisk jeszcze raz — tym razem mężczyzna po drugiej stronie odebrał prawie od razu.

— Halo — odezwał się poirytowanym tonem, zapewne znów spodziewając się rozłączenia.

— Halo? — odpowiedział zdezorientowany Phil.

— Kto mówi? — spytał tamten. — Phil? To ty?

— Daj mi to — odezwał się w tle zachrypnięty krzyk matki. Phil rozłączył się znowu i w panice odszukał numer brata.

— Dziwolągu! — zawołał do słuchawki Mickey. Zawsze tak nazywał młodszego, ale o wiele wyższego brata.

— Mickey, mama ma kłopoty — wyjąkał do telefonu Phil. Chodził tam i z powrotem wzdłuż parkingu, wielkimi, nerwowymi krokami. W ręce trzymał kluczyki.

— Jezu, co się stało? Przewróciła się? Jesteś z nią teraz? Mam przyjechać?

— Ktoś tam jest — Phil stanął przed swoim autem. — Jakiś facet jest u niej w domu.

— Kto jest w domu? — Mickey był teraz równie spanikowany jak Phil. — Jakiś włamywacz?

— Nie wiem — warknął Phil, otwierając auto. — Właśnie do niej



zadzwońnię i odebrał jakiś facet. Znał moje imię. Powiedział: „Phil”.

— Poznał cię? — Mickey rozluźnił się i zaśmiał cicho. — Skoro znał twoje imię, to na pewno był kapitan Mulcahy.

Phil zatrzymał się jak wryty na zwirowanym parkingu, po czym wsiadł do auta, trzasnąwszy drzwiami.

— Dlaczego Mulcahy miałyby być u mamy? — zapytał ze złością.

— No, daj spokój, Philly. Wiesz przecież. Nie każ mi mówić tego głośno.

— O co ci chodzi? Nie... nie rozumiem — wyjąkał Phil, czując, że zaczyna go boleć brzuch. Tak samo jak wtedy, kiedy po meczu dostał od Hanka wiadomość o treści: „A nie mówiłem?”.

— Oni, no, spotykają się. Phil, jest sobota wieczór. Dlaczego nie miałyby być u mamy? Przecież on praktycznie tam mieszka.

Phil oparł czoło o chłodną szybę auta i gapił się na kierownicę, podczas gdy jego oddech skraplał się na oknie.

— Nie — bąknął — są tylko przyjaciółmi, Mickey. Ona... ona nikogo nie miała oprócz taty. Mówi o kapitanie, że to bliski przyjaciel. Są starsi, samotni i dotrzymują sobie towarzystwa. Są kumplami.

— Daj spokój, Phil — zniecierpliwiał się Mickey. — Nie mam na to czasu. Muszę położyć dzieciaki do łóżek, a Angela dała im słodycze i nie chcą spać.

— Jak długo o tym wiesz? — Phil podniósł się i położył rękę na czole. — Mama ci to powiedziała?

— Phil...

W tle Phil usłyszał krzyczące dzieci brata.

— Dzieciaki, dajcie spokój, rozmawiam z wujkiem! — zawołał Mickey i ściszył głos do słuchawki. — Chłopie, Mulcahy spędził z nami ostatnie święta, a potem Wielkanoc. Przyszedł na chrzest Joeya w sierpniu. A ty myślałeś, że co?

— Nie wiem, Mickey — Phil znów chodził w tę i z powrotem koło samochodu. — Myślałem, że przychodzi pomagać w drobnych naprawach, dokręca krany i zmienia żarówki. Myślałem, że jest mu jej żal i dlatego tak często ją odwiedza.

— No, dokręca, owszem — zażartował Mickey, po czym wrócił do uspokajającego tonu, jakiego zazwyczaj używał wobec dzieci. — Słuchaj, stary, muszę iść. Jeśli ciągle będziesz miał z tym problem, to pogadamy jutro. Ale powinieneś się cieszyć, że mamie się ułożyło. Była tam samotna, a Mulcahy to świetny gość.

— Jasne — powiedział Phil, po czym się rozłączył. Wsunął telefon do kieszeni i powlókł się z powrotem w stronę klubu. Zatrzymał się w miejscu, gdzie rósł rozłożysty dereń, a światła rozlewały się przez poły namiotu, w którym trwała zabawa. Zespół skończył grać *We Are Family* i zaczął cover *I Think We're Alone Now*, kiedy Phil, czując się jak idiota, uderzył pięścią w drzewo tak mocno, że

zranił się do krwi. Osunął się na ziemię i zwiesił głowę między kolanami.

Vicky

— Przepraszam, nie mogłem znaleźć włącznika światła — powiedział nieznajomy w ciemności. — Mam nadzieję, że cię nie przestraszyłem.

— Nie — odparła Vicki, zdumiona swoją wymową, jak gdyby wchodząc do magicznej wieży, nagle dorobiła się brytyjskiego akcentu. — Niełatwo mnie przestraszyć.

Uśmiechnęła się w ciemności, rozbawiona tą rozmową. Niemal natychmiast rozpoznała mężczyznę po sylwetce i zapachu. Siedzieli blisko siebie przy stole, rozdzielał ich tylko Joe.

— To ja, Jimmy Fee. Siedzieliśmy przy jednym stole. Jesteś przyjaciółką Bee, prawda? Tą od tego starego faceta?

Vicki się skrzywiła.

— Nie jest stary. I nie jestem z nim, w każdym razie nie uczuciowo. To wujek Bee. Jesteśmy przyjaciółmi.

— Hm — mruknął Jimmy i podszedł do niej. — Więc jesteś tu sama?

— Tak — odparła Vicki, instynktownie cofając się o krok. Przypomniała sobie, że za nią znajdują się schody, i patrzyła, jak do niej podchodzi, świadoma, że oddech jej się urywa. Przypomniała sobie też zdanie z *Kwiatów na poddaszu*: „ja miałam silne nogi tancerki, on miał bicepsy”. Tę scenę czytała tyle razy, że kartka była niemal w strzępach.

Jimmy złapał ją za rękę.

— Uważaj — powiedział. — Możesz spać ze schodów.

Nie bardzo wiedziała, jak to się stało, że zaczęli się całować, ale nastąpiło to niemal natychmiast, sekundy po tym, jak chwycił ją za rękę. Z bliska okazało się, że jest niewiele niższa od niego, dzięki szpilkom, które dodawały jej z siedem centymetrów. Ponieważ ich usta były niemal na tej samej wysokości, wystarczyło, że Jimmy się lekko pochylił.

— Czy ty nie masz przypadkiem dziewczyny? — szepnęła Vicki, kiedy zaczął podciągać jej sukienkę, dając do zrozumienia, że cokolwiek zrobią, zrobią to na stojąco i nie zdejmą przy tym zbyt wiele odzieży. — To tak nie działa — dodała, kiedy stwierdziła, że nie otrzyma odpowiedzi na swoje pytanie. — Mam rajstopy.

Na środku sali stała okazała kanapa, na której całkiem wysoki człowiek mógłby wygodnie spać, ale Vicki i Jimmy wiedzieli, że tego rodzaju seksu nie uprawia się na meblach. To miało stać się na podłodze; tam właśnie umieściłaby akcję V.C. Andrews. Położywszy się na drewnianych deskach koło kanapy, rozebrali się jedynie na tyle, na ile było to konieczne — ona zdjęła buty, rajstopy i bieliznę, on spodnie i bokserki. Jimmy miał w portfelu prezerwatywę. Oczywiście,

pomyślała Vicki; taki facet jak on jest zawsze przygotowany na seks, bo pewnie zdarza mu się on bardzo często, na poddaszach, przystankach autobusowych, w łazienkach i pewnie w samolotach.

Na początku Vicki patrzyła w sufit, zastanawiając się, jak to się stało, że w ogóle do tego dopuściła. Ostatnim razem, kiedy znalazła się w podobnej sytuacji, była jeszcze studentką. Skorzystała z chwilowej przerwy w związku z Richem, żeby przespać się ze specjalistą od ilustracji, poznanym na zajęciach z projektowania, facetem, którego już nigdy więcej nie spotkała. Mike Chadwick. A może Steve Chadwick? Nie pamiętała jego imienia, ale miał na ramieniu tatuaż — Tygryś z *Kubusia Puchatka*.

— Dziewczyno — mruknął Jimmy, kiedy Vicki porównywała tamten ostatni wyskok z tym. Tamten był chaotyczny i niesatysfakcjonujący. Teoretycznie zerwali z Richem, ale i tak miała poczucie winy. Nie wydawało się to naturalne. Ale teraz, w klubowej wieży, seks wydawał się taki, jak trzeba. Vicki nie czuła się tak jak wtedy, jako studentka. Ani też jak zachodnionowojojska chora na depresję, spędzająca większość czasu na oglądaniu kablówki w hotelach. Nie czuła się jak kobieta, która musi patrzeć na lampę, żeby być normalna. Splątana z Jimmym Fee na podłodze neogotyckiej wieży, Vicki czuła się jak bohaterka V.C. Andrews. Czuła się pożądana.

Jęknęła dramatycznie i prawie wybuchnęła śmiechem, a Jimmy poruszał się na niej, oparty na rękach, z dłońmi płasko na podłodze przy jej uszach. Ciemne włosy opadające na oczy i smukłe, umięśnione ręce nadawały i jemu wygląd bohatera — lub złoczyńcy — z powieści V.C. Andrews. Atrakcyjny, nadmiernie pewny siebie i podniecony zdradą.

— Z czego się śmiejesz? — sapnął.

— Z niczego — odparła, również zasapana. Po czym dodała: — Przepraszam — i zrealizowała swoje fantazje, wbijając paznokcie w jego plecy.

— Cholera jasna! — krzyknął Jimmy, zdumiony, ale zadowolony.

Zaledwie kilka sekund później niemal oślepiło ją zabójcze, oślepiające, fluorescencyjne światło.

## Joe

Joe go zawstydział jego głośny oddech. Był w dobrej formie — właściwie w lepszej, niż kiedy był dwudziesto- czy trzydziestolatkiem — ale bieg po kręconych schodach go wykończył. A kiedy zobaczył przed sobą na podłodze parę w trakcie stosunku, poczuł się tak, jakby żołądek wypełnił mu się ołowiem.

Vicki wyszła z namiotu i przepadła na dwadzieścia minut. Miała tylko skoczyć po bagaże Hannah na wieżę, co powinno jej zająć jakieś pięć, może dziesięć minut, nawet gdyby zahaczyła o toaletę. Joe i Bee zaczęli się martwić, że coś jej się stało — może potknęła się na tych wysokich obcasach lub spadła ze schodów, mocując się z torbami. Na dworze było kompletnie ciemno, bo księżyc przesłaniała mgła, więc istniała możliwość, że Vicki zrobiła sobie krzywdę i czekała na pomoc. Nie powinienem był puszczać jej samej, pomyślał Joe, kiedy razem z Bee ruszyli jej szukać.

Joe wyobrażał sobie, że znajdzie Vicki siedzącą na trawie ze skręconą kostką. Fantazjował, jak poniesie ją do samochodu i zabierze do swojego pokoju w zabytkowym hotelu. Kochaliby się pod tym koszmarnym obrazkiem kaplicy Akademii Marynarskiej, który wisiał tuż nad łóżkiem.

Hannah zostawili pod opieką pierwszej drużyny. Dawn przybiegła asystować przy spektaklu, kiedy tylko zauważyła popisy Hannah na parkiecie, i to ona właśnie odciągnęła dziewczynę na krzesło, poza zasięg wzroku Toma. Przykucnęła przy niej, instruując, by starała się opanować, dopóki nie opuści klubu. Bee i Joe przewrócili oczami, słysząc jej porady skierowane w stronę zaślinionej drużyny. Brzmiały: „Musisz się zebrać w sobie!”.

Bee poprosiła Joe go, by przytrzymał tren sukni, bo nie chciała się potknąć, kiedy pędzili do wieży. Joe czuł dziwną dumę, podtrzymując bratanicę i opiekując się jej suknią w drodze przez trawnik. Serce mu łomotało: wspierał Bee, jedyną krewniaczkę, którą naprawdę kochał, w drodze na ratunek Vicki, kobiecie, z którą bardzo chciał się przespać.

Ale gdy byli już na schodach, serce mu zamarło; zatrzymali się oboje, by w przerażeniu usłyszeć rytmiczny hałas dobiegający z góry — gdzie Vicki miała szukać bagaży Hannah. Działo się tam coś strasznego. Joe natychmiast uznał, że jakiś pracownik klubu morduje Vicki szpikulcem do lodu. Albo, co gorsza, gwałci ją. Najwyraźniej Bee doszła do tego samego wniosku.

— Szybko — rzuciła, skacząc po stopniach tak prędko, że prawie zgubiła białe buciki. Joe puścił jej suknię i popędził za nią.

Kiedy dotarli na górę, oszołomiło ich głośne stękanie i łomotanie, rozlegające się w sali. Bee krzyknęła, by poszukał światła, i usiłowała coś dojrzeć w ciemności. Joe rzucił się na ścianę, obmacując ją dłońmi, aż natrafił na

plastikowy przełącznik. Nacisnął go i rzędy fluorescencyjnych żarówek rozświetliły przestrzeń.

Źródło hałasu znajdowało się dużo bliżej, niż wyobrażał to sobie w ciemności. Jimmy Fee, szwagier Bee, trzymał pod sobą Vicki, a jej czarne rajstopy i bawełniana bielizna spoczywały na stercie obok. Vicki obejmowała Jimmy'ego nogami i ramionami, i Joe domyślił się, że to, co ma miejsce, nie dzieje się pod przymusem. W odpowiedzi na światło Vicki klepnęła Jimmy'ego w głowę.

— Ktoś tu jest — powiedziała, nie mogąc powstrzymać ekstatycznego jęku.  
— Przestań!

— Co? — Jimmy nie przejął się zupełnie nagłą jasnością i robił swoje.

— Jimmy, ktoś tu jest — powtórzyła Vicki, ale uzyskała taką samą odpowiedź. — Światło się zapaliło! — syknęła, odpychając go od siebie. Jimmy przestał wreszcie i wykręcił tułów, by spojrzeć za siebie, po czym uśmiechnął się szeroko do widowni, a jego penis wciąż tkwił w ciele Vicki, która posłała Bee słaby uśmiech. Krótkie czarne włosy miała przyklejone do czoła.

— Vicki? — wymamrotała z niedowierzaniem tamta. — Jimmy? Co wy tu robicie?

— Powiedziałem Jennifer, że przyniosę jej torebkę, którą tu zostawiła — oznajmił Jimmy, wysuwając się z Vicki.

Uwolniona dziewczyna złapała bieliznę i rozpoczęła niezdarny proces wkładania jej bez nadmiernego odsłaniania genitaliów. Jimmy obrócił się i bez zażenowania ściągnął prezerwatywę, mówiąc jednocześnie o rzeczach swojej dziewczyny.

— Przed przyjęciem zostawiliśmy tutaj torebkę Jennifer, żeby mogła potańczyć — ciągnął Jimmy. — No i wpadłem tu na Vicki.

Joe przeciągnął językiem po nagle zaschniętych wargach. Patrzył na Jimmy'ego, bo nie chciał patrzeć na Vicki, która wciąż wiła się na podłodze, naciągając na brzuch rajstopy.

— No — zaczął ledwie słyszalnie. — No to, Vicki, ja zabiorę Hannah do hotelu — powiedział, jakby nie rozmawiał z nią o tym jakieś pół godziny wcześniej.

— Dziękuję, to dobry pomysł — powiedziała rzeczowym tonem Vicki, kiedy Jimmy wstał i zapiął spodnie. Podszedł do kosza na śmieci i rzucił prezerwatywę, ale upadła na podłogę, połyskując mokro w ostrym świetle. Vicki wciąż mówiła oschle, udając, że tego nie widzi:

— Te dwie torby są Hannah, czarna torebka i niebieska sportowa.

— Czy ty też potrzebujesz podwiezienia do hotelu? — Joe starał się naśladować jej ton, podchodząc do bagaży Hannah. Obszedł Vicki szerokim łukiem, pilnując, by nie zbliżyć się na mniej niż metr do miejsca, gdzie odbywali z Jimmym stosunek. Bee stała jak wrośnięta w ziemię, wciąż pod wrażeniem sceny,

której była świadkiem.

— Myślę, że... dam sobie radę — odparła Vicki, przesuając wzrok na Bee, która się odwróciła.

— Ja cię odwiozę — odezwał się Jimmy, zupełnie nieprzejęty małym mokrym krążkiem lateksu leżącym dwa centymetry od jego buta. — Nie ma problemu. Mam wynajęte auto na parkingu, sebringa. Prosiłem o coś oszczędnego, a oni od razu przysłali kabriolet. Nieźle, nie?

Uśmiechnął się dumnie i otarł czoło. Vicki posłała mu nerwowy uśmiech i spojrzała przepaszająco na Joego, który odkaslnął z zakłopotaniem, minął wszystkich i zaczął schodzić po schodach.

— Dobrze — mruknął jeszcze na trzecim stopniu, niosąc bagaże Hannah. Bee odczekała chwilę, po czym podniosła tren i poszła za nim.

— Ja pieprzę, widziałaś coś takiego? — zapytał Jimmy, gdy tylko poszli, po czym schylił się po prezerwatywę i wrzucił ją prosto do kosza na śmieci, podczas gdy Vicki poprawiała sukienkę.

Bee i Joe milczeli, wracając przez trawnik do namiotu. Joe szedł trochę z przodu z bagażami.

— Przepraszam — zawołała Bee i podbiegła, by się z nim zrównać. — Joe?

— Tak? — Joe spojrzał na nią, usiłując się uśmiechnąć. Bee zasłoniła rękami czerwoną twarz. — Uważaj na makijaż — dodał szybko Joe.

Bee spojrzała na niego tak samo, jak patrzyła, kiedy miała osiem lat i w ciągu minuty pochłaniała kilka czekoladowych batoników podczas jego wizyt w Maryland.

— Naprawdę nie musisz przeproszać — powiedział łagodnie. — Widywałem już ludzi podczas stosunku. Mieszkam w Las Vegas. Nikt oprócz nas nie będzie o tym wiedział. A teraz znajdziemy twoją pijaną przyjaciółkę, żebyśmy zdążył ją odwieźć do hotelu, zanim zarzyga całe przyjęcie.

Bee się roześmiała, a Joe przełożył obie torby do jednej ręki i wolnym ramieniem objął bratanicę. Hannah znaleźli tam, gdzie ją zostawili, wciąż w towarzystwie Dawn, która klaskała dłońmi przed jej nosem, żeby ją obudzić.

— Tak nie może być — mówiła ostro. — Tom na ciebie patrzy. Musisz się zebrać w sobie.

— Mam to gdzieś — wymamrotała Hannah z zamkniętymi oczami. — Chcę do łóżka.

— Dawn, przecież ona prawie śpi — westchnęła Bee. — Po prostu ją stąd zabierzmy.

Dawn podniosła palcami powieki Hannah. Dziewczyna jęknęła.

— Jak ona może spać? Przecież dałam jej adderall!

Joe spojrzał na nią z niedowierzaniem i odciągnął jej ręce od twarzy

Hannah.

— Co ci odbiło, żeby jej dawać amfetaminę?

— Dałam jej też xanax, żeby się wyrównało — odpowiedziała Dawn. Joe spojrział na Hannah, siedzącą ze zwieszoną głową. — No, jeśli chcesz, jest twoja — parsknęła Dawn i odeszła na parkiet. Hannah na chwilę otworzyła oczy, żeby zobaczyć, do kogo należą te nowe głosy.

— Joe zabierze cię do hotelu! — wrzasnęła Bee, jakby Hannah była głucha. Hannah wyciągnęła do niego ręce jak dziecko.

— Muszę wziąć torebkę — wymamrotała.

— Mam — odparł Joe, wskazując na skórzaną torebkę i małą walizkę, które zwisały mu z ramienia.

— Pomóc ci? — spytała Bee.

— Dam sobie radę, Bee. Wracaj do Matta i baw się, bo to twój wieczór, a zostało jeszcze tylko kilka piosenek.

Bee poszukała wzrokiem Matta i znalazła go po drugiej stronie namiotu, pożerającego tort weselny w towarzystwie swojej matki Barbary. Śmiali się z czegoś i Bee się uspokoiła.

— Odprowadzę was — powiedziała, uśmiechając się ciepło do wujka, który podtrzymywał jej przyjaciółkę i prowadził ją do wyjścia.



*Phil*

Phil nie spodziewał się, że ktokowiek będzie już wychodził, a w każdym razie na pewno nie zastanawiał się, co się stanie, jeśli panna młoda znajdzie go nagle siedzącego na trawniku w koszuli zakrwawionej z powodu rany, jakiej nabawił się, uderzając w drzewo.

A właśnie tak się stało: panna młoda pojawiła się przed nim w swojej długiej białej sukni, i zdusiła przerażony krzyk na widok wielkiej sylwetki Phila, leżącego we krwi na ziemi pod krzakami.

— Boże! — krzyknęła Bee i cofnęła się, jakby bała się, że ją zaatakuje. Co gorsza, była z nią ładna druhna, ale nie bardzo mogła chodzić, więc podtrzymywał ją jeden ze starszych gości.

— Cudownie — mruknął Phil, zdając sobie sprawę, że jedyne, co mogło wydarzyć się dobrego podczas całego tego wieczoru, przepadnie, gdy tylko dziewczyna zobaczy go krwawiącego w błocie. Ale kiedy Hannah podniosła głowę, by sprawdzić, dlaczego Bee krzyczy, uśmiechnęła się radośnie, jakby zobaczyła przyjaciela sprzed lat.

— Larry Bird! — zawołała, wyrrywając się Joemu i podbiegając do Phila. Po chwili siedziała mu już na kolanach i trzymała go za szyję.

— Uwważaj, Kate Winslet — szepnął Phil. — Jestem zakrwawiony.

— Nieprawda — czknęła Hannah. — Jesteś Larry Bird.

— Nie będziesz tego pamiętała — powiedział, obejmując ją czystsza ręką i całując w czoło. Była ciepła. Kołysał ją z boku na bok.

— Mmm, pachniesz pysznym kurczakiem.

Kiedy stało się jasne, że Hannah zasnęła mu na kolanach, Phil spojrzął na starszego faceta — tego, do którego Bee mówiła „wujku Joe” — i poprosił o pomoc. Joe schylił się i złapał ją w talii, ignorując jej protesty, aż w końcu drugą ręką wziął ją za nogi i przerzucił sobie przez ramię. Phil słyszał, jak mamrotała gniewnie, kiedy Joe szedł w stronę parkingu.

Bee się skrzywiła.

— Nie chcę być nieuprzejma, ale kim pan jest? — spytała.

— Jestem synem Nancy McGowan — powiedział Phil, wzruszając ramionami. — Nie mogła przyjechać, więc przysłała mnie.

— A, jesteś jednym z moich singli — uśmiechnęła się Bee. Phil spojrzął na nią zdziwiony. — Twoja mama miała przyjechać sama i nie wiedziałam, z kim chciałaby siedzieć... — przerwała, zawstydzona tym wyjaśnieniem. — Skąd znasz Hannah?

— Gramy w tym samym filmie — odpowiedział z uśmiechem Phil, podnosząc się z ziemi i wycierając w spodnie zakrwawioną rękę. — Możesz

uściskać matkę Matta od mojej? Barb naprawdę bardzo jej pomogła, kiedy mama jej potrzebowała. To świetna kobieta.

— Jasne. Z twoją mamą wszystko w porządku?

— No, dzisiaj choruje, ale ogólnie ma się świetnie. Mieszka ciągle tam, gdzie kiedyś rodzina Matta, i ma fajnego faceta. Kapitana policji. — Phil wziął głęboki wdech, po czym powtórzył stanowczo: — Myślę, że ma się naprawdę świetnie.

Zadowolony, uśmiechnął się jeszcze raz do Bee i odszedł w stronę auta, zanim zdążyła odpowiedzieć.

— Gratulacje, tak w ogóle — rzucił jeszcze, po czym zamknął drzwi i odpalił silnik.

Vicky

— W ogóle to gdzie jest Rochester? W Buffalo? — spytała z przedniego siedzenia dziewczyna Jimmy'ego, Jennifer.

Jennifer była chyba jeszcze atrakcyjniejsza niż Jimmy Fee. Kasztanowe włosy opadały jej do połowy pleców. Była szczupła, ale ze wszystkimi koniecznymi krągłościami, obciążniętymi zieloną sukienką; nosiła brokatowy makijaż. Bez wysiłku chodziła na obcasach jeszcze wyższych niż te, które miała na sobie Vicki.

Vicki miała ochotę pobawić się w casting, tak jak to robiła Hannah, ale wciąż była oszołomiona i nie mogła sobie przypomnieć żadnych nazwisk aktorek. Ta dziewczyna powinna być modelką, pomyślała. Okrągłe sutki odznaczały jej się przez sukienkę, wskazując na niebo.

Vicki poznała się z Jennifer po powrocie z wieży, gdy już doprowadzili się z Jimmym do porządku i znaleźli torebkę jego dziewczyny.

— To jest Vicki. Podwieziemy ją do hotelu — powiedział Jimmy, biorąc Jennifer za rękę i całując ją w policzek. Vicki nerwowo przetarła usta, patrząc, jak Jimmy kładzie rękę na pośladkach Jennifer i dodaje: — Chodź, maleńka, zatańczymy.

— Chodź z nami! — zawołała Jennifer, a kiedy Vicki usiłowała odmówić, Jennifer pociągnęła ją na parkiet jedną ręką, a Jimmy'ego drugą. W trójkącie rozpoczęli zmęczony taniec. Zespół grał cover Ushera, *Yeah*.

— Słyszysz mnie? — wołała Jennifer z przedniego siedzenia. Vicki potrząsnęła głową.

— Rochester nie jest daleko od Buffalo, ale to całkiem inne miasto. W Buffalo mają więcej śniegu. — Położyła rękę na czole i wyjrzała przez okno, zastanawiając się nad sytuacją. Joe nawet na nią nie spojrzał, nawet się nie pożegnał. Po prostu zabrał bagaże Hannah i poszedł. Vicki ścisnęło się serce, bo zdała sobie sprawę, że w oczach mężczyzny, z którym spędziła cały wieczór, jest teraz nieodpowiedzialną puszczalską. Widziała, jak patrzył na zużytą prezerwatywę na podłodze. Było jej strasznie wstyd.

Nie potrafiła za to ocenić, czy nagrabiła sobie u panny młodej. Bee zobaczyła ją uprawiającą niedbały, chaotyczny seks ze świeżo upieczonym szwagrem, w czasie gdy Vicki miała pomagać przyjaciółce. Nerwowo splatając rękę, Vicki stwierdziła, że zachowanie Bee mogło sugerować, iż przyjaciółka wybaczyła jej to szalone zachowanie: kiedy wracały na parking, by Jimmy i jego dziewczyna mogli odwieźć Vicki do zabytkowego hotelu, Bee szybko ją przytuliła i szepnęła: „Fajnie, że wróciłaś”.

A teraz Vicki siedziała na tylnym siedzeniu wynajętego kabrioletu i

rozmawiała z kobietą, której partnera drapała przed chwilą pazurami podczas niedokończonego stosunku. Własne życie, wypełnione mieszaniem farb w Rochester, wydawało jej się odległe o całe galaktyki.

— To co tam robisz? — spytała Jennifer. Sama poinformowała już, że pracuje w sklepie z upominkami w Raleigh. Upominki określiła jako: „te śmieszne magnesy, tacki do lodu w zabawnych kształtach i książki na pokaz”. Vicki zastanawiała się właśnie, jak wyjaśnić, że zarabia na życie wybieraniem farb dla supermarketów Waltona w Nowym Jorku, New Jersey i Nowej Anglii i korzysta w tym celu z wykształcenia projektantki wnętrz. Jakkolwiek by to układała w myślach, brzmiało strasznie.

— Prowadzę własną firmę. Wystrój wnętrz — powiedziała, zaskakując samą siebie zaimprovizowanym kłamstwem. — Mam zamiar przeprowadzić się do Nowego Jorku, żeby tam rozkręcić interes. Chcę wprowadzać sztukę do mieszkań zwykłych ludzi, kontaktować klientów z niezależnymi artystami.

— Nieźle — powiedziała Jennifer, ale niemal natychmiast zagłuszyło ją radio. Jimmy Fee przełączał stacje, aż znalazł taką, w której puszczała właśnie *Why Can't This Be Love?* Vicki pochyliła głowę i sięgnęła do torebki, wypchanej przez książkę V.C. Andrews. I pomyśleć, że spodziewała się na weselu aż takiej nudy, że zabrała książkę. Uśmiechnęła się, wyjęła ją z torebki i upuściła na podłogę samochodu.

## Joe

Posadził ją na tylnym siedzeniu, chociaż właściwie nie wiedział dlaczego. Nie zamierzała chyba się kłaść. Prawdę mówiąc, powiedział jej, żeby się nie kładła. Wiedział z doświadczenia, że pijacy na leżąco sprawiają kłopoty. Dał jej gumę do żucia i kazał otworzyć okno, tłumacząc, że powietrze jest potrzebne. Odpowiedział mu jęk.

Przez większość drogi panowała cisza, parę razy słyszał tylko, jak stęka. W lusterku widział, że szarpie za stanik i obrzuca go wyzwiskami, jakby był żywą istotą. Kilka razy zauważył też, że zamyka oczy, więc zaraz pytał, czy wszystko w porządku. W odpowiedzi kiwała głową.

— Błagam, nie puszczaj pawia. To wynajęte auto. Wynajęte auto — powtarzał w kółko. Kiedy dotarli pod hotel, Hannah chętnie przyjęła jego pomoc i trzymała go za rękę, gdy prowadził ją do środka.

— Jesteś spoko, Scotcie Bakula — wybełkotała, kiedy ciągnął ją przez hol. Joe potrząsnął głową: nie tak miał wyglądać ten wieczór. Pomyślał o Vicki i przez chwilę zastanawiał się, gdzie może być. Potem potrząsnął głową — nie chciał wiedzieć. Przypomniał sobie o Sarah, swojej partnerce, i o tym, że chciała iść dziś wieczorem na koncert The Strokes w Cosmopolitan. Była rozemocjonowana, odkąd ktoś znajomy kupił bilety, więc tym łatwiej przyszło Joemu pojechać na wesele. Pewnie wróci do domu bardzo późno i zaśnie przed telewizorem, pomyślał. Rozluźnił się, myśląc o Sarah przykrytej cienkim kocym, który zawsze leżał na kanapie.

Hannah miała pokój na pierwszym piętrze, więc nietrudno było ją tam zaprowadzić. Zbyt łatwo udało się przekonać recepcjonistę, by wydał zapasowy klucz, pomyślał Joe. Oto trzeźwy czterdziestoletni mężczyzna trzyma niemal nieprzytomną dwudziestoparolatkę, a facet za ladą nie pyta o nic — ani o nazwisko, ani o motywy — kiedy Joe żąda klucza do nie swojego pokoju. Dotarłszy do drzwi z numerem 140, Joe wystraszył się, że Vicki może już tam być. Nie miał pojęcia, co zrobi, jeśli ją jeszcze zobaczy po incydencie w wieży. Wciąż był wściekły o to, co zrobiła. Na szczęście pokój był pusty, łóżka wyglądały na nietknięte, a bagaże Vicki leżały na podłodze koło okna — mała walizka i zamknięty futerał na gitarę. Odwrócił wzrok i zaprowadził dziewczynę do łóżka stojącego bliżej łazienki. Położył ją, ale już po chwili Hannah jęknęła i powlokła się do toalety. Joe poszedł za nią.

Zdumiała go wprawa, z jaką Hannah przytrzymała sobie włosy i puściła pawia centralnie do muszli, niczego nie brudząc.

— Fachowiec z ciebie — zaśmiał się Joe, choć skrzywił się, widząc, że wyrzuca z siebie praktycznie czysty płyn. Chciał jej pomóc wstać, ale odepchnęła

go i nie zamykając drzwi, podciągnęła sukienkę, ściągnęła majtki i bez skrępowania siadła na sedesie. Joe wycofał się i patrzył w podłogę, kiedy w łazience rozlegały się odgłosy puszcanych gazów i moczu trafiającego do muszli.

— Uch — jęknęła Hannah. — Przepraszam, leci z każdej strony.

— Ano — mruknął tylko Joe, stojąc bezradnie. Kiedy skończyła, Hannah umyła ręce i położyła się na łóżku. Oparła się na trzech poduszkach i poprosiła Joego, żeby przyniósł jej na czoło mokry ręcznik.

— Mam tam wejść? — Joe wskazał drzwi łazienki.

— Proszę. Możesz wstrzymać oddech.

Joe zgodził się i w milczeniu przybiegł z małym ręcznikiem, który widział wcześniej w łazience. Położył go na jej rozgrzanej skórze i wtedy usłyszał pukanie do drzwi. Zamarł, przekonany, że wraca Vicki i nie ma klucza. Ale kiedy otworzył drzwi, zobaczył Bee.

— Jak ona się czuje? W porządku?

Makijaż Bee się rozmazał, a włosy wymknęły się z ciasnego koka, pewnie w tańcu. Joemu wydawała się teraz ładniejsza, niż kiedy była taka pospinana podczas ceremonii.

— Wróciliście? — Joe spojrzał na zegarek, sprawdzając, ile czasu spędził na układaniu Hannah do łóżka.

— Przyszłam tylko przebrać się w jeansy. Idziemy do jakiejś knajpy w mieście i nie chcę zniszczyć sukni. Pomyślałam, że zajrzę do niej, zanim wyjdę. Wymiotowała?

— Będzie dobrze — zapewnił ją Joe. — Idź się bawić.

— Bee! Czy to Bee? — wołała z łóżka Hannah. Bee weszła do pokoju i usiadła przy niej na łóżku. Hannah spojrzała na nią potulnie.

— Przepraszam — powiedziała, łapiąc ją za rękę.

— Za co?

Joe usiadł na łóżku Vicki, patrząc na obie kobiety.

— Za to, że się upiłam i narobiłam ci wstydu. I za Toma. Głupio mi, że wszyscy myśleli... Po prostu mi głupio. On pewnie nie jest taki okropny, jak myślałam.

— Wiem — odparła Bee, ściskając rękę przyjaciółki. — Myślałam, że będzie ci dzisiaj łatwiej, że Rob będzie z tobą i będzie odwracał twoją uwagę. Myślałam, że jeśli obaj tu będą, obok siebie, zobaczysz sprawy z innej strony. Przykro mi, że Rob nie przyjechał.

Hannah usiadła, rozrzucając poduszki. Joe milczał i starał się przypomnieć sobie, czy ktokolwiek — czyli Vicki — wspominał o Robie. Kto to jest Rob?

— Bee, muszę ci coś powiedzieć. O nim i o mnie — mówiła Hannah trzeźwym już głosem. — Kiedyś on i ja...

— Wiem — powtórzyła Bee, przerywając jej. Puściła do niej oko i puściła

jej dłoń. — To znaczy, nie znam szczegółów, ale wiem, co do ciebie czułam. Wiedziałam od chwili, gdy przyjechaliśmy tamtego lata na Cape Cod. Widziałam go... pod twoimi drzwiami.

— Co? Nie rozumiem.

— Pierwszej nocy, kiedy byliśmy w domu rodziców Toma, wszyscy poszli spać. Ty byłaś w jednym z pokoi gościnnych i byłaś tam sama. Ja spałam niedaleko. W każdym razie wstałam w nocy do łazienki i zobaczyłam, że Rob stoi pod twoimi drzwiami. Minę miał pochmurną i potrząsał głową, jakby był rozgniewany. Podniósł rękę, żeby zapukać, ale nie zapukał i w końcu wrócił do siebie. Wtedy chyba zrozumiałam, wtedy wszystko nabrało sensu. Ale było już za późno, po tygodniu pojechał do Austin. Pomyślałam jednak, że może zapukałby do twoich drzwi w ten weekend. Miałam nadzieję, że zdobędzie się na odwagę.

Hannah wciąż na nią patrzyła, kiedy panna młoda podniosła się z łóżka, a Joe poszedł w jej ślady. Chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała i tylko patrzyła na Bee wielkimi oczami. Potem ziewnęła. Wciąż miała na sobie suknię drużyny.

— Śpij — powiedziała Bee. Joe poprawił jej suknię, która zagniotła się przy siadaniu.

— Dzięki, Bee — wymamrotała Hannah, wczolgując się pod pościel. Spod przykrycia zwisała poła jej sukni. — Zaraz! Czekaście! — zawołała, kiedy Joe i Bee skierowali się do drzwi. — Możecie podać mi telefon? Jest w torebce. Muszę sprawdzić jedną rzecz.

Joe wyłowił srebrny telefon spomiędzy rzeczy Hannah i podał jej. Naciskała przyciski, aż znalazła to, czego szukała — SMS wysłany o dziesiątej z numeru z kierunkowym 310. Przeczytała go, położyła się z powrotem, a telefon odłożyła obok, na łóżko. Zamknęła oczy i przygryzła wargę.

— Zgodziła się — szepnęła, tak cicho, że ledwie ją usłyszeli. — Jest moja.

— Kto? — spytał Joe.

— Natalie — szepnęła sennie Hannah.

— Kim jest Natalie? — spytali chórem Bee i Joe. Ale Hannah już spała, z lekkim uśmiechem na twarzy.

## *Rob*

Rob był cały brudny. Nie śmierdział — to znaczy nie tak, jak ktoś nieumyty — ale był cały umazany, ubranie miał pokryte plamami błota, kurzu i krwi. Kiedy udało mu się zarezerwować, na ostatnią chwilę, poranny lot na Baltimore-Washington International, okazało się, że ma pół godziny do odlotu. Nie było czasu na prysznic, zresztą łazienka wciąż wyglądała jak miejsce zbrodni, a sprzątnięcie krwi Liz i pozбиieranie szkła z wanny, żeby dało się do niej wejść, zajęłoby mu całe godziny. Więc po prostu zrezygnował z mycia. Nie przebrał się też i wciąż miał na sobie jeansy i koszulkę uniwersytetu w Teksasie — ubranie, w którym chował Liz. Mógł założyć coś czystego, ale postanowił zostać w tym. Chciał mieć dramatyczne wejście do hotelu, w którym nocowała Hannah, a ten ubiór pasował do jego nastroju: jakby przeżył wielką bitwę.

Na podróż zabrał tylko plecak i kosmetyczkę — kilka zmian ubrania oraz książkę, do tej pory leżącą na stoliku. Była to powieść pisana z perspektywy autystycznego dziecka, o której mówili wszyscy w pracy i która czekała na swoją kolej, chociaż mieszane uczucia wywoływał w Robie pies na okładce.

Lot kosztował sześćset dolarów i Rob musiał zapłacić kartą kredytową. Bilet powrotny wyszedłby taniej, ale nie był pewien, kiedy wróci, więc postanowił się nie deklarować. Zamierzał zadzwonić do szefowej i powiedzieć jej, że miał zgon w rodzinie — pracownice biblioteki znały Liz i pewnie pozwoliłyby mu wziąć kilka dni wolnego. Zresztą nie na wiele by się tam teraz przydał — we wrześniu studenci zajmowali się raczej podręcznikami i nie myśleli jeszcze o czytaniu dla przyjemności.

Na lotnisko dotarł w ostatniej chwili, w pełnym biegu dopadając bramki na sekundę przed tym, zanim ją zamknięto. W samolocie udało mu się przespać trzy godziny i nawet przeczytać ćwierć książki o autyzmie. Kiedy wylądowali na BWI, wschodziło słońce. Zdezorientowany z niewyspania, co pogorszyła jeszcze podróż odrzutowcem, Rob dostał mdłości w samochodzie, który zabrał go z lotniska. Pewnie od zapachu — sztucznej mieszanki cynamonowo-waniliowej, z powodu której przez całą drogę musiał zasłaniać koszulką usta i nos. Wreszcie wysadzono go wśród butików w Annapolis, tuż koło głównego ronda.

— Robert Johnson House jest w górę, na State Circle — powiedział kierowca. Gdyby Roba nie dławiał zapach, zapytałby o dokładniejsze wskazówki, ale w tej sytuacji szybko wypadł z auta i wziął głęboki wdech, gdy tylko taksówka odjechała.

Wkrótce trafił na coś, co wyglądało jak główny deptak, obsadzony małymi sklepikami, w których wystawiano w oknach koszulki Akademii Marynarskiej. Jeden sklep po prawej miał w witrynie fartuch kuchenny z brązowymi młotkami do



skorupiaków i napisem: „Złapałem kraby w Maryland”. Rob się uśmiechnął.

Na końcu brukowanej alejki Rob znalazł wybrzeże. Spokojne fale Atlantyku łagodnie obmywały białe żaglówki, zakotwiczone przy brzegu. Stał przez chwilę w łagodnej bryzie, która delikatnie poruszała jego włosy. Zapomniał już, jak to jest, być tak blisko oceanu. Zamknął oczy i wciągał słone powietrze, którego zapach przypominał mu ten ostatni weekend na Wschodnim Wybrzeżu, kiedy Tom zaprosił całą paczkę — jego, Hannah, Vicki, Bee i Richa — do letniego domu swoich rodziców.

Większość weekendu Rob spędził wtedy obrażony, że nie będzie spał w pokoju z Hannah. Od końca roku prawie ze sobą nie rozmawiali i pojechali na tę wycieczkę w osobnych samochodach: Hannah, Vicki i Rich w jednym, Rob, Bee i Tom w drugim. Drugiego dnia Hannah zbliżyła się trochę do Toma. Poszli rano na spacer po plaży, tylko we dwoje, a przy obiedzie siedzieli obok siebie.

— Ładnie razem wyglądają, prawda? — powiedziała Bee ostatniego wieczoru, kiedy Tom, Hannah, Vicki i Rich przyglądali się jakimś wodorostom.

— Kto? — spytał apatycznie Rob.

— Tom i Hannah — uśmiechnęła się Bee. — Najwyższy czas, żeby zaczęła się z kimś spotykać.

Rob warknął tylko, patrząc, jak Tom żartobliwie popycha Hannah w stronę oceanu — jakby zamierzał ją wrzucić do lodowatej wody. Hannah wrzeszczała jak opętana i usiłowała uciec, ale Tom w końcu złapał ją w tali. Rob domyślił się, że zaczęło się dziać między nimi coś poważnego właśnie w ten weekend. Zastanawiał się później, ile razy Hannah odwiedzała Yarmouth Port z rodziną Toma — czy jeździła z Keatingami na wakacje i nocowała z Tomem w jednym pokoju w tym klasycznym, białym domu niedaleko wybrzeża.

Z zamyślenia wyrwał go głośny zgrzyt. Rob odwrócił się raptownie i ujrzał młodego chłopaka otwierającego kawiarnię. Przed drzwiami czekało już dwóch klientów. Rob spojrzął na telefon: była ósma, a skoro otwierały się już sklepy, to można było ją obudzić.

## Joe

Jedząc śniadanie, Joe postukiwał nerwowo stopą. Zazwyczaj unikał węglowodanów, ale babeczki w bufecie Governor Calvert House niemal do niego wołały i Joe uznał, że należy mu się coś słodkiego, zanim wyruszy w daleką drogę.

Siedział obok Donny, szwagierki, która go nie znosiła. Ale dziś rano była blada i milcząca. Wpatrywała się w zamyśleniu w talerz. Zachowanie zdumiewające w przypadku matki Bee, o ile Joe mógł to ocenić. Zazwyczaj w takiej sytuacji czepiała się jego ubrania albo zadawała tendencyjne pytania o przestępczość w Vegas. Ale tym razem wyglądała na zagubioną i Joe poczuł przypływ niespodziewanego współczucia. Uznał, że ów smutek wynika z bycia matką panny młodej; Donna postukiwała palcami o filiżankę i przymykała oczy.

— Donna — szepnął Joe, wrywając ją z zamyślenia.

— Tak?

— Wszystko w porządku?

— Oczywiście. Po prostu jestem zmęczona.

— To było piękne wesele — powiedział, trącąc ją ramieniem.

— Dziękuję, Joe — odparła defensywnie, ale rozluźniła się, gdy stwierdziła, że mówił poważnie.

Joe przypuszczał, że to jego plan na resztę dnia usposobił go przychylnie do Donny. Kiedy dał Bee buziaka na dobranoc i wrócił do swojego pokoju w Robert Johnson House, postanowił przedłużyć pobyt na wybrzeżu o kolejny tydzień. Wysłał z telefonu maila do byłej żony, w którym zawiadomił ją, że niespodziewanie postanowił odwiedzić Cynthię w Maine. Potem zarezerwował hotel w Portland i zostawił wiadomość dla swojego współnika, który szczęśliwie był też jego najlepszym przyjacielem i nie miał nic przeciwko wizycie Joego u córki. Zadzwoił też do Sarah.

Była świeżo po koncercie, ze zdartym gardłem, jakby krzyczała cały wieczór.

— Dziwne, nie zagrali *Last Night* — powiedziała. — Pewnie mają po dziurki w nosie tej piosenki, ale ja ją lubię.

— Słabo — Joe użył jednego z jej powiedzonek. — Słuchaj, zostanę tu jeszcze parę dni i pojadę do Cynthii. Skoro już tu jestem...

— To bardzo dobry pomysł, Joe — powiedziała Sarah zmęczonym głosem. — Znaczący, ja tęsknię, ale Cynthia się ucieszy.

— Tego nie wiem — Joe kładł się samotnie do hotelowego łóżka. Potrząsnął głową na myśl, że zgodnie z planem miała być z nim Vicki.

— Na pewno. Pamiętaj, że ona jest nastolatką. Nie może sobie pozwolić na to, abyś zauważył, że jest szczęśliwa.

A teraz Joe jadł śniadanie z dorosłymi i nie było tak źle. Spojrzał w lewo, gdzie — kilka stolików dalej — Bee dźgała widelcem placki ziemniaczane. Naprzeciw niej siedział jej świeżo upieczony mąż, Matt, popijając sok pomarańczowy.

Joe zerknął na siedzącego obok niej Jimmy'ego Fee. Była też z nimi jego dziewczyna, piękna, acz pospolita panna z resztkami wczorajszego makijażu na twarzy. Jej szara koszulka przypomniała Joemu okładkę starej płyty *Flashdance*. Jimmy też na niego spojrział i uprzejmie skinął głową; nie wiedząc, jak zareagować, Joe zrobił to samo, po czym spuścił wzrok na jagodową babeczkę na talerzu.

— Ile czasu zajmie ci podróż do Maine? — spytała Donna. Richard, ojciec Bee, podniósł zdziwiony wzrok.

— Jedziesz do Cynthii? — zapytał.

— Liczę jakieś dziesięć godzin — Joe zignorował brata; nie chciał dawać mu satysfakcji. — Bez względu na to, kiedy wyjadę, i tak utknę w Nowym Jorku.

Zignorowany Richard wrócił do swoich jajek. Joe dopił kawę i poszedł pożegnać Bee, dziękując jej za wieczór wart zapamiętania. Bee zaśmiała się, przytulając go.

— Dla mnie też był wart zapamiętania — powiedziała.

A potem Richard podszedł uścisnąć mu rękę, Donna zaś, wciąż siedząca przy stoliku, uśmiechnęła się do niego. Joe uznał to za zwycięstwo.

Ranek był nieco mglisty i Annapolis wyglądało jak na morskich widoczkach, rozwieszonych w holu klubu. Taką pogodę do jazdy Joe lubił najbardziej — słońce nie prażyło, deszcz nie zalewał szosy. Zanim wjechał na trasę, otworzył wszystkie okna i rozkoszował się powietrzem, bo w Las Vegas rzadko było na tyle chłodno, by móc otworzyć okna i przewietrzyć samochód. Większość czasu spędzał w pomieszczeniach pozbawionych okien, wypełnionych zimnym powietrzem z klimatyzacji, krążącym po kasynach dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Joe westchnął i włączył radio, wjeżdżając na szosę, a wiatr poruszał kołnierzem jego marynarki. Znalazł pierwszą z brzegu listę przebojów, żeby podszkolić się z tego, co na czasie, zanim dojedzie do córki. Był pewien, że będzie go bardziej lubiła, jeśli będzie znał choć kilka współczesnych piosenek.

## Rob

Rob musiał poczekać z dziesięć minut, zanim para przy recepcji wreszcie się wymeldowała. Mała blondynka z ciasno spiętymi włosami już dwa razy nakrzyczała na swojego męża: raz, ponieważ zasnął, i raz z powodu diety.

— Białka jajek! — warczała. — Po tym wszystkim, co jadłeś wczoraj!

Jej ostry, piskliwy głos przyprawiał Roba o ból głowy. Wreszcie odeszli i Rob spojrzał na recepcjonistę.

— Szukam pokoju Hannah Martin — powiedział.

— Nie udostępniamy takich informacji — oznajmił chłopak, spoglądając na niego podejrzliwie, zwłaszcza na plamy krwi na jego koszuli.

— Ale ona tu jest? Nie byłem pewien, czy to właściwy hotel. Te wszystkie historyczne hotele wyglądają tak samo.

Chłopak zmrużył oczy i położył rękę na telefonie, jakby zamierzał wezwać policję. Rob zrozumiał, że wygląda zapewne jak typowy facet znęcający się nad partnerką i szukający jej po tym, jak uciekła. Uśmiechnął się nerwowo i odstąpił, zastanawiając się, czy poczekać na nią na zewnątrz.

— Przepraszam — odezwała się kobieta z okropnym głosem. Stała obok, z mężem i bagażem. — Kim jesteś i skąd znasz Hannah? — spytała z uśmiechem.

Rob zlustrował ją od trampek do głowy. Okrągłą twarz pokrywały róże i pudry; pewnie była jedną z druhien, przez które Hannah wydzwaniała do niego cały weekend. Miała zadarty nos i ładne, błyszczące oczy, a zęby nienaturalnie białe.

— Jestem Rob, przyjaźnimy się z Hannah od studiów — powiedział, też się uśmiechając. Jej niezbyt przyjazny grymas pogłębił się na widok plam na jego koszuli. — Miałem być na ślubie Bee, ale lot mi się opóźnił.

— Sporo się opóźnił — odparła. Jej mąż, piegowaty mężczyzna o grubym karku, wydawał się nieobecny. Rob zastanawiał się, ile czasu spędzał, patrząc w przestrzeń, żeby nie słuchać żony.

— Tak, opóźnienie było duże. Chyba przegapiłem część imprezy.

— Całą — odparła, zmęczona już tą wymianą zdań, zwłaszcza że jej mąż skierował się do wyjścia.

— Nie wiesz może, w którym pokoju jest Hannah? Chciałem zrobić jej niespodziankę.

— Rob, przyjaciel ze studiów, co? — kobieta w różowym przyjrzała mu się dokładnie i odpuściła. — Chyba jest w 140, mieszkała obok mnie.

Rob niemalże pobiegł korytarzem. Po całej tej podróży straszliwie chciał zobaczyć jej twarz. Zastanawiał się, czy będą mieli czas na drzemkę, zanim wymeldują się z hotelu.

Ale kiedy dotarł do drzwi, otworzył mu ktoś inny.



## Hannah

Hannah słyszała głos Vicki i drugi, męski głos za drzwiami, ale nie mogła go rozpoznać. Najpierw uznała, że to obsługa hotelowa, jednak rozmowa nie dotyczyła ręczników ani godziny wymeldowania. Słyszała, jak mężczyzna mamrocze jakieś pytania, a Vicki odpowiada poważnie i po namyśle. Hannah spanikowała, sądząc, że to Tom, i uchyliła drzwi łazienki, by lepiej słyszeć.

— Nie mów do mnie Vick. Nikt tak do mnie nie mówi — to był głos Vicki.

— Ja zawsze tak do ciebie mówiłem — męski głos.

— A ja tego nie znoślam — odparła rozbawiona Vicki.

Hannah wiedziała już, kto tam stoi. Szybko przetarła zaparowane lustro, żeby się przejrzeć. Pod oczami miała ciemne kręgi i była blada jak upiór. Miała też na ciele pełno dziwnych odgnieceń — zasnęła w sukni i staniku, z twarzą przyciśniętą do małego ręczniczka kąpielowego, przez co teraz na szyi miała odcisnięte skośne linie, a prawy policzek — usiany małymi kropkami. No, trudno, na to nic się nie poradzi, pomyślała Hannah. Jej kosmetyczka stała obok łóżka.

— Więc jednak przyjechałeś. Tylko co tu teraz robisz? Wesele się skończyło — mówiła Vicki w sąsiednim pokoju.

— Nie wiem, miałem... śmierć w rodzinie, w pewnym sensie. Myślałem, żeby spotkać się z Hannah i spędzić parę dni w Nowym Jorku. Może rozejrzeć się za jakimś kursem podyplomowym. Nie planowałem tego wyjazdu. Mam bilet w jedną stronę.

Słuchając z uwagą, Hannah złapała szczotkę, usiłując nadać włosom wygląd rodem z reklam szamponów.

— Ja też jadę z nią do Nowego Jorku. Zamierzam rozkręcić tam interes — powiedziała Vicki, sprawiając, że Hannah z łoskotem upuściła szczotkę. Spała już, kiedy Vicki wróciła do pokoju, a kiedy się obudziła, Vicki ciągle była w łóżku. Od wesela nawet ze sobą nie rozmawiały.

— Zamówiłam już sobie miejsce u niej na kanapie — mówiła dalej Vicki — więc tobie zostaje rozkładany fotel.

— Nie będę spał na ziemi, Vick — oznajmił Rob. Jego głos brzmiał zarozumiale i Hannah wyobraziła sobie rozniewaną minę Vicki.

— Coś wymyślimy — odparła przyjaciółka, o wiele przyjaźniej, niż można się było spodziewać.

Hannah owinęła się białym ręcznikiem; był za mały, więc musiała odsłonić albo nogi, albo piersi. Zdecydowała się na biust, ale upewniła się, że chociaż brodawki ma zasłonięte białym materiałem.

— To jak w takim razie jedziemy? — spytał Rob. Hannah słyszała, jak Vicki zamyka walizkę.

— Hannah ma bilet na pociąg, ale równie dobrze możemy wszyscy zabrać się moim autem. Na pewno da się je gdzieś zaparkować w Brooklynie, choćby na kilka dni.

— Myślisz, że powinienem pokazać się Bee? — w głosie Roba słychać było zamyślenie. Hannah sama zastanawiała się nad tym w łazience.

— Myślę, że nie — odparła Vicki. — Z powodów, o których wolałabym teraz nie mówić, sądzę, że najlepiej będzie, jeśli wszyscy znikniemy stąd jak najprędzej.

W tym momencie Hannah otworzyła drzwi łazienki i przeszła z mokrych, białych kafli na beżowy dywan. Wraz z nią uciekła też para spod prysznic, sprawiając, że Hannah szła jak przez mgłę.

## Phil

Phil obudził się wcześniej, niż się spodziewał. Wrócił do Baltimore jeszcze przed północą, ale nie mógł zmrużyć oka, wciąż przeżywając telefon do matki i przykładając lód do opuchniętej ręki. Dopiero po czwartej udało mu się zasnąć, jednak obudził się o siódmej, z poduszką pokrytą krwią. Zakrwawił też dres, w który się przebrał, zanim w końcu zaczął drzemać przed telewizorem.

Miał odwiedzić dzisiaj mamę, a w każdym razie miał pomysł, by zawieźć jej jakieś jedzenie, żeby mogła pozbierać się z tej grypy, chyba jednak tego nie potrzebowała. Dziś rano zapewne da sobie świetnie radę bez niego. A teraz, kiedy wybiła dziewiąta i mieszkańcy bloku zaczęli się budzić, Phil uznał, że czas wprowadzić w życie plan, który ułożył około drugiej w nocy — kiedy zrezygnował wreszcie z prób zaśnięcia i pogodził się z faktem, że to, czego najbardziej teraz potrzebuje, jest bardzo blisko.

Poszedł do salonu i siedział na kanapie jakieś pół godziny, czekając na odgłosy życia za ścianą. Kiedy stały się głośniejsze, Phil włączył telewizor i przeszukał swoje nagrania. Na samym końcu, za całym sezonem *24 godzin*, został mu jeszcze jeden odcinek *Seksu w wielkim mieście*, którego nie skasował, bo — szczerze mówiąc — całkiem mu się podobał. *Niezbywalne prawo do butów* — ten, w którym Carrie Bradshaw na przyjęciu musi dać swoje drogie buty ciężarnej koleżance, i w końcu te szpilki się gubią, a ona robi o to wielką awanturę. Phil lubił ten odcinek, bo sam też nie znośił chodzić w skarpetkach po cudzych mieszkaniach. Nie bał się, że ktoś ukradnie mu buty, tylko czuł się jak barbarzyńca, kiedy miał odsłonięte stopy. Skarpetki są bielizną dla stóp, mówił Elizabeth — nie powinno się w nich pokazywać obcym.

Wszystkie inne nagrania Elizabeth skasował, żeby zrobić miejsce na swoje po tym, jak zerwali; nad tym jednym też się zastanawiał, ale w końcu go zostawił. Dziś miał mu się przydać. Phil trzymał nerwowo pilota, czekając, aż jej kroki zabrzmia bliżej ściany. Kiedy miał już pewność, że jest blisko — zapewne przeżuwa bułkę i zamierza właśnie włączyć telewizor po drugiej stronie gipsowej ściany — Phil nacisnął play i nastawił głośność na cały regulator. Piosenka z czołówki popłynęła tak hałaśliwie, że czuł, jak wibrują mu stopy. Na ekranie zobaczył znajomą scenę — Carrie Bradshaw idącą przez Nowy Jork w tiulowej spódniczce baletnicy.

Phil odwrócił się do ściany.

— No, chodźże — szepnął, czekając w nadziei, że Elizabeth złapie przynętę.



## *Hannah*

Hannah zatrzymała się naprzeciw niego, owinięta ręcznikiem, z włosami ociekającymi wodą. Najpierw zobaczyła jego włosy, w nieładzie, potem oczy, które wydawały się ciemniejsze niż ostatnio, a na końcu koszulkę poplamioną krwią. Rob uśmiechnął się szelmowsko, kiedy mu się przyglądała.

— Powiesz nam chociaż, kogo zamordowałeś? — spytała, starając się, by jej głos brzmiał obojętnie, ale Rob nie odpowiedział. Hannah pochyliła się do przodu. — Nie będę ukrywała u siebie kryminalisty. Wydam cię.

— Nie zrobiłabyś tego — powiedział cicho Rob.

Hannah chwyciła brzeg ręcznika, aby się upewnić, że wciąż jest okryta. Patrzyli na siebie w milczeniu i bezruchu.

— Pakuj się i jedziemy — rzuciła Vicki, przerywając ten trans. — Możecie sobie robić pojedynki spojrzeń przez cztery godziny w samochodzie, ale powinniśmy się stąd zabierać.

Hannah prędko ruszyła do swojej walizki, a potem z powrotem do łazienki, by się przebrać. Czuła na sobie jego spojrzenie, kiedy wyszła ubrana, lekko umalowana, w klapkach. Rob bez pytania wziął jedną z jej toreb i poszedł do wyjścia. Vicki wepchnęła futerał na gitarę pod łóżko. Hannah posłała jej zdziwione spojrzenie.

— Zostaw. Nie chcę jej, naprawdę — powiedziała nieśmiało Vicki.

Nie mieli szansy pożegnać się z resztą gości, nawet z Bee, jedzącą z rodziną późne śniadanie, ani z pozostałymi druhami, które leżały pewnie jeszcze w łóżkach z partnerami albo wyleciały wczesnym lotem do Raleigh. Kiedy przemykali we trójkę do wyjścia, Hannah wydawało się, że w holu zauważyła Jackie, ale nie była pewna.

Vicki poprowadziła ich na mały parking, hałasując po bruku kółkami walizki.

— Potrzebuję kawy — powiedziała, wrzucając walizkę do bagażnika i siadając za kierownicą.

— Możemy zaraz się zatrzymać — odparła Hannah. — W tym mieście jest szesnaście barów z kawą.

— Nie — Vicki szukała w schowku ciemnych okularów. — Pojedziemy dziewięćdziesiątką piątką. Chcę być w mieście jak najszybciej.

Hannah uśmiechnęła się w odpowiedzi. Kiedy Vicki uruchomiła silnik, Hannah odchyliła daszek przeciwsłoneczny i spojrzała w lusterko; Rob usiadł za nią na tylnym siedzeniu i wyciągnął z torby okulary słoneczne i książkę. Zanim założył okulary, zauważył jej spojrzenie w lusterku i uśmiechnął się, po czym puścił do niej oko. Zawstydzona Hannah obróciła lusterko i spojrzała na swoje

odbicie. Oczy miała czerwone, ale przynajmniej odgniecenia zanikały.

Wyciągnęła z torebki telefon i jeszcze raz przeczytała SMS z wczoraj, aby się upewnić, że się jej nie przyśnił. Asystentka napisała tylko jedno słowo: „Jedziemy!!”. Hannah patrzyła na ekran oszołomiona. A potem jej myśli wróciły do pasażera tylnego siedzenia. Uśmiechnęła się, znów obracając lustro tak, żeby go zobaczyć. Patrzył na nią, przebierając palcami po książce na kolanach, a potem przesunął się do przodu, wyciągnął nogę między przednimi siedzeniami i trącił ramię Hannah czubkiem buta. Oparła się o niego.

— Jesteśmy tylko osiem kilometrów od mostu na Chesapeake — poinformowała Vicki, patrząc na zieloną tablicę informacyjną. Hannah i Rob wymienili szerokie uśmiechy. Hannah wciąż patrzyła na niego, kiedy powiedziała cicho:

— To znaczy, że za trzysta dwadzieścia kilometrów będziemy w domu.

## *Podziękowania*

Serdeczne pozdrowienia, podziękowania i niezręczne uściski dla Pete'a Thamela, Tiny Valinsky i Shirley Craig, którzy byli apodyktyczni; dla mojej wspaniałej agentki, Katherine Flynn, która stała się częścią rodziny; dla mojej onieśmielającej wydawczynie, Denise Roy, która sprawia, że wszystko jest mniej straszne, dla Bryana Rafanellego, który nadał tytuł tej książce; dla Sarah Rodman i Devry First, które czytały najbardziej chaotyczne wersje, dla moich przyjaciół z „Boston Globe”, którzy trzymali mnie w bezpiecznym kokonie. Podziękowania niech zechcą przyjąć również: Nancy, Tim, Elena, Ariela i Sarah Knight — za fajną chłodną piwnicę; Kathy i Scott Levine'owie; dziadek Marty Goldstein; Hayley Kaufman za niezbędne rozrywki; Stephenie Meyer za lektury; królestwo Rooney/Russo; Paul i cała rodzina Fairclothów; Marisa Katz za Annapolis; Jaime Green Roberts i Rachel Cohen; Tom Perrotta; Nicole Lamy i Scott Heller; Julian Benbow i miasto Richmond; Rachel Zarrell; Lauren Iacono; Adam Ezra; Kara Baskin; Sara Faith Alterman; Mark Shanahan, Michelle McGonagle oraz Julia i Beckett Shanahanowie; Elizabeth McQueen, Desaray Smith i Laura Heffernan; Danielle Kost, Jenn Abelson i Jessica Douglas Perez; Paige Mudd, Shawn Badgley, Steve Cohen, Bill Ehninger i Evan Thies, którzy zrobili wrażenie; Ed Ryan, który robił i robi; moja siostra, Brette Goldstein, która czyni cuda, i moja mama, Leslie Goldstein, która nauczyła mnie, że single są często najbardziej niezwykłymi ludźmi w towarzystwie.

Podziękowania również dla wszystkich, którzy czytają lub zaglądają do *Listów miłosnych* — zwłaszcza dla pierwowzorów: jesteście moim sumieniem i powodem, dla którego zrywam się rano z łóżka. Przesyłam wam wszystkim nietrzeźwego kopniaka — ale z uczuciem.

